

Ekscytująca,  
głęboko mądra,  
brutalna i współczująca,  
wszystko naraz.

CATRIONA WARD,  
AUTORKA OSTATNIEGO DOMU  
NA ZAPOMNIANEJ ULICY

# POKRZYWA KOSC

*Nettle  
&  
Bone*

T. KINGFISHER

LAUREATKA NAGRÓD HUGO  
I NEBULA

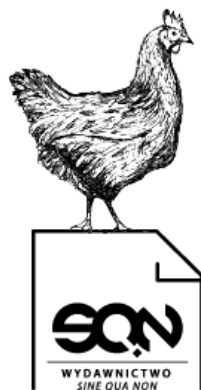
SON  
imaginatio

Pewnego razu...

# Spis treści

Strony tytułowe  
Dedykacja  
Rozdział 1  
Rozdział 2  
Rozdział 3  
Rozdział 4  
Rozdział 5  
Rozdział 6  
Rozdział 7  
Rozdział 8  
Rozdział 9  
Rozdział 10  
Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Rozdział 14  
Rozdział 15  
Rozdział 16  
Rozdział 17  
Rozdział 18  
Rozdział 19  
Rozdział 20  
Rozdział 21  
Rozdział 22  
Od autorki  
Strona redakcyjna

POKRZYWA  
KOŚĆ



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce

POKRZYWA  
KOŚĆ

*Dedykuję Silnemu Niezależnemu Kurczakowi, ptakowi jednemu na milion*

## ROZDZIAŁ 1



Korony drzew były pełne wron, a lasy – pełne szaleńców. Dół był pełen kości, a jej ręce pełne drutów.

Palce krwawiły, pokłute ostrymi końcówkami. Najstarsze rany już się zasklepiły, ale ich brzegi zaogniły się i pulsowały gorącem, rozlewając się czerwonymi pręgami na skórze. Opuszki obrzmiały, a palce straciły zwinność.

Marra zdawała sobie sprawę, że to zły znak, ale szanse, że pożyje na tyle długo, by zabiło ją zakażenie, były tak nikłe, że niezbyt się tym przejęła.

Podniosła kość, długą, cienką kość kończyny, i owinęła jej koniec drutem. Pasowała do drugiej długiej kości, co prawda nie z tego samego zwierzęcia, ale z wystarczająco podobnego. Związała je razem, a potem dołączyła do tworzonej konstrukcji.

Jama była pełna kości, ale Marra nie musiała kopać zbyt głęboko. Mogła prześledzić wstecz postęp klęski głodu, od wierzchnich warstw do głębszych. Najpierw ludzie jedli zwierzynę płową i bydło. Kiedy skończyły się zwierzęta hodowlane i nie było na co polować, jedli konie, a gdy nie było już koni, jedli psy.

Gdy zabrakło psów, zaczęli zjadać się nawzajem.

Ale to o psy jej chodziło. Możliwe, że potrafiłaby zbudować z kości człowieka, ale nie darzyła już ludzi miłością.

Za to psy... zawsze były wierne.

– Z włosów złotych uprządl jedwabne niteczki – nucila Marra cicho, bezmelodyjnie. – Z kości palców zrobił do harfy kołeczki...

Wrony na drzewach nawoływały się poważnym krakaniem. Marra dumiała o harfiście z piosenki. O czym myślał, budując instrument z martwej kobiety? Możliwe, że on jeden na całym świecie rozumiał, co robiła.

*Oczywiście zakładając, że istniał naprawdę. A jeśli tak, to ciekawe, jak wygląda życie kogoś, kto decyduje się na zrobienie harfy z trupa.*

*Idąc tym tropem, jak wygląda życie kogoś, kto tworzy psa z kości?*

Wiele kości pogruchotano, żeby wydobyć szpik. Jeśli udałooby się znaleźć dwa pasujące do siebie kawałki, mogłaby połączyć je z powrotem w całość, ale większość krawędzi była nierówna. Musiała wiązać je drutem, a jej palce zostawiały krwawe ślady na powierzchni kości.

Ale to nic. To było częścią magii.

*Poza tym, czy kiedy wielki bohater, Mordecai, zabijał jadowitego robala, narzekał na obolałe palce? Oczywiście, że nie.*

*A w każdym razie nie przy kimś, kto mógłby to potem zapisać.*

– Dziewczę tylko jedną nutę kiedyś znało – podśpiewywała. – Harfa grała na nią, a to było O!

Zdawała sobie sprawę, jak dziwacznie to brzmi. Część jej umysłu wzdragała się na te słowa. Druga, większa, podpowiadała, że przecież klęczy na skraju dołu pełnego kości, w krainie tak przesyconej koszmarami, że jej stopy zagłębiają się w ziemię, jakby stąpała po wielkim pęcherzu. Odrobina dziwaczności była tu zupełnie na miejscu.

Z czaszką poszło łatwo. Znalazła piękną, szeroką, z masywnymi szczękami i pełnymi wyrazu oczodołami. Mogła wybierać spośród dziesiątek, ale musiała zdecydować się na jedną.

Nieoczekiwanie ją to zasmuciło. Radość znalezienia tej jedynej przesłonił żal, że tak wiele pozostanie nieużytych.

*Mogłabym tak siedzieć do końca życia na skraju jamy, z rękami pełnymi drutu, tworząc psy. A po śmierci wrony rozdziobałyby moje ciało, a moje kości wpadłyby do dołu, dołączając do innych...*

Płacz ścisnął jej gardło i na chwilę musiała zaprzestać pracy. Wygrzebała z torby bukłak i napiła się wody.

Kościany pies był w połowie skończony. Miał już czaszkę i piękny zestaw kręgów, dwie łapy i długie, eleganckie żebra. Szkielet składał się pewnie z kilkunastu innych, ale tak naprawdę najważniejsza była czaszka.

Marra muskała palcami oczodoły, delikatnie otoczone drutem. Wszyscy mówili, że dusza mieszka w sercu, ale ona już w to nie wierzyła. Budowała psa, zaczynając od czaszki. Odrzuciła kilka kości, bo uznała, że do niej nie pasują. Długie, smukłe kości śródstopia nie nosiłyby tej czaszki właściwie. Potrzebowała czegoś solidniejszego, bardziej krzepkiego, doga niemieckiego lub elkhunda, czegoś masywnego.

Zdaje się, że była taka wyliczanka, do której skakało się na skakance... Gdzie ona mogła ją słyszeć? Z pewnością nie w pałacu. W końcu księżniczki nie



skakały na skakance. To musiało być później, w wiosce przy klasztorze. Jak to szło? *Pies kościany, pies drewniany...*

Wrony zakrakały ostrzegawczo.

Podniosła głowę.

Ptaszyska hałasowały na gałęzi po lewej. Coś się zbliżało, przedzierając się między drzewami.

Marra naciągnęła kaptur na głowę i zsunęła się do dołu, tuląc do piersi szkielet psa.

Jej płaszcz zrobiony był ze strzępów sowiego sukna i przędzy z runa pokrzywowego. Magia nie była doskonała, ale tylko to zdążyła zrobić.

*Od świtu do zmierzchu i z powrotem, szydłem z cierni... No, ciekawe, kto poradziłby sobie lepiej. Nawet pożegnucha powiedziała, że dobrze się spisałam, a przecież wydziela pochwały jak wodę na pustyni.*

Płaszcz zrobiony z kawałków sukna miał duże, podłużne dziury, ale okazało się, że nie ma to znaczenia. Ukrywał jej postać tak, że ludzie jej nie zauważali. Nawet jeśli dojrzeliby nietypowe załamania światła, nigdy nie zastanawiali się nad tym na tyle długo, by wyjaśnić zagadkę. Ludzie zadziwiająco chętnie ignorują to, co widzą. Marra myślała, że może świat jest taki dziwny, a wzrok tak ułomny, iż w końcu dociera do ciebie, że wszystko może być ułudą, grą światła i cienia.

Spomiędzy drzew wyłonił się mężczyzna. Mamrotał coś, ale nie rozróżniała poszczególnych słów. Że to mężczyzna, poznała po niskiej barwie głosu, a i jej w zasadzie tylko się domyślała.

Większość ludzi w tej poranionej krainie była nieszkodliwa. Przez to, że jedli nieodpowiednie mięso, zostali ukarani. Niektórzy widywali rzeczy, które nie istniały. Niektórzy nie mogli chodzić i byli zdani na pomoc innych. Kilka nocy wcześniej dwoje wędrowców zaprosiło ją, by usiadła z nimi przy ogniu, ale nie jadła ich jedzenia, mimo że ją częstowali.

Okrutny duch karał głodujących ludzi za to, co byli zmuszeni jeść, ale duchy nigdy nawet nie udawały, że są wyrozumiałe.

Jej przypadkowi towarzysze za to dali jej dobre rady.

– Pilnuj się – ostrzegła kobieta. – Bądź szybka, bądź cicha. Są tacy, których należy się bać. Byli źli już wcześniej, a teraz są jeszcze gorsi.

– Źli – powtórzył drugi. Dyszał ciężko, a mówienie sprawiało mu trudność. Niemożność płynnego wypowiedzania się wyraźnie go frustrowała. – Nie... normalni. Jak... każdy... teraz... – stwierdził z żalem. – Ale... oni... wściekli.

– Gniew nie służy nikomu – podjęła kobieta. – Ale oni nie słuchają. Zjedli zbyt dużo. Rozsmakowali się. – Zaśmiała się piskliwie, zapatrzona we własne dłonie. – My przestaliśmy zaraz po tym, jak pojawiły się inne rzeczy. Ale oni nie.

Jej towarzysz potrząsnął głową.

– Nie... – wydyszał. – To coś... więcej. Oni zawsze... byli... źli. Od urodzenia...

– To prawda, niektórzy już się tacy rodzą – przytaknęła mu Marra. Wiedziała o tym aż nazbyt dobrze.

*Niektórzy z tych złych byli zwykłymi ludźmi. A niektórzy nawet książętami. Tak, wiem o tym. To innego rodzaju wściekłość. Mroczniejsza, bardziej rozmyślna.*

Mężczyzna wydawał się zadowolony, że go rozumie.

– Tak... a teraz są... gorsi. Dużo...

Przez chwilę wszyscy troje milczeli. Marra wyciągnęła dłonie ku płomieniom i odetchnęła głęboko.

– Zabijają nas – podjęła kobieta gwałtownie. – Nie zawsze udaje się przed nimi uciec. Wszystko zrobiło się trudniejsze... – Uczyniła przed sobą nieokreślony gest. Marra nie rozumiała, o co chodzi, ale towarzysz kobiety przytaknął skinieniem głowy. – Łatwo nas teraz złapać. Ale z tobą będzie tak samo. Jeśli dasz się zobaczyć, złączą się i ciebie.

Ogień trzaskał przyjemnie. W krainie było bardzo wilgotno i Marra rozkoszowała się ciepłem, ale...

– Nie boicie się, że ogień ich tu ściągnie?

Kobieta pokręciła głową.

– Nienawidzą go – rzekła. – To ich kara. Im więcej jedzą, tym bardziej lękają się ognia... Nie gotują mięsa. – Potarła twarz, zdenerwowana.

– Bezpieczniej – wyjąkał mężczyzna. – Ale... nie da się... palić... cały... czas.

Przytulili się do siebie. Kobieta wsparła głowę na ramieniu mężczyzny, a on objął ją i przygarnął do siebie. Jeszcze parę dni temu Marra zastanawiałaby się, dlaczego nie opuścili tej okropnej krainy. Teraz już wiedziała. Mogli być niezdrowi na umyśle, przynajmniej według ludzi z zewnątrz, ale nie byli głupi. Skoro uważali, że na tych ziemiach są bezpieczniejsi niż poza nimi, nie do niej należało przekonywanie ich, że jest inaczej.

*Gdybym musiała każdemu napotkanemu na drodze wyjaśniać, co mi się stało, gdybym musiała znosić to, że osądzają mnie za to, co byłam zmuszona robić – o nie. Też uznałabym, że mieszkanie w krainie, po której włości się kilku kanibali, to niewielka cena. Tu przynajmniej wszyscy rozumieją, co się wydarzyło, i są dla siebie mili – na tyle, na ile to możliwe.*

Kiedyś Marra nie rozumiałaby tego, ale nie była już taka jak kiedyś. Teraz miała trzydzieści jeden lat i z tamtej dziewczyny pozostały w niej tylko kości.

Przez moment pozazdrościła tym dwojgu, którzy, choć w niczym nie zawinili, zostali ukarani. Pozazdrościła im, mieli bowiem siebie.

Teraz, ukryta w jamie pełnej kości, poczuła poruszenie trzymanego w ramionach szkieletu.

– Ciii – wyszeptała do dziur w czaszce. – Ciii.

*Pies kościany, pies drewniany... pies żywy, pies krzywy...*

Usłyszała zbliżające się kroki. Zauważył ją?

Jeśli nawet, to musiał uznać, że coś mu się przywidziało, bo odgłosy stąpania i oddechów po chwili się oddaliły.

– Pewnie to jeden z tych niegroźnych – mruknęła do czaszki. Zresztą, Marra nie była tak łatwym celem jak większość ludzi tutaj.

Inni, łagodniejsi mieszkańcy tej krainy, byli wyjątkowo bezbronni. Jeśli bowiem nauczyło się nie ufać własnym zmysłom, można zbyt długo opóźnić ucieczkę przed wrogiem.

Marra również nie była pewna własnej percepcji tak jak dawniej, ale jej umysł został tylko postrzępiony na krawędziach, a nie rozszarpany przez wściekłe duchy.

Po chwili, kiedy kroki umilkły na dobre, a wrony znów krakały spokojniej, Marra wyjrzała nad krawędź jamy. Skraj lasu zasnuwała mgła kłębiąca się nisko nad łąką. Wrony pokrakiwały chaotycznie, w rytmie nieregularnie bijącego serca. Poza nimi nic się nie poruszało.

Usiadłszy znów na skraju dołu, pochyliła się nad kościanym psem, przeciągając w palcach drut z nadzieją, że uda się jej skończyć, zanim zapadnie ciemność.

\* \* \*

Kościany pies ożył o zmierzchu. Nie był jeszcze całkiem skończony, ale niewiele mu brakowało. Pracowała nad lewą łapą, kiedy szczęki zwierzęcia rozwarły się w szerokim ziewnięciu, a szkielet się przeciągnął, jakby ocknąwszy się z długiego snu.

– Spokojnie – napomniała psa. – Już kończę...

Usiadł, otworzył paszczę i liznął ją po twarzy widmowym językiem. Poczuła, jakby musnęła ją mgła.

Podrapała czaszkę za miejscem, gdzie powinny się znajdować uszy. Jej paznokcie zaszurały po twardej, jasnej powierzchni.

Kościany pies radośnie zamachał ogonem, kołysząc miednicą i połową kręgosłupa.

– Nie ruszaj się – nakazała mu, podnosząc jego przednią łapę. – Siedź grzecznie i daj mi skończyć.

Usiadł posłusznie. Puste oczodoły wpatrywały się w nią z uczuciem. Serce ścisnęło się jej ze smutku.

*Miłość psa z kości*, pomyślała pochylając głowę nad kością. *Tylko na tyle teraz zasługuję.*

Ale z drugiej strony przecież niewielu ludzi zasługiwało na miłość żywego psa.

Na niektóre dary nie da się zasłużyć.

Musiała zadzierzgnąć pętelkę na każdej jednej drobnej kosteczce stopy, połączyć ją z innymi, a potem jeszcze opleść całość na tyle mocno, żeby się nie rozpadła. To nie powinno się utrzymać, ale o dziwo, działało.

Tak samo było z płaszczem. Plecionka ze strzępów tkaniny i pokrzywowych sznurków wyglądała, jakby zaraz miała się rozpaść, ale okazała się mocna.

Nieokryte tkanką psie pazury wydawały się absurdalnie duże. Związała je razem, jakby robiła amulet, a potem doczepiła za pomocą drutu do płataniny cieniutkich drucików.

– Pies kościany, pies drewniany... – wyszeptała. We wspomnieniach ujrzała trzy dziewczynki recytujące wyliczankę: „Pies kościany, pies drewniany, pies żywy, pies krzywy, pies łup, pies trup, do biegu gotowy, już!”.

Na komendę „bieg!” skacząca dziewczynka zaczynała przebiegać w tę i w tę nad poruszającą się liną, przy akompaniamencie szurgotu stóp i uderzeń skakanki o ziemię. Kiedy się potykała, dziewczynki poruszające liną puszczały sznur i we trzy zaśmiewały się radośnie.

Kościany pies złożył pysk na jej przedramieniu. Nie miał uszu ani brwi, ale oczyma wyobraźni widziała jego minę, żalną i pełną nadziei, tak typową dla psów.

– Gotowe – powiedziała w końcu. Nóż stąpił się od cięcia drutu, więc musiała przez chwilę nim poruszać, zanim udało jej się skrócić końcówkę. Potem podwinęła wystający koniuszek pod staw, żeby o nic nie zahaczał. – Proszę. Mam nadzieję, że to wystarczy.

Kościany pies postawił łapę na ziemi i na próbę oparł na niej ciężar ciała. Przez moment stał przy Marze, a potem śmignął w mgłę.

Przycisnęła pięść do brzucha. *O nie! Trzeba go było uwięzić. Nawet nie pomyślałam, że może uciec...*

Klekot łap ucichł za białą zasłoną.

*Pewnie miał jakichś właścicieli, zanim umarł. Może pobiegł ich szukać.*

Bolały ją ręce. Bolało serce. Biedny głupi psiak. Pierwsza śmierć nie wystarczyła, by przekonał się, że nie wszyscy ludzie są go warci.

Marra również przekonała się o tym zbyt późno.

Spojrzała w dół z kośćmi. Opuszki pulsowały nieprzyjemnie, nie piekły, jak przy zszywaniu pokrzywowego płaszcza, ale tętniły głębszym rytmem uderzeń serca. Czerwone szramy wędrowały coraz wyżej, jedna sięgała już do nadgarstka.

Nie mogła znieść myśli o spędzeniu tu kolejnych kilku godzin na tworzeniu nowego psa.

Spuściła głowę, kryjąc twarz w obolałych dłoniach. Pożegnucha wyznaczyła jej trzy zadania. Uszyć płaszcz z sowiego sukna i pokrzyw, zbudować psa z przeklętych kości i pochwycić księżycową poświatę do słoika. Nie miała szansy podjąć próby wykonania trzeciego, skoro nie zdołała zrealizować nawet drugiego.

Trzy zadania, w zamian za które pożegnucha miała jej zdradzić sposób na zabicie księcia.

– Typowe – powiedziała sama do siebie. – Takie typowe. Udało mi się dokonać niemożliwego, ale nie pomyślałam, że psy czasem uciekają. – Z tego, co wiedziała o tych zwierzętach, jeśli kościany pies podjął trop, teraz mógł być już dziesiątki kilometrów stąd, goniąc jakiegoś kościanego królika, kościanego lisa czy kościanego jelenia.

Zaśmiała się gorzko w opuchnięte dłonie, a niedola przekształciła się, jak to często bywa, w śmiertelne znużenie. *Cóż, czy nie tak to właśnie wygląda?*

*Tak kończą się oczekiwania, że kości będą lojalne tylko dlatego, że się je wyciągnęło z dołu i połączyło drutem. Co pies może wiedzieć o zmartwychwstaniu?*

– Trzeba mu było dać kość – stwierdziła, opuszczając ręce, a wrony podchwyciły jej śmiech.

Cóż.

Skoro pożegnucha ją zawiodła – albo raczej ona pożegnuchę – musi znaleźć własny sposób. W końcu miała też matkę chrzestną, która ofiarowała jej podczas chrztu jeden, całkowicie nieprzydatny, dar. Może więc u niej znajdzie zadośćuczynienie.

Odwróciła się i noga za nogą zaczęła się wlec w stronę granicy poranionej krainy.

## ROZDZIAŁ 2



Marra była ponurym dzieckiem, z tych, na które dorośli ciągle sarkają, że płaczą się pod nogami. Nie była ociężała umysłowo, ale wydawała się młodsza niż w rzeczywistości i mało co przykuwało jej uwagę na dłużej.

Najmłodsza z trzech księżniczek całym sercem kochała przyrodną siostrę Damię. Dziewczyna, o sześć lat – czyli o całą wieczność – starsza, wysoka, blada i pewna siebie, była córką pierwszej żony ojca.

Ze średnią, rodzoną siostrą Kanią, o dwa lata starszą, łączyły Marzę więzy krwi, ale nie zażyłość.

– Nienawidzę cię – wysyczała do niej dwunastoletnia Kania przez zaciśnięte zęby. – Nienawidzę cię i chciałabym, żebyś umarła.

Od tej pory przekonanie, że siostra jej nienawidzi, zalegało w piersi Marry. Nie dotykało ono jej serca, ale wypełniało płuca, a czasami głębszy oddech zahaczał o słowa Kanii i te zapierały jej dech w piersiach.

Nikommu o tym nie mówiła. Bo i po co? Ojciec nie był człowiekiem złym, ale przeważnie nieobecny, nawet jeśli siedział obok. W najlepszym wypadku poklepałby ją niezręcznie po plecach i kazał wziąć sobie z kuchni jakiś smakołyk. Matka, królowa, zbyłaby ją roztargnionym: „Nie bądź śmieszna, siostra cię kocha”, po czym wróciłaby do czytania raportu od szpiegów i podejmowania decyzji, które miały zapobiec popadnięciu królestwa w ruinę.

Wszyscy się radowali, gdy Damia została przyrzeczona księciu Vorlingowi. Rodzina Marry władała niewielkim państwem-miastem, które pechowo miało jedyny głęboki port na wybrzeżu i leżało pomiędzy dwoma rywalizującymi królestwami.

Królestwa te pragnęły zagarnąć port dla siebie, a każde bez większego wysiłku było zdolne najechać i zająć miasto. Matka Marry przez długi czas balansowała na krawędzi, zapewniając królestwu bezpieczeństwo.

Teraz jednak księżę Vorling z Królestwa Północnego poślubi Damię i małżeństwo to scementuje sojusz. Jeśli Królestwo Południowe będzie próbowało przejąć port, Północne włączy się do obrony. Pierworodny syn Damii miał w przyszłości zasiąść na północnym tronie, a drugi (jeśli urodziłaby dwóch) objąć rządy w mieście portowym.

Mogło wydawać się dziwne, że dziedzic Królestwa Północnego miał pojąć za żonę księżniczkę tak małego państewka, jakim było Królestwo Portowe, ale mówiono, że w północnym rodzie królewskim zaczęła psuć się krew, gdyż jego członkowie zbyt często zawierali małżeństwa z bliskimi kuzynami. To prawda, że chroniła ich potężna magia, ale nie mogła ona wzmocnić krwi, więc królowie zaczęli szukać żon poza granicami swych ziem. Wżenienie się w rodzinę panującą Królestwa Portowego za jednym zamachem wzbogacało i krew, i skarbiec Królestwa Północnego.

– Nareszcie – cieszył się ojciec Marry. – Nareszcie będziemy bezpieczni.

Matka przytaknęła. Od tej pory Królestwo Południowe nie odważy się zaatakować, a Północne nie będzie miało interesu we wszczynaniu wojny.

Jedynie Marra rzewnie płakała.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała! – łkała, obejmując Damię. – Bo wyjedziesz, prawda?

– Wszystko będzie dobrze – śmiała się Damia. – Będę cię odwiedzała. Albo ty mnie.

– Ale nie będzie cię tutaj na stałe!

– Przestań, Marro. – Matka surowo ją ofuknęła i odciągnęła od pasierbicy. – Nie bądź samolubna.

– Marra jest zazdrosna, bo nie ma swojego księcia – drwiła Kania.

Było to tak niesprawiedliwe, że Marra rozpląkała się jeszcze bardziej. Miała już dwanaście lat i wiedziała, że jest za duża, by histeryzować, ale nie mogła powstrzymać napadu złości.

Zawołano niańkę, która ją zabrała, więc Marra nie widziała, jak Damia odjeżdża z całą pompą i ceremoniałem, z jakim wyprawiało się pannę młodą do królestwa narzeczonego.

Widziała jednak, jak pięć miesięcy później przywieziono do domu ciało Damii.

Czarny wóz ciągnęło sześć czarnych koni, a towarzyszyła mu eskorta jeźdźców w żałobie. Zarówno przed wozem, jak i za nim jechały po trzy czarne powozy z zaciągniętymi zasłonami w oknach. Do nich również zaprzęgnięto kare konie, które miały czarne siodła, czarne rzędy i czarne pancerze.

Marra pomyślała, że to przesadna rozpacz. Jakby ktoś chciał pokazać światu, na jak wielką żałobę może sobie pozwolić.

– Co za tragedia – szeptano. – Książę ma złamane serce. Podobno nosiła jego dziecko.

Marra kręciła głową. To niemożliwe. Świat nie może być tak źle skonstruowany, żeby pozwolił Damii umrzeć.

Marra nie płakała. Nie wierzyła, że siostra nie żyje. I wydawało się jej dziwne, że inni w to wierzą. Biegali w tę i we w tę, niektórzy płakali, ale większość planowała pogrzeb.

Tej nocy Marra zakradła się do kaplicy. Gdyby udało się jej dowieść, że spoczywające tam ciało nie należy do Damii, całą tę głupotę z pogrzebem można by odwołać.

Okryte całunem ciało mocno pachniało kamforą. W miejscu twarzy ułożono maskę pośmiertną. Przedstawiała niewzruszone oblicze Damii.

Marra wpatrywała się w leżącą postać, myśląc, że minęło już parę dni, odkąd nadeszły wieści o śmierci jej siostry. Przez ten czas było chłodno, ale nie zimno. Kamfora nie maskowała całkiem odoru rozkładu.

Zdała sobie sprawę, że jeśli zdejmie maskę i całun, ujrzy gnijącego trupa. Kto wie, jak to wygląda? Zbeształa się w duchu za dziecinność. Za to, że myślała, że może rozpoznać Damię. Przecież pod zasłoną mógł spoczywać każdy. Nawet ona.

Odeszła, zostawiając całun w spokoju.

Pogrzeb był wystawny, ale odbywał się w pośpiechu. Jeźdźcy, których przysłał książę, byli lepiej ubrani niż ojciec i matka. Marra nienawidziła rodziców za to, że wyglądają tak nędznie, i nienawidziła księcia za to, że postarał się to podkreślić.

Opuścili ciało do ziemi. To mogła być Damia. To mógł być każdy. Ojciec Marry płakał, matka patrzyła prosto przed siebie, zaciskając palce na lasce tak mocno, że aż pobieleły jej knykcie.

Dni mijały jeden po drugim, zmieniając się w tygodnie. Marra zaczęła wierzyć, że Damia nie żyje, głównie dlatego, że inni wydawali się w to wierzyć, ale było już za późno na żałobę, a poza tym, jak to w ogóle możliwe?

Raz próbowała o tym porozmawiać z Kanią.

– Oczywiście, że nie żyje – oświadczyła siostra krótko. – Nie żyje od wielu miesięcy.

– Naprawdę? – dociekała Marra. – To znaczy... no tak. Ale... nie żyje? Naprawdę? Przecież to nie ma sensu!

Kania spojrzała na nią zdumiona.

– Nie bądź śmieszna – rzekła. – To nie musi mieć sensu. Ludzie po prostu umierają, i tyle.



– No, pewnie tak – przyznała Marra nieprzekonana, siadając na skraju łóżka. – Znaczy... Wszyscy mówią, że nie żyje.

– Przecież by nie kłamali w takiej sprawie – powiedziała Kania. – Jej ślub z księciem miał nam zapewnić bezpieczeństwo. A teraz, skoro umarła, księżę poślubi inną dziewczynę, a nam znów będzie groziła wojna.

Marra nic nie powiedziała. Nic nawet na ten temat nie pomyślała.

*Muszę zacząć myśleć jak dorosła, postanowiła. Kania radzi sobie z tym lepiej niż ja.*

Różnica dwóch lat nagle wydała się jej ogromna, jak przepaść pełna różnych spraw, o których Marra wiedziała, ale o których nigdy nie myślała.

Kania westchnęła, przysunęła się do Marry i objęła ją ramieniem.

– Ja też za nią tęsknię – powiedziała.

Marra nie odsunęła się, choć wiedziała, że siostra jej nienawidzi.

Najwyraźniej nienawiść, podobnie jak miłość, była skomplikowana.

\* \* \*

Przed Marrą rozciągał się kraniec poranionej krainy. Dziewczyna w zamyśleniu patrzyła nań przez minutę.

Dziwne, jak bardzo wyraźna była granica. Jak krawędź cienia, rzucanego przez obłok przesłaniający słońce. Jedna strona ciemna, druga jasna. Wiatr potrzebował chwili, by się przedostać z jednej strony na drugą.

Wciąż słyszała wrony. Te poza granicą krakały normalnie: „Kra! Kra! Kra!”.

Te nad nią wydawały z siebie dźwięki w rodzaju „Grrak! Grrak!”. Ciekawe, czy wrony stamtąd nienawidzą tych stąd tak samo, jak ludzie z wioski po tamtej stronie nienawidzili tych z poranionej krainy.

Ostrzegali ją, by nie wchodziła do poranionej krainy.

– Zabiją cię zaraz, jak cię zobaczą – mówił mężczyzna, opierając się o płot. Inny, jego przyjaciel bądź brat, kiwał głową.

– Rozszerza się – stwierdził. – Każdego roku przesuwają się coraz bardziej.

Pierwszy przytaknął.

– Tamte drzewa były po naszej stronie, a teraz są po tamtej – denerwował się. – Tam żyją kanibale. Jeśli tam pójdziesz, zjedzą cię i wyssą szpik z twoich kości.

– Nie ma po co tam chodzić – poparł go drugi. – Porządni ludzie tam nie chodzą.

Popatrzyli na nią podejrzliwie, a pierwszy splunął jej pod nogi.

Okazało się, że w poranionej krainie ludzie są bardziej przyjaźni. Zapraszali ją, by ogrzała się przy ich ogniu, i dawali wskazówki, jak ma iść.

*Martwiłam się nie tym, co trzeba. Jak zwykle.*

Droga z domu pożegnuchy do poranionej krainy zajęła jej półtora dnia. Marze wydawało się, że powinna trwać dłużej. W końcu nigdy nie słyszała o poranionej krainie, więc ta nie powinna znajdować się tak blisko, w zasadzie tuż za progiem.

*Może to magia, pomyślała. Magia albo coś gorszego.* Skoro taka kraina w ogóle istniała. Skoro została zniszczona przez bogów. Skoro, jeśli się obrało kierunek i szło z myślą o nim, dochodziło się do celu bez względu na to, w którą stronę się poszło.

Nie podobało jej się to. Oznaczało bowiem, że poraniona kraina mogła dotknąć jej królestwa, że bogowie, którzy karali głodujących ludzi, mogli pewnego dnia dotknąć jej poddanych. To wszystko było zbyt bliskie, zbyt rzeczywiste i zbyt wygodniałe.

Marra otuliła się szczelniej płaszczem z sowiego sukna i pokrzyw i opuściła poranioną krainę.

Kłątwa ciągnęła się za nią, kiedy szła, swędziała jak ukąszenia komarów. Marra instynktownie otrzepała ramiona, choć wiedziała, że nic na nich nie ma.

Ziemia pod stopami wydawała się dziwnie twarda, jakby dziewczyna zeszała z dywanu na kamienną posadzkę. Rozejrzała się, mrugała, oślepiona jasnym blaskiem słońca.

Uszła może dziesięć kroków, trzymając płaszcz rękami złożonymi na piersiach, kiedy ktoś krzyknął:

– Stój!

\* \* \*

Ledwie parę miesięcy po pogrzebie Damii przysłała wiadomość, że księżę chce poślubić Kanię.

– Jeszcze nie teraz – orzekła matka. – Może za rok albo dwa. Na razie nie byłoby to właściwe. Ale później tak, aby utrzymać sojusz.

Kania skinęła głową. Miała skórę ciemniejszą niż Damia i była prawie o głowę niższa od starszej siostry, ale w tym momencie Marra pomyślała, że ona i matka są do siebie takie podobne – stanowcze, silne i nieco wystraszone.

– Nie... – powiedziała, ale na tyle cicho, że nikt jej nie usłyszał. Głupio było się bać, że skoro umarła Damia, to Kanię też to czeka.

Śmierć Damii była wypadkiem, niczym więcej. Była tragedią. Nikt nie zawinął.

Marra to wszystko wiedziała. Ale wiedza ta nie wygnała dręczącego lęku, który zagnieździł się pod jej mostkiem. Wydawało się jej, że przecież inni muszą

go widzieć, że jest jak narośl, i dziwiła się, że nikt nigdy nic na jego temat nie powiedział.

– Uważaj na siebie – powiedziała pewnego dnia do Kanii. – Proszę, nie...

Zamilkła. Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie wychodź za mąż? Nie schodź po żadnych schodach?

– Na co miałabym uważać? – zapytała Kania ostro.

Marra żałośnie pokręciła głową.

– Nie wiem. Po prostu czuję, że stanie się coś złego.

– Nic złego się nie stanie. To, co przydarzyło się Damii, to był wypadek. Mnie się to nie przydarzy!

Ostatnie słowa wypowiedziała opryskliwie, a potem odwróciła się i wyszła, pełna gniewu.

*I znów narobiłam zamieszania. Nie powiem już nic więcej, dopóki tego nie sprawdzę.*

Minął rok i Kania odjechała na północ, z nieco mniejszą pompą niż Damia. Marra odprowadzała ją wzrokiem, wbijając sobie paznokcie w dłonie. Jej siostra była zbyt młoda, ale nikt na ten temat się nawet nie zająknął.

Kiedy jeszcze żyła Damia, Marra w takiej sytuacji sama by się odezwała, domagałaby się odpowiedzi i wyjaśnień. Teraz tylko spuściła głowę i zamilczała.

*Wszyscy wiedzą. Muszą wiedzieć. Nie odzywają się z jakiegoś powodu. Dlaczego nikt nic nie mówi?*

– Nie płacz – powiedziała jej niańka, kiedy stały na murach zamkowych i patrzyły, jak konie księcia unoszą Kanię w dal. – Staraj się cieszyć jej szczęściem. Ty też kiedyś znajdziesz sobie księcia.

– Chyba wcale go nie chcę – pokręciła głową Marra.

– Ależ oczywiście, że chcesz – przekonywała niańka. Jej pracą było dbanie o to, żeby księżniczki były odpowiednio ubrane, nakarmione, żeby nauczyły się chodzić, mówić, miło uśmiechać, nie zaś zgłębianie ich myśli. Marra rozumiała to i rozumiała także, że zbyt dużo od tej kobiety wymaga, dlatego już nic nie mówiła, tylko patrzyła, jak konie unoszą w dal jej siostrę.

\* \* \*

Osiem miesięcy później Marra poszła do zakonu. Miała piętnaście lat, więc nie miało to sensu, skoro mogła wyjść za mąż za księcia i rodzić mu synów, ale tego księżę Vorling nie chciał. Kania nie urodziła mu jeszcze dziecka, więc gdyby Marra wyszła za mąż i powiła syna wcześniej niż siostra, mógłby się on stać pretendentem do tronu małego Królestwa Portowego.

Książę Vorling dostał, czego chciał. Królestwo Północne nadal trzymało nóż na gardle małego królestewka, a teraz jeszcze wzięło Marzę na zakładniczkę.

Matka wyjaśniła jej to, choć nie użyła słowa „zakładniczka”, tylko powiedziała „doraźny” i „dyplomatyczny”, ale Marra doskonale wiedziała, że kryje się za tym „zakładnik”. Kania była zakładniczką księcia. Przyszłe dzieci Marry, jeśli by je miała, byłyby zakładnikami płodności Kanii.

– Spodoba ci się w klasztorze – przekonywała królowa. – Będzie ci tam w każdym razie lepiej niż tutaj.

Marra bardzo przypominała matkę z wyglądu. Obie miały szerokie, okrągłe twarze, nie do odróżnienia od twarzy wieśniaków pracujących na polach poza zamkiem. Umysł królowej był ostry jak brzytwa i całymi dniami służył do tkania pajęczyny sojuszy i umów handlowych, pozwalających królestwu utrzymać się na powierzchni. Najwyraźniej królowa uznała, że Marzę można wycofać z matrymonialnej gry kupców i książąt i odstawić na bok. Dziewczyna jednocześnie nienawidziła matki za tę bystrość i czuła ulgę, że nie musi brać udziału w tej grze. W końcu dodała to do składu gromadzonych pod sercem spraw skomplikowanych.

W klasztorze rzeczywiście jej się spodobało. Dom Mateczki od Wilgowronów był cichy i nudny, a oczekiwania wobec Marry formułowano jasno i bez owijania w dyplomatyczne słówka. Nie była pełnoprawną nowicjuską, ale pracowała z innymi w ogrodzie, wykonywała opatrunki i całuny. Lubiła tkać i szyć. Jej ręce pracowały, a ona mogła bujać myślami, gdzie tylko chciała, i nikt jej o to nie wypytywał. Jeśli zrobiła coś głupiego, konsekwencje ponosiła jedynie ona, a nie cała rodzina królewska. Jeśli zamykała drzwi do celi, pozostawały one zamknięte. W pałacu drzwi ciągle się otwierały, wchodziłi i wychodziłi przez nie służący, opiekunki i damy dworu. Księżniczki stanowiły własność publiczną.

Nie sądziła, że zakonnice mają więcej władzy niż księżniczki. Że mogą wedle uznania zamknąć drzwi.

Nikt poza przeoryszą nie wiedział, że jest księżniczką, choć wszyscy się domyślali, że pochodzi ze szlacheckiego rodu, więc nie kazali jej sprzątać stajni, w których mieszkały kozy i osły. Kiedy kilka miesięcy po przyjeździe Marra zdała sobie z tego sprawę, rozgorzał w niej gniew. Czerpała dumę ze swojej pracy. Było to coś, co należało do niej, do Marry, nie do księżniczki, i co robiła dobrze. Jej ściegi były drobne, równe i precyzyjne, tkane materiały – proste i dokładnie wykonane. Świadomość, że pochodzenie nadal rzuca na nią cień, wzbudziła w niej upór. Poszła do stajni, chwyciła widły i niezdarnie zabrała się do pracy.

Szło jej fatalnie, ale nie przestawała, a następnego dnia wróciła pomimo bolących pleców i pęcherzy na rękach. *To nic gorszego od pierwszego upadku*

*z konia. Trzeba po prostu nadal machać widłami.*

Kozy obserwowały ją podejrzliwie, ale to nic nie znaczyło, bo kozy każdego obserwują podejrzliwie. Zakładała, że nie zastanawiają się i nie oceniają jej techniki posługiwania się widłami.

– Nikt od ciebie tego nie wymaga – stwierdziła mistrzyni nowicjuszek, stając w progu stajni. Jej cień padł na przejście pośrodku, jakby była posągiem.

– A nie powinno tak być – powiedziała Marra, mocniej chwytając widły, mimo że pęcherze paliły żywym ogniem. Wsunęła zęby pod grudę gnoju i ostrożnie ją podniosła.

– Czasami mamy tu nowicjuszeki, które nigdy wcześniej nie pracowały. – Przełożona westchnęła. – Niektóre boją się ciężkiej pracy. Inne uważają, że praca ich nie powinna dotyczyć. Ale są i takie, które się w niej zapominają albo traktują ją jak sposób na umartwienie ciała.

Marra wrzuciła gnój do stojącej obok taczki i wyprostowała się, a jej plecy zapytały, czy naprawdę, ale to naprawdę chce to dalej robić.

– A ja niby do której grupy należę?

Przełożona wzruszyła ramionami.

– Ostatecznie u każdego efekt jest ten sam. Wykonujemy pracę, ponieważ trzeba ją wykonać, i przez jakiś czas czerpiemy z tego satysfakcję. – Wzięła drugie widły i trzema wprawnymi ruchami oczyściła część boksu. – Musisz je trzymać tak. Chwytasz je zbyt blisko zębów i przez to ciężiej ci dźwigać.

Marra przesunęła ręce i ostrożnie spróbowała. Rzeczywiście, nie musiała już wkładać w pracę tyle wysiłku, a gnój zdawał się lżejszy. Kozy, straciwszy uciechę z obserwowania jej nieporadnych prób, odeszły.

– Dopiszę cię do dyżurów w stajni – powiedziała przełożona nowicjuszek, strzepując brud z habitu. – Ale kiedy skończysz tę przegrodę, odkładasz na dzisiaj widły. I porozmawiaj z siostrą aptekarką, niech ci da coś na te pęcherze.

– Dziękuję – rzekła Marra prawie niesłyszalnie i skłoniła głowę. Czowała się, jakby przeszła jakąś próbę, nawet jeśli odbywała się ona tylko w jej głowie, i nie bardzo wiedziała, czego, o ile czegokolwiek, się dzięki niej nauczyła.

## ROZDZIAŁ 3



Marra stała na krańcach poranionej krainy, nasłuchując, skąd dobiega głos. Było tu zbyt jasno. Przywykła do półmroku tego miejsca. Teraz bolały ją oczy, jakby patrzyła na śnieg, a nie na gruntową drogę i szereg ogrodzeń.

– Widziałem cię – rozległ się ponownie głos.

Zmrużyła oczy i wreszcie ujrzała mówiącego. Był to mężczyzna. Całkowicie przeciętny, w burym ubraniu, jakie tutaj, na skraju pustyni, nosili wszyscy. Niczym się nie wyróżniał, poza tym, że do niej krzyczał.

– Dzień dobry – wychrypiała niepewnie. Jej głos przypominał krakanie wrony.

– Widziałem, skąd przyszałaś – warknął mężczyzna. – Jesteś jedną z nich. Jedną ze złych.

Marra pokręciła głową. Bzdura. Łamała się chlebem z przeklętymi, a teraz zaczepiał ją ponoć normalny mężczyzna. To jakiś absurd. To...

*Typowe. Przecież w powszechnym mniemaniu książę również jest całkowicie zdrowy na umyśle. Powinnam to była przewidzieć.*

– Nie jestem stamtąd – zaprzeczyła, opanowując chęć wzięcia tamtych ludzi w obronę. – Zgubiłam się. Pochodzę z Królestwa Portowego.

– Tutaj nie ma w pobliżu Królestwa Portowego.

Marra wbrew sobie poczuła ulgę. To dobrze. To znaczy, że poraniona kraina nie dotknęła jej kraju – jeszcze nie.

Ale jej ulga trwała krótko. Mężczyzna miał ze sobą łopatę. Marra zerknęła na narzędzie podejrzliwie. Łopaty służyły do zakopywania nieżywych ludzi, jak również do uprzedniego pozbawiania ich życia.

– Długo wędrowałam, żeby tu dojść – wyjaśniła. – No, nie tu konkretnie. Idę do pożegnuchy. – Zastanowiła się, czy przywołanie tej postaci pomoże. Chyba wszyscy szanowali pożegnuchy?

Mężczyzna splunął.

– Chcesz ożywić zmarłego? – zapytał. – Jednego ze złych? – Zrobił krok w jej stronę.

– Nie, ja tylko... – Marra zerknęła przez ramię.

Czy zdołałaby dobiec i skryć się we mgle?

To śmieszne. *Czy bohater Mordecai musiał przystawać na swej drodze, żeby wyjaśnić napotkanym ludziom, że idzie zabić jadowitego robala? Czy próbowali go wygonić z powrotem na bagna?* Nie dość, że Marra nie zdołała wypełnić zadania, to teraz jeszcze to?

Mężczyzna zrobił ku niej kolejny krok, unosząc łopatę.

– Wracaj tam, skąd żeś przyszła – burknął. – Wracaj, bo cię zabiję. I siedź tam, gdzie twoje miejsce.

– Ale...

Chciała mu wytłumaczyć. Naprawdę chciała to zrobić. Słowa trysnęły z niej jak krew z rany, chaotyczne wyjaśnienia o pożegnusze, kościanym psie, trzech niemożliwych do wykonania zadaniach i podróży dylizansami z Królestwa Portowego, ale szybko zdała sobie sprawę, że mężczyzna w ogóle jej nie słucha. Gapił się na coś za jej plecami, na coś we mgle.

Marra odwróciła się i ujrzała jakiś kształt poruszający się na granicy poranionych ziem.

– O bogowie – wyszeptał mężczyzna, mocniej chwytając trzonek łopaty. – Coś tu idzie.

Marra znieruchomiała w pułapce pomiędzy mężczyzną z łopatą a cieniem, bojąc się ruszyć.

Usłyszała tupot, grzechot, a potem...

Coś wypadło z mgły, kościana zjawa pędząca na czterech łapach. Podskoczyła, omiatając jej twarz niewidzialnym językiem, i znów wylądowała na ziemi.

– Pies – powiedziała Marra i łzy popłynęły jej po policzkach. – Psie, wróciłeś.

Kościany pies zadarł łeb, spoglądając na nią pustymi oczodołami, i rozwarł paszczę w bezcielesnym uśmiechu.

– P... potwór! – wrzasnął wieśniak, gwałtownie się cofając. – Potwór!

*Potwór? Gdzie?*

Marra obejrzała się, przekonana, że z poranionej krainy wyszło coś straszego. Szkieletowy pies szczeknął bezgłośnie, tańcząc na czterech łapach, a Marra usłyszała klekot kręgów i drutów.

Złapała psa za kręgosłup, próbując znaleźć wygodny sposób, by go przytrzymać. Nie da się przecież łapać za kark zwierzęcia, które go nie ma.

– Cicho – prosiła. – Uspokój się. Spokój!

Na granicy poranionych ziem panowała cisza. Krakanie niosło się echem, ni tu, ni tam. Wieśniak uciekł, porzucając łopatę.

Jaki potwór?

Potem spojrzała w dół i zdała sobie sprawę, że napastnik miał na myśli szkielet psa.

*Ach. No tak. W sumie.*

Zmarszczyła brwi. To był naprawdę dobry pies. Miał piękne kości, i nawet jeśli użyła trochę za dużo drutu i poplątała go nieco przy palcach i jednej z kości ogona, to uważała, że porządny człowiek, zanim zacznie krzyczeć i uciekać, powinien jednak przez chwilę popodziwiać jej dzieło.

– Cóż, o gustach się nie dyskutuje – mruknęła. Czuła jeszcze płynące po policzkach łzy, ale już mniej realne, jak widmowy język psa. – No dobrze. Wracajmy do pożegnuchy, żeby cię jej pokazać.

\* \* \*

Choć Marra była nowicjuską, to nie przyjęła święceń, nie musiała więc uczestniczyć w mszach trzy razy w ciągu dnia. Czasem jednak i tak na nie chodziła. Nabożeństwa dla Mateczki od Wilgowronów były krótkie. Bogini (czy też świętej – nikt nie był pewny) nie zależało na skomplikowanych ceremoniałach. W zasadzie nikt za bardzo nie wiedział, czego pragnęła, uważano tylko, że jest ogólnie życzliwie nastawiona do ludzi.

– To tajemniczy kult – powiedziała przeorysza po wypiciu większej niż zazwyczaj ilości wina – a my mamy za dużo pracy, żeby zastanawiać się nad tajemnicami. Dlatego staramy się dogadywać z nią najlepiej jak potrafimy. Czasami ktoś ma jakąś wizję, ale Mateczka chyba nie potrzebuje niczego szczególnego, więc po prostu okazujemy jej wdzięczność.

Mateczkę od Wilgowronów przedstawiał posąg kobiety w kapturze nasuniętym na twarz aż po usta, które wyginały się w lekkim, nieco kpiącym uśmiechu. Na jej ramionach siedziały cztery ptaszki. Na obrusie okrywającym ołtarz Mateczki wyhaftowano postaci pomniejszych świętych. A ponieważ wydawało się, że bogini nie ma wielkich wymagań wobec swych wyznawców, zakonnice modliły się właśnie do tych świętych, którzy nie mieli własnych kultów.

– Niektórzy z nich pewnie już nie żyją – mówiła przeorysza, zapalając świece. – Ale nie szkodzi pomodlić się i za zmarłych.

Zakon sąsiadował przez ścianę z klasztorem męskim, a w towarzystwie przyzwoitki Marra mogła chodzić do tamtejszej biblioteki. Co prawda czytanie nigdy nie było jej mocną stroną, ale były tam przeróżne książki, nie tylko o tematyce religijnej, lecz także o tkactwie i dzierganiu. Warto było odcyfrowywać nawet najdłuższe słowa, żeby nauczyć się nowych ściegów.



Marra wypróbowywała je na skrawkach i czasem wychodziły, a czasem nie, ale paląca ciekawość, czy kolejny wzór wyjdzie, gnała ją do poznawania następnych. Nie pamięta, by wcześniej czuła coś takiego. W księżniczkach nie zaszczepiano potrzeby pogoni za wyzwaniem intelektualnymi. Nawet nie bardzo wiedziała, jak to nazwać. Czuła, jakby w jej piersi jaśniało światło, jakby widziała przed sobą tylko mały kawałek, który podsycił w niej chęć podążania naprzód. Nie było nikogo, kto mógłby przekazać jej wiedzę ani nawet powiedzieć, czy informacje, które chciała zdobyć, w ogóle istnieją. Nie miała z kim dzielić tej ekscytacji, ale nie smuciła się tym, ponieważ nawet nie przyszło jej do głowy, że ktoś mogłoby to obchodzić.

Marra co prawda pochodziła z królewskiego rodu, ale – choć nie była tak naprawdę zakonnicą – pozwalano jej zdobywać wiedzę i umiejętności.

Gdy przeorysza, jak co sezon, napisała do pałacu z przypomnieniem o opłacie za pobyt księżniczki w zakonie, wspomniała również o zainteresowaniu podopiecznej tkactwem oraz haftem. Wraz z monetami przysłano piękną wełnę i barwione nici.

Królowa co miesiąc wysyłała również przemyślane, kreślone pięknym pismem listy do córki.

Nie było w nich nic, co mogłoby zainteresować szpiega. Król się przeziębził. Kwitły jabłonie na dziedzińcu. Matka za nią tęskniła. (Marra nie wiedziała, czy może wierzyć w to ostatnie). I co miesiąc taka sama linijka: „Twoja siostra pisze, że ma się dobrze”.

W osiemnastym roku życia Marra zakochała się bez pamięci w młodym aspirancie z klasztoru męskiego, socjuszu brata intendenta. Miał piękne oczy i zwinne ręce i Marra zadurzyła się w nim po uszy.

Doszło do czterech czy pięciu pospiesznych, niezręcznych zbliżeń, a potem Marra podsłuchiwała, jak chwali się przed innymi aspirantami, że zległ z królewską bękarcicą. Nieważne, że towarzysze wyśmiali go, nie uwierzywszy w przechwałki. Zrozpaczona Marra uciekła do swojej celi, zwinęła się na łóżku w kłębek i postanowiła umrzeć na złamane serce. Minstrele śpiewaliby o tym, jak odwróciwszy twarz do ściany, umarła, śmiertelnie ugodzona męską zdradą.

Nie potrafiła tylko zdecydować, czy nawiedzać klasztor po śmierci, czy jednak dać sobie spokój. Tak cudownie byłoby być smutnookim, pięknym duchem włączającym się korytarzami, spoglądającym w księżyc i łkającym bezgłośnie, ostrzeżeniem dla innych młodych, naiwnych kobiet. Z drugiej strony, przecież miała okrągłą twarz i była krępa, a nie słyszało się wielu historii o niskich, krzepkich duchach. Dorastanie nie zmieniło Marry w wiotką, bladą i suchotniczą piękność i dziewczyna nie sądziła, by udało się osiągnąć ten stan przed śmiercią. Może lepiej byłoby jednak poprzestać na balladach?

W końcu przyszła do niej siostra zielarka, zakonnica, która leczyła wszystkich mieszkańców klasztoru z różnych dolegliwości i sporządzała lekarstwa, maści oraz kurowała żony mieszkających w pobliżu gospodarzy. Przez kilka minut dokładnie badała Marzę.

– To przez chłopca, prawda? – zapytała.

Marra odburknęła niemrawo. Godzinę wcześniej uświadomiła sobie, że nie wie, jak minstrele mogliby się dowiedzieć o jej tragedii, o której mieliby pisać swe ballady, i od tej pory ów ważki problem zaprzętał jej myśli. Może trzeba napisać do nich list? Siostra zielarka nalała dwie porcyjki kordiału i jeden kubek podała Marze.

– Napij się ze mną, a opowiem ci o mojej pierwszej miłości.

Trzeba było jeszcze trzech dolewek i dwóch tragicznych historii, żeby Marra otrząsnęła się i opowiedziała swoją. Siostra dała jej na wszelki wypadek herbatkę, żeby nie przestała krwawić, a potem poszła do ksieni. Tydzień później młodzieńca przeniesiono do innego klasztoru, Marra zaś została z bolesną pustką w sercu, rozmyślając, w jaki sposób „tajemnicza szlachcianka” stała się w umysłach mnichów „bękarcia córka króla”. Cóż. Zawsze to bezpieczniej, niż być księżniczką. Pozostawała poza hierarchią zakonną, przydzielono jej więc rolę, która pasowała do jej pozycji. Marze było tylko wstyd ze względu na matkę, ponieważ teraz wszyscy uważali, że król nie był jej wierny, ale potem nagle przyszło jej do głowy, że może rzeczywiście ojciec zdradzał matkę i ona, Marra ma gdzieś siostry przyrodnie, a ta myśl ją przerosła i wytrąciła z równowagi, więc szybko ją pogrzebała.

W końcu jednak, jak to zwykle bywa, rana w sercu się zagoiła. Marra jeszcze trochę się nad sobą użalała, a potem przestała. Zakochała się bez pamięci i całkiem bez wzajemności w odwiedzającym klasztor uczonym o ognistych włosach i uduchowionym wejrzeniu, a to nowe uczucie pogrążyło ją w błogim cierpieniu. Tym razem zamiast o duchach i minstrelach fantazjowała o pozostaniu w klasztorze do później starości, aby opowiadać nowicjuszkom o tragicznej utracie miłości życia.

Wreszcie i to wielkie uczucie zbladło, pozostawiając po sobie przyjemne wspomnienie, a przez cały ten czas co miesiąc przychodziły listy, w których królowa zapewniała, że Kania ma się dobrze.

\* \* \*

Po pięciu latach spędzonych w celi o bielonych ścianach, pełnej koszy z motkami i nićmi, dwudziestoletnia już Marra została wezwana na dwór Królestwa Północnego. Kania miała w końcu powić swe pierwsze dziecko.

Dziwnie było znów podróżować królewską kareta. Marra nie była zamknięta w klasztorze i często odwiedzała pobliską wioskę, ale szła tam pieszo albo jechała z jakąś mniszką na wozie zaprzężonym w osła. Już zapomniała, jaka to wygoda, jechać dobrze resorowaną karocą o aksamitnych siedzeniach, ciągniętą przez szybkie siwki.

Wyglądała przez okno, myśląc, że to wszystkie jest takie dziwne.

– Wyglądasz bardzo dobrze – oceniła królowa.

– Dziękuję – odpowiedziała Marra i przyjrzała się matce. Zupełnie jakby patrzyła na swoje odbicie w lustrze za dwadzieścia lat. Włosy królowej nadal były czarne, choć było to w dużej części zasługą henny. W stroju, założonym warstwa po warstwie niczym zbroja, nawet wrogie oko nie znalazłoby żadnego niedociągnięcia.

– To gorset – rzekła królowa, rozbawiona spojrzeniem Marry. – W moim wieku trudno o odpowiedni efekt. Chodzi o to, by uzyskać dobrą figurę mimo urodzenia dwójki dzieci, ale nie nazbyt dziewczęcą, by ludzie nie podejrzewali sztuczki, i nie nazbyt pełną, by nie posądzili cię o uwodzicielskość.

– To aż tak ważne? – zapytała Marra, spoglądając na swoją prostą szatę. Tkanina była delikatna, a rękawy obrębione haftem w wilgowrony, ale już pierwszy rzut oka na ten ubiór mówił, że jego właścicielka jest z klasztoru.

– Dla królowej? Owszem.

Marra westchnęła. Uważała, że to śmieszne. Ksieni była tęga niczym beczułka, a siostra zielarka miała wąskie ramiona i szerokie biodra, wyglądała jak gruszka, ale obie nosiły warstwowe szaty jak Marra, tyle że przeorysza miała również szaty liturgiczne, a siostra zielarka związywała rękawy, by nie nurzać ich w naparach.

– Możemy dać ci ubrania, jeśli wolałabyś przez ten tydzień chodzić w sukniach – powiedziała królowa wybitnie neutralnym głosem, jakby pilnowała, by swoim tonem nie wpłynąć na decyzję córki.

Marra przyjrzała się sukni matki i przypomniała sobie, jak długo trwało jej poranne ubieranie, kiedy miała piętnaście lat. Wtedy ją to ekscytowało, a teraz uważała, że to za dużo trudu, szczególnie że tym razem oceniałyby ją oczy zdecydowanie mniej pobłażliwe, niż gdy była piętnastoletnią księżniczką we własnym zamku.

*Tyle już zapomniałam. Będą tam pokojówki i damy dworu gotowe mnie czesać, ubierać i pudrować mi twarz. Ale musiałabym siedzieć godzinami, podczas gdy one ubierałyby mnie jak lalkę, a potem bałabym się pić i jeść, żeby nie popsuć tej całej ich pracy.*

– Wolę wyglądać jak mniszka – oświadczyła.

– A więc habity – zgodziła się matka. – To łatwiejsze. Ale musisz pamiętać, że będziesz traktowana jak mniszka, nie jak księżniczka.

– Chyba tak wolę – powiedziała Marra, zaplatając dłonie, by ukryć odciski od pracy w stajni.

\* \* \*

Stolica Królestwa Północnego stała na wzgórzu ponad zimną równiną. Niemal nie było tu drzew. Majaczące w oddali góry sterczały w niebo jak sztylety, ale stolica wznosiła się jeszcze wyżej, jakby miała z nimi rywalizować.

Najstarszą część miasta otaczał mur warowny, ale potem budynki rozprzestrzeniły się poza jego obręb, więc zbudowano drugi, a potem trzeci, aż powstało pięć białych kamiennych kręgów, między którymi wiała się główna droga, wiodąca spiralnie w górę wzgórza aż do pałacu.

Biel kamienia kontrastowała z brązem ziemi, przyjmując chłodną barwę, podobną poświacie księżyca na śniegu. Marra wobec tej bieli wielkiego miasta czuła się taka mała, mała i nieważna, jednak odnosiła wrażenie, że efekt był zamierzony, że miasto miało sprawiać, by przyjezdni czuli się w porównaniu z nim mali i nic nieznaczący.

*Może to sposób na zniechęcenie najeźdźców, zastanawiała się. Miasto zdecydowanie nie wydaje się przyjaznym miejscem.*

Karoca minęła bramę szczerzącą się ostrymi bronami. Marra okryła się szczelniej pledem, jakby zrobiło się jej zimno.

Potem zaczęli jechać krętą drogą w stronę pałacu, pokonując uliczki wijące się jak ciało węgorza.

W rzece nieopodal zakonu żyły węgorze, które wieśniacy czasem łowili dla zakonnicy, Marra więc często je jadała. Podejrzewała jednak, że gdyby próbowała przełknąć kawałek tego, pewnie utknąłby jej w gardle.

W pałacu nikt nie wyszedł im na spotkanie. Marze wydawało się, że powinno się ich witać z pompą i królewskim przepychem, i właśnie na to się nastawiła. Brak tego wszystkiego nieco wytrącił ją z równowagi.

– Jakoś mało tu ludzi – mruknęła.

– Pokazują nam, gdzie nasze miejsce – rzekła spokojnie królowa. – Przybyliśmy jako rodzina Kanii, nie przedstawiciele królestwa, więc przypomina się nam, że jesteśmy zaledwie ubogimi krewnymi.

– Co teraz zrobimy?

– Zignorujemy to – odpowiedziała matka i wysiadła z powozu, jakby była władczynią tego królestwa, a nie ubogą krewną.

Dwóch lokajów w liberii eskortowało kobietę, która przypominała Marze siostrę zielarkę.

– Zaczęła rodzić – oznajmiła położna. – Wasza wysokość. Potrwa to jeszcze parę godzin, a kilka już za nami. Pierwszy raz zawsze jest trudny.

– Prowadźcie mnie do niej.

Pałac kipiał od barw, korytarzy i gobelinów. Marra szła za matką podążającą za położną. Spodziewała się, że będzie mogła iść do swoich pokoi, odpocząć, może coś zjeść, ale okazało się, że nie ma na to czasu.

*Będę musiała tam wejść? Zobaczę to wszystko?*

Cóż, na to się zanosilo.

Położna otworzyła drzwi do sypialni wielkości sali balowej, z kominkiem na końcu. Może przyjęcie królewskich gości było skromne, ale Królestwo Północne z pewnością nie żałowało położnych dla swych księżniczek. W sypialni obozowała cała armia, a w środku, na łożu przypominającym pole bitwy, widać było brązowy owal twarzy Kanii.

– Wyglądasz promiennie – oświadczyła królowa, ujmując córkę za rękę.

Marra wyjrzała ponad ramieniem matki, nie wiedząc, co powiedzieć.

Kania wcale nie wyglądała promiennie. Była wykończona, a ciemne kręgi wokół jej oczu na bladej twarzy przypominały czarne studnie.

– Matko – wydusiła, słabo ściskając dłonie królowej. – Matko. – Przymknęła powieki i przełknęła ślinę, co zabrzmiało jak kliknięcie w gardle.

– Już niedługo – pocieszała ją królowa. – Wiem, że cierpisz, ale wkrótce to się skończy.

– Nie obchodzi mnie, jak bardzo boli – wychrypiała Kania. – Chcę tylko, żeby to dziecko ze mnie wyszło. Natychmiast.

– Jak każda kobieta, której czas nadszedł – rzekła królowa, pochyliła się i pocałowała córkę w czoło. – Już niedługo, obiecuję. – Podniosła się. – Przyniosę ci coś do picia. – Odwróciła się i zażądała od dam dworu herbaty.

Marra spojrzała nerwowo za matką, a potem znów popatrzyła na Kanię. Nie widziała wcześniej rodzącej kobiety i nie wiedziała, czego się spodziewać, ale pamięć o nienawiści Kanii do niej leżała schowana pod sercem. Może siostra wcale nie chce jej tu widzieć?

– Marra? – dobiegł ją głos Kanii.

– Jestem tu. – Marra wzięła siostrę za rękę. – Jestem.

– Jesteś – powtórzyła Kania i spojrzała przez ramię Marry na salę. – Gdzie matka?

– Poszła po coś do picia dla ciebie. Zaraz wróci.

– A więc nie mamy wiele czasu – szepnęła Kania i przyciągnęła Marrę do siebie, tak blisko, aż prawie mogła dotknąć wargami jej uszu.

– Kaniu...?

– Posłuchaj – syknęła Kania. – Posłuchaj! Jeśli umrę, nie pozwól, żeby matka oddała cię księciu. Uciekaj. Pohańb się. Zrób wszystko, co konieczne. Ale nie daj jej się wepchnąć do tego samego piekła, które stało się naszym udziałem.

Marra zamrugła. Kania ścisnęła jej bark, jakby chciała coś dodać, ale nadszedł skurcz, więc krzyknęła, a jej spuchnięte ciało wygięło się na materacu.

*Co to? Co się dzieje?* Marra rozejrzała się w panice, bo coś tak straszego nie mogło być normalne, ale położne zachowywały spokój, jakby to było czymś zwyczajnym, że ciało kobiety wije się na łóżku jak wąż w agonii.

Potem wróciła królowa i Kania rzuciła Marze ostatnie znaczące spojrzenie, zanim puściła jej rękę. Królowa przystawiła kubek do ust córki i mówiła coś uspokajająco, a położne otoczyły je niczym szakale czekające na noworodka.

## ROZDZIAŁ 4



Noworodek okazał się dziewczynką. Kania przyjęła tę wieść z zaciśniętymi, pobielającymi wargami. Krzyczała w trakcie porodu, ale była silna, zdrowa i dziecko również urodziło się silne i zdrowe. Chyba jedynie Marra uznała za dziwne, że siostra przyjęła wiadomość o płci dziecka jak cios.

Królowa wzięła na ręce wnuczkę i uśmiechnęła się do niej szeroko, radośnie. Marra nigdy nie widziała takiego uśmiechu na twarzy matki. Księżę nie przyszedł odwiedzić żony. Marra do tej pory go nie widziała. W jej wyobraźni stał się czymś nieludzkim, stworem podobnym smokowi, wielką, potężną i nieprzewidywalną istotą.

Pałac Królestwa Północnego mógł być siedzibą zarówno smoka, jak i człowieka. Wielki, pełen przepychu, pełen korytarzy, a każdy korytarz – pełen gobelinów i dworzan czyhających na każdą oznakę słabości. Nawet po porodzie nie miały za grosz prywatności, więc Marra nie mogła zapytać, co Kania miała na myśli. Albo czy w ogóle to, co powiedziała, miało jakieś znaczenie.

Marra nie lubiła dworzan. Właściwie to się ich trochę bała. Pałac Północny był znacznie większy od niewielkiego, nędznego dworu, na którym dorastała, ba, główny budynek był większy nawet od klasztoru. Naprawdę minęło dopiero pięć lat, odkąd przestała żyć wśród dworaków? Wydawało się jej, jakby od tamtej pory upłynęło całe życie. Cieszyła się, że nie przyjęła propozycji matki i nie zdecydowała się na noszenie sukni.

Obecność dworzan niepokoiła Marzę, choć wcale nie zawracali sobie nią głowy. Była zbyt małym graczem, niewartym zainteresowania. Jeśli w ogóle się do niej odzywali, robili to uprzejmie i ostrożnie, a po dwóch dnia pobytu dziewczyna zdała sobie sprawę, że uznali ją za ociążałą umysłowo.

*Cóż, w sumie mogą tak myśleć. Te wszystkie machinacje mnie przerastają. Wolalabym raczej oglądać gobeliny i rozpracowywać ich ściegi.*

Poznała króla, bardzo starego człowieka. Miał sztuczne zęby zrobione z kłów morsa i słaby umysł. Czasami myślał jasno, a innym razem jego rozum pogrążał się we mgle. Podczas tych mglistych dni błędził korytarzami i nazywał Marzę imieniem jej babki. Towarzyszący mu gwardziści udawali, że nic się nie dzieje, więc ona robiła to samo.

Zostały we dworze przez tydzień, aż do chrztu. Pałac wydawał się Marze zimny, mimo obwieszonych gobelinami ścian. W najmniej spodziewanych miejscach wiały przeciągi, nawet w jej komnacie, a mimo starań nie zdołała znaleźć szpary, przez którą dostaje się chłód.

– To chyba umarli królowie – powiedziała rzeczowo jej pokojówka.

– Umarli królowie? – Marra popatrzyła na nią w lustrze.

Pokojówka przytaknęła. Była młodsza od Marry, ale przez większość życia mieszkała w pałacu i współczuła siostrze księżniczki braku światowości. Marra nawet ją lubiła. Dziewczyna paplała jak najęta, a jej paplanina była mieszaniną nieszkodliwych plotek i przenikliwych komentarzy politycznych. Kiedy pierwszego dnia po narodzinach dziecka powiedziała Marze, jak powinna się czesać, ta pozwoliła jej zapleść włosy według uznania. Potem była wdzięczna pokojówce, kiedy zobaczyła fryzury innych kobiet. Prosta fryzura przyciągałaby uwagę, a Marra wolała pozostać w cieniu, niezauważona.

Nie spodziewała się jednak, że pokojówka jest przesadna.

– Jacy umarli królowie? – zapytała.

– Ci, którzy leżą pod pałacem. Znajdują się tam krypty. Wykopali je bardzo głęboko, żeby mróz tam nie dosięgał, ale dzięki temu jest tam zimno i sucho i trupy nie rozkładają się tak szybko, jak powinny. Pochyl głowę, pani, żebym mogła złapać to pasmo...

Marra posłusznie opuściła głowę, a jej szyja w lustrze zmieniła się w pulchną bułeczkę. Zastanawiała się, czy pokojówka sama powie więcej, czy trzeba ją będzie ciągnąć za język. Na szczęście był to chyba ulubiony temat dziewczyny.

– Spoczywają tam wszyscy zmarli królowie i książęta. Mówią, że na dole jest cały dwór umarłych. Każdy król ma swoją komnatę, a obok znajduje się komnata królowej. Jeśli umarli jakieś dzieci, w niemowlęctwie, składają je przy niej, a przy nim... – Wzdrygnęła się z przyjemności. – Dawniej w komnatach królów kładli królewskie konkubiny, kiedy jeszcze królowie je mieli. A jeśli konkubiny przeżywały króla, duszono je jedwabnymi sznurami i dopiero kładziono przy kochanku.

Marra patrzyła, jak jej własne oczy zaokrąglały się ze zdziwienia.

– Na boga! Ale co na to królowe?

– Chyba były zadowolone, że mają własną komnatę – stwierdziła służąca pragmatycznie. – Oczywiście niektórzy królowie mieli więcej niż jedną żonę.



Jeśli umierały, zanim poczęły dziecko, odsyłano je z powrotem do ich rodzin, ale w innym wypadku chowano tutaj, więc czasem królewskie krypty są połączone z trzema albo czterema innymi, i tak samo komory książęce. Pod pałacem znajduje się cały labirynt i nikt nie wie, jak bardzo jest rozległy. Czasami ktoś chce się tego dowiedzieć, więc schodzi tam z drzewem rodziny królewskiej w jednej ręce i mapą w drugiej, ale często bywa, że stamtąd nie wraca. – Pokojówka zmarszczyła nos. – Umarli nie zawsze leżą spokojnie, szczególnie jeśli są królami, i nie zawsze im się podoba, jak rządzą ich potomkowie, dlatego przychodzą na górę i okazują swoje niezadowolenie. To stąd te wszystkie przeciągi.

– Na boga – powtórzyła Marra. Wolałaby bardziej siarczyste przekleństwo, ale wydawało się, że siostrze księżniczki nie wypada przeklinać, szczególnie jeśli jest prawie zakonnicą. – To tylu jest tam tych królów?

– Nie żyją zbyt długo – stwierdziła pokojówka, na chłodno podsumowując śmiertelność w królewskim rodzie. – Niełatwo być królem. Ci, którzy nie zginą w bitwach, starzeją się młodo. Widziała pani przecież jego wysokość.

– Jest przecież bardzo stary – powiedziała Marra, myśląc o sztucznych zębach i niesprawnym umyśle.

– Ma zaledwie pięćdziesiąt lat.

– Co?!

Pokojówka zaśmiała się, ale uprzejmie.

– O tak, to przez ich krew. Moja matka służyła jego ojcu i dziadkowi, a odeszła z pracy dopiero w zeszłym roku. Mówią, że nad królestwem ciąży straszliwa magia i tylko błogosławieństwo matki chrzestnej trzyma ją z dala, ale wysiłek ich wykańcza, biedaków. Mama mówiła, że wypalają się, by zapewnić nam bezpieczeństwo. Ale kto ich tam wie? No ale właśnie dlatego pałac jest taki wielki.

– Ach... – skwitowała Marra słabo, zachodząc w głowę, w co za sprawą małżeństwa została wplątana jej siostra.

– Niektórzy twierdzą, że nie tylko o królów chodzi – dodała pokojówka. – Przecież nie da się utrzymać hien cmentarnych z dala od tak wielkiego pałacu umarłych, prawda? Dlatego obłożono go klątwami, które wydzierają rabusiom dusze i łączą je w jedną, a potem ona włóczy się po korytarzach pałacu umarłych w poszukiwaniu kolejnych dusz do pożarcia.

– Och...

– Aż ciarki przechodzą, prawda? – powiedziała pokojówka wesoło i poklepała Marrę po ramieniu, jakby ta była koniem. – Jesteś gotowa, pani. Lepiej nie spóźnić się na chrzciny.

Właśnie podczas chrztu Marra po raz pierwszy zobaczyła księcia Vorlinga.

Był mały. To zaskoczyło ją najbardziej. Życie jej rodziny uzależnione było od jego zachcianek, więc wybujał w jej wyobraźni. W rzeczywistości był niewiele wyższy od Kanii, miał wąskie biodra i pociągłą, kanciastą twarz. Stał za złotą kołyską i uśmiechał się, uśmiechał, uśmiechał, ale jego oczy były martwe jak kamienie rzeczne. Nie wyglądał, jakby się starzał szybciej niż normalny mężczyzna, ale może to zaczynało się po objęciu tronu albo może pokojówka coś nazmyślała.

Ale... Marra popatrzyła na króla. Jego czaszkę porastały rzadkie włoski jak u niemowlaka. Naprawdę miał tylko pięćdziesiąt lat?

Chrzest był nudny. Wokół kołyski zgromadzili się dworzanie udający, że są zafascynowani niemowlęciem, które prawdopodobnie leżało gdzieś tam zagrzebane pod stosami koronek i płótna. Jako członek rodziny królewskiej Marra stała dość blisko, ale jako członek nieistotny miała widok głównie na ramię królowej.

Na kołysce zawiązano złote wstążki. Król wybełkotał, a potem Vorling donośnym głosem wykrzyczał imiona nadane córce. Marra usłyszała pierwsze, Virian, a cała reszta złała się w strugę imion, która natychmiast wypłynęła jej z głowy drugim uchem. *Chyba nie mogą nadać dziecku aż tylu imion?* Rzuciła siostrze zdumione spojrzenie, ale Kania stała odwrócona do niej bokiem.

*Teraz pewnie zaczną się przemowy,* pomyślała Marra i zebrała się w sobie, by stać prosto, spokojnie i przywołać na twarz minę uprzejmego zainteresowania. Ale nie było przemów, tylko Vorling odsunął się i ogłosił:

– Błogosławieństwo matki chrzestnej. – Potem zamilkł. Dworzanie też zamilkli. Wielkie, podwójne drzwi sali audiencyjnej się otworzyły.

– Matka chrzestna rodziny królewskiej! – ogłosił herold stojący przy wejściu, po czym odsunął się, przepuszczając postać w szarych szatach.

Matka chrzestna była stara, bardzo stara, tak stara, że Marra nie przypuszczała, że można dożyć takiej starości. Nie miała już nawet zmarszczek. Jej prawie przeźroczysta skóra mocno opinała czaszkę. Marra widziała rysujące się cienie kości, jakby światło we wnętrzu kobiety przesączało się przez niby-witraż, a kości stanowiły ołowiane ramki przecinające tafle skóry.

Kobieta poruszała się bardzo powoli. Miała wygięty kręgosłup, ale jej sylwetka przypominała raczej ostrze szabli niż garbiącą się pod ciężarem wieku starowinkę. Wspierała się na czarnej lasce i szła ku kołysce bardzo, bardzo długo, jednak ani żaden dworzanin, ani książę nie okazał śladu zniecierpliwienia.

Marze przyszło do głowy, że nawet króla nie traktuje się z podobnym szacunkiem.

Matka chrzestna miała na sobie szaty w kolorze gołębiej szarości, ale przy jej bladej skórze wydawały się prawie czarne. Dopiero kiedy uniosła rękę, Marra dostrzegła pianę koronek zdobiących jej rękawy.

Marra tylko raz próbowała wydzierać koronkę i już nigdy potem do tego nie wróciła. Koronki kosztowały fortunę i nawet książęta i najbogatsi panowie miewali nimi wykończone ledwie rąbki rękawów i szat, a ta staruszka nosiła ich tyle, że można było za nie kupić cały pałac.

Koronki falowały, kiedy matka chrzestna odsuwała zasłony kołyski. Potem jej cieniokostna dłoń spoczęła na główce dziecka.

– To mój dar – rzekła niegłośnie, ale w panującej ciszy jej słowa niosły się aż po krańce sali. – Będę jej służyła tak, jak służyć całemu rodowi, a moje życie zwiąże się z jej życiem, jak splecione było i jest z życiem jej przodków. Żadna obca magia im nie zaszkodzi. Żaden wróg nie odbierze im tronu. Jak było ze wszystkimi dziećmi królewskiego rodu, niech będzie i z nią, póki bije me serce.

Król skłonił głowę. Książę również. Gdy matka chrzestna się odwróciła i zaczęła powolutku odchodzić, nowo narodzona księżniczka Królestwa Północnego uderzyła w płacz.

Kania odwróciła się, jakby chciała do niej podejść, ale książę złapał ją za ramię i przytrzymał. Do kołyski pospieszyła niańka, cicho drepcząc po dywanie. Kobieta wzięła na ręce dziecko i zaczęła je uspokajać gorączkowym poszeptywaniem.

*Nie wolno jej płakać nawet na własnym chrzcie!* Marra spuściła głowę, żeby nikt nie dojrzał, jak drżą jej usta. Ona też była kiedyś księżniczką. *Nie wiem, czego ci życzę, siostrzenico, ale jestem tylko najmłodszą córką przebraną za zakonnice i nikogo i tak nie obchodzi, co sobie myślę.*

\* \* \*

Marra z ulgą wróciła do zakonu. Po krzykliwym przepychu białe, chłodne ściany emanowały spokojem i przyjemnym chłodem. Marra miała głowę pełną wzorów i zniszczyła kilka kawałków materiału, usiłując je wszystkie wypróbować.

Kilka nowicjuszek, które nadal miały ją za córkę króla z nieślubnego łoża, wypytywało ją o pałac i chrzciny księżniczki. Marra próbowała odpowiadać, okazało się jednak, że niewiele ma do powiedzenia. Czy mężczyźni byli szykowani? Nie, nie według niej. Czy wszystkie kobiety były piękne? Przypomniała sobie ciemne kręgi pod oczami Kanii i jej zaciśnięte usta. Czy

książę jest przystojny? Naprawdę nie potrafiła tego ocenić. Usiłowała go opisać, ale jedyne słowo, jakie cisnęło się jej na usta, to „niski”.

Nie to chciały usłyszeć nowicjuszek, a niczego z tego, co miała do powiedzenia, Marra nie chciała wypowiadać na głos. W końcu dziewczęta się poddały i obie strony rozeszły się równie rozczarowane.

Ksieni również zadawała pytania i na większość z nich Marra także nie potrafiła odpowiedzieć. Przeoryszkę interesowała matka chrzestna księcia Vorlinga, ale przede wszystkim duchowni uczestniczący w ceremonii.

– Widziałas arcybiskupa Lydeana?

– Nie wiem. – Marra rozłożyła bezradnie ręce. – A mogłam go widzieć?

– Młody człowiek, najmłodszy arcybiskup w historii. Mógł mu towarzyszyć archimandryta, starzec w błękitnych szatach.

Marra jak przez mgłę pamiętała jakiegoś starca, który wyróżniał się z tłumu, bo był jak plama błękitu. Tak, widziała go. Kaszłał, bardzo kaszłał, przypominał rozedrgany strzęp nieba.

– Ach! Doszły nas słuchy, że źle się miewa – rzekła ksieni. – Kiedy umrze, to Lydean przejmie mitrę i zostanie archimandrytą, choć spotka się to z oporem ze względu na jego młody wiek.

– Ach, tak – skwitowała Marra, świadoma kłębiącej się wokół polityki, która jednak nie dotyczyła księżniczek.

Przeorysza poklepała ją po ręce i odeszła, a Marra dalej haftowała swoje nowe ściegi i wrywała chwasty w ogrodzie, pozwalając, by spokój zakonu otulił ją jak ciepły koc podczas chłodu.

Pół roku później przyszedł list, że Kania jest znowu w ciąży. Wiadomość ta zmartwiła Marrę bardziej, niż dziewczyna chciałaby przyznać. To bardzo szybko, tym bardziej że królowa nie napisała jej o tym, gdyby nie minęło już kilka miesięcy od początku ciąży. Marra nie wiedziała, że można zajść w ciążę tak szybko po urodzeniu dziecka, ale siostra zielarka powiedziała, że to możliwe.

Mijały miesiące, Marra spodziewała się, że w każdej chwili może zostać wezwana na poród i chrzest, aż w końcu zaczęła liczyć czas na palcach i zdała sobie sprawę, że Kania byłaby już co najmniej w jedenastym miesiącu ciąży. *Pewnie straciła dziecko, pomyślała, albo w ogóle nie była w ciąży.*

Wiedziała o poronieniach więcej, niż księżniczka powinna o nich wiedzieć. Zaprzyjaźniła się z siostrą zielarką, a ponieważ potrafiła dobrze czytać, znajdować różne informacje i wyraźnie pisać, pomagała jej w drobnych sprawach. Aż w końcu, gdy pewnego dnia do klasztoru wniesiono na drzwiach wyjącego z bólu wieśniaka ze złamaną nogą, już po chwili Marra trzymała lampę, podawała uzdrowicielce bandażę i asystowała przy opatrywaniu rany.

Było długo po północy, gdy siostra umyła ręce w wiadrze pełnym zakrwawionej wody.

– Dobrze się spisałaś – pochwaliła Marzę.

Pochwała rozgrzała ją aż do szpiku kości, ponieważ była zasłużona i nie została przeznaczona dla księżniczki.

Kilka dni po tym, przed północą, ktoś zapukał do drzwi jej celi. Marra otworzyła, zaskoczona – nikt nie przychodził do niej tak późno, a nocne msze w klasztorze Mateczki od Wilgowronów odbywały się jedynie podczas przesilenia zimowego i letniego. Na progu stała siostra zielarka, z popękaną skórzaną torbą w ręku.

– Poród – rzuciła krótko. – Byłaś przy jednym, prawda?

– Byłam...? – zająknęła się Marra. – Widziałam tylko jeden.

– To o jeden więcej niż brat szpitalnik. On nie dotknął tej części kobiety od dnia, kiedy sam się urodził. Moja pomocnica leży z rozstrojem żołądka, potrzebuję, żeby ktoś przytrzymał mi lampę.

Marra nerwowo przełknęła ślinę. Odczekała chwilę, niepewna swojej reakcji, spodziewając się raczej, że zwinie się w kłębek i zacznie biadolić, ale ku swemu zaskoczeniu wyprostowała się i powiedziała:

– Dobrze. Wzuję tylko buty.

\* \* \*

Poród przebiegał podobnie do tego Kanii, co Marze wydawało się dziwne. *Ale przecież czy księżniczka, czy wieśniaczka, sra tak samo, krwawi tak samo, więc nie powinnam się dziwić, że i dzieci rodzi tak samo.* Z tą przypadkową, wyprzedzającą jej czasy rewolucyjną myślą zabrała się do gotowania wody i robienia herbaty.

Ostatecznie wszystko poszło szybciej niż u Kanii, ale i tak był to długi, pełen napięcia i nużący proces. Marra parę razy przysnęła, po czym się budziła, wciąż trzymając lampę, podczas gdy siostra zielarka pochylała się między nogami rodzącej, a wtedy dziewczyna się zastanawiała, czy naprawdę się ocknęła, czy może ma jakiś osobliwy sen.

Świt przeszedł w poranek, aż dziecko w końcu pojawiło się na świecie, rozejrzało się i zaczęło krzyczeć.

– Przywykniesz – powiedziała do noworodka siostra i podała go Marze, która wytrzeszczyła oczy, patrząc na niego ze zgrozą. Był zakrwawiony, pomarszczony, czerwono-szary i wyglądał jak coś, co najlepiej odesłać z powrotem do piekła za pomocą wody święconej.

– Umm – wymamrotała Marra.

– Czy... czy... – dyszała matka, z trudem łapiąc oddech. – Płakało. Żyje, prawda?

– Tak, tak! – zapewniła ją Marra pospiesznie. – Nawet bardzo. – Spojrzała na dziecko, zastanawiając się, co jeszcze może powiedzieć. – Ma ręce i nogi. I... głowę.

– To dobrze. – Matka zachichotała piskliwie, histerycznie. – To wspaniale. Zawsze się chce, żeby miały głowy.

– Zmiłuj się, Mateczko od Wilgowronów – wymruczała siostra zielarka, ale ponieważ powiedziała to wprost do kanału rodnego, usłyszała ją tylko Marra.

Na szczęście łożysko wyszło szybko. Siostra zielarka podała zawiniątko Marze.

– Zanieś to jej mężowi – poleciła. – Będzie wiedział, co z tym zrobić.

Marra skinęła głową i pobiegła.

Mąż okazał się rolnikiem o młodej twarzy i starych, spracowanych rękach. Wziął w nie łożysko z nabożeństwem, jakby to było dziecko.

– Pomożesz mi, siostrze?

– Nie... Nie jestem zakonnica. – Marra nerwowo przełknęła ślinę. – Nie całkiem.

– Nie musisz być – uśmiechnął się lekko. – Nie do tego.

Poszła za nim, po drodze biorąc szpadel, który wskazał. Zakopali dziwny kawałek mięsa porodowego pod orzechem, między korzeniami drzewa.

– Zwykle to dąb – rzekł rolnik, siadając, gdy Marra przyklepywała ziemię. – Dęby są silne. Ale orzech przynosi szczęście. Mamy już dwoje silnych dzieci, trzeciemu przyda się trochę szczęścia w życiu.

Marra stłumiła westchnienie, myśląc o swojej matce chrzestnej, która błogosławiła ją i jej siostry zdrowiem i książećkami. Wszystkim trzem przydałoby się nieco szczęścia.

Kiedy następnym razem siostrę zielarkę wezwano do porodu, Marra znów z nią poszła. Często działo się to w nocy, bo akuszerka z miasteczka była stara i miała mocny sen. Raz lub dwa razy w miesiącu rozlegało się pukanie do drzwi jej celi, a w progu stała siostra zielarka idąca pomóc rodzącej kobiecie.

Nigdy nie prosiła Marry o nic poza trzymaniem rodzącej za rękę i przynoszeniem wody, ale dziewczyna i tak wiele się uczyła. Między innymi nauczyła się puszczać mimo uszu straszliwe przekleństwa i groźby wykrzykiwane przez rodzące. Nadal uważała, że to dziwne, ale działało na nią uspokajająco. Kania nie mogła mówić na poważnie tego, co szeptała Marze do ucha.

*Rodziła wtedy – tak, to pewnie przez to. Raz do łóżka kobiety w bólach porodowych sprowadzono jej męża młynarza, a ta wykrzyczała do niego, że jeśli*

*jeszcze raz choć na nią spojrzysz, połóż jego jaja na kamieniu młyńskim i zmiażdży na proszek.*

Widywała rodzące się dzieci i umierające matki. Widywała łatwe porody, po których pojawiała się krwawienie, które nie ustawało, dopóki z coraz bledszej kobiety nie uszło całe życie. Widziała hak porodowy, widziała, jak się go używa do wyjęcia płodu, który nie przeżył wystarczająco długo, by się urodzić.

Po piątym, szóstym czy może dziesiątym porodzie, gdy wracały do klasztoru, Marra nie mogła dłużej milczeć.

– To głupie! – powiedziała.

Siostra zielarka spojrzała na nią łagodnie.

– Przecież oboje przeżyli. Jak dla mnie to dobry wynik.

– Nie o to chodzi. – Rzeczywiście, i matka, i dziecko przeżyli, choć był to bardzo trudny poród. – Tylko... Na Mateczkę! Leżymy na plecach albo siedzimy na krzesłach i wypychamy z siebie coś, co jest zbyt duże, więc nas rozrywa. To głupi sposób na rodzenie!

– Ach, to. Tak, też często tak myślę. Krowy mają łatwiej. Kozy i owce też. Prawda, trudniej rozplątać te wszystkie nogi, ale bałagan nie jest nawet w połowie tak okropny jak u ludzi.

– Nie zrobię tego – oświadczyła Marra.

– Nikt ci nie każe – powiedziała siostra i urwała. Marra była prawie pewna, że siostra zielarka wie, kim jest, kim są jej rodzice, i dlatego zastanawia się, jak ująć to, co chce dodać. – No, w każdym razie nie teraz, natychmiast. A jeśli ktoś będzie chciał... Cóż, istnieją pewne sposoby.

*Uciekaj. Pohańb się. Zrób wszystko, co konieczne. Ale nie daj jej się wepchnąć do tego samego piekła, które stało się naszym udziałem.*

Marra oblizwała wargi. Czy kiedy Kania rodziła, użyli haka, żeby wyjąć dziecko, które nie zdołało przeżyć zbyt długiego porodu?

– Sposoby?

Siostra rozejrzała się na boki, jakby ktoś mógł podsłuchiwać je na tym bezludziu na godzinę przed świtem.

– Sposoby – potwierdziła. – Różne zioła. Gąbki moczone w soku cytrynowym. Żaden nie działa doskonale i każdy, kto mówi, że tak jest, kłamie. Większość jest niebezpieczna. Czasami umierają oboje i nic się nie da zrobić. Ale są rzeczy, które zmniejszają prawdopodobieństwo zajścia w ciążę.

Marze aż serce podskoczyło. Może mogłaby się ich nauczyć? Powiedzieć o nich Kanii? Królowe i księżniczki służyły rodom królewskim jako klacze rozplodowe, ale jeśli dałoby się zapobiec...

– Chcę je poznać – oznajmiła. – Wszystkie.

– To da się zrobić – westchnęła siostra zielarka. – Ale już nie dzisiaj.

\* \* \*

Siostra dotrzymała słowa. W tamtej chwili było to dla Marry dość abstrakcyjne, ale zapamiętała wszystkie metody, a nawet uwarzyła całą fioletową ekstrakt, z siostrą stojącą jej nad głową i pilnującą, żeby wszystko zrobiła dokładnie.

– Bardzo się tym przejmujesz – zauważyła zielarka.

Marra wzruszyła ramionami. Wcale nie chciała się tym przejmować. Nie chciała w ogóle myśleć o chwili, gdy nadejdzie koniec jej pobytu w klasztorze i może znów zostanie wciągnięta na planszę gry, dołączona do innych pionków i książąt.

*Ale jeśli tak się stanie, nie pójdę tam nieuzbrojona. O, na pewno nie. Muszę się uczyć. I może będę mogła przekazać to Kanii.* Marra widziała niejedną kobietę wykańczającą się zbyt wieloma ciążami.

W jej pokoju leżał kolejny uprzejmy, poprawny list od matki. Na samym końcu znajdowała się wiadomość, że Kania znów jest w ciąży.

*To za dużo. Zdecydowanie za dużo. Wyniszcza się, żeby urodzić następcę, a jeśli umrze...*

Marra wmawiała sobie, że napędza ją strach o siostrę, a nie o siebie. Tłumiła zdradzieckie podszepty, że będzie musiała zająć miejsce siostry w roli klaczy rozplodowej księcia.

*Nie pozwolę na to. Nie pozwolę. Ale w ogóle do tego nie dojdzie. Nauczę się...*



## ROZDZIAŁ 5



Na wiosnę w piętnastym roku pobytu Marry w klasztorze przez królestwo przetoczyła się epidemia gorączki. Marra leżała przez wiele dni złożona chorobą, a kiedy w końcu udało się jej wstać, odkryła, że ksieni jest umierająca. Losy przełożonej klasztoru ważyły się przez tydzień. Jako ozdrowieńczyni Marra została przydzielona do opieki nad przeoryszą. Właściwie głównie siedziała przy łóżku z robótką i nasłuchiwała, czy charkotliwy oddech nie umilkł.

Przeorysza wyzdrowiała, ale jej srebrne włosy zbielały i poruszała się ostrożniej niż przed chorobą. Potrzebowała laski, żeby wejść po schodach, co wyraźnie ją irytowało. Ksieni nigdy miała cierpliwości do własnych słabości.

Marra również do siebie doszła, choć zdarzały się dni, kiedy tylko drzemała przy oknie, nie mogąc zmusić się do działania. Nawet widok za szybą przypominał jej o zarazie. Straciły dwie nowicjuszki, a starca, który sprzedawał kozie mleko, zastąpił syn, który powiedział cichym głosem, że ojciec już nie przyjdzie. Wyglądała przez okno, rozespana, snując splątane myśli, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i w progu znów stanęła siostra zielarka.

– To złe wieści – rzekła, podając Marze list. – Ksieni kazała mi go przynieść. Zrobiłaby to osobiście, ale trudno jej pokonywać schody. Nie wiem, co tam jest, ale z pewnością nic dobrego.

Marra złamała pieczęć. Jeśli siostra jeszcze coś mówiła, ona już tego nie słyszała. Serce biło jej tak mocno, że słyszała tylko łomot krwi w uszach. Jeśli przeorysza została poinformowana o treści, to naprawdę musiało być coś złego, coś bardzo złego, jak...

*Z zalem zawiadamiam, że Twoją siostrzenicę Virian zabrała gorączka. Pogrzeb odbędzie tak szybko, jak tylko dotrzemy do Królestwa Północnego. Jeśli czujesz się wystarczająco silna na podróż, przyślemy po Ciebie powóz.*

– Och – wyszeptała Marra. Z przerażeniem odkryła, że czuje ulgę. Nie chodziło o jej matkę, siostrę czy ojca. Serce pękało jej na myśl o rozpacz Kanii, ale podszept w głowie podpowiadał, że to tylko dziecko, które widziała przez parę minut podczas chrzcin i nigdy później. Czuła się potwornie z powodu tych uczuć, ale strata była odległa, tak jak abstrakcyjna była jej miłość, niezrodzona z bliskości.

– Chodzi o moją siostrzenicę – rzekła, uświadamiając sobie, że siostra czeka, aż coś powie. – Zmarła na gorączkę. Będzie pogrzeb. Muszę jechać. I... chyba muszę komuś powiedzieć, że jadę... Nie wiem, co robić, chyba ktoś przyśle po mnie powóz i pojedę stąd...

Tak też się stało. Dwa dni później siedziała w karocy zmierzającej do Królestwa Północnego. Konie były czarne, rzędy czarne, woźnica ubrany od stop do głów w smolistą czerń. Królestwo znów popisywało się bogactwem i Marra rozpląkała się, nie z powodu siostrzenicy, ale Damii. *I znów za późno*, wyrzucała sobie. *Umarła tyle lat temu. A ty znów spóźniona, dopiero teraz przeżywasz żałobę. Siostrzenicę pewnie zaczniesz oplakiwać za dziesięć lat.* W głupi, niezrozumiały sposób myśl ta jednak ją pocieszyła, bo oznaczała, że Marra nie jest kompletnym potworem. A właśnie tak o sobie myślała od chwili, gdy poczuła ulgę, czytając list.

Na spotkanie wyszedł jej lokaj, który następnie zaprowadził ją do komnat Kanii. Wszystko odbywało się tak samo jak ostatnio i Marra miała wrażenie, że zaraz ujrzy rodzącą siostrę. Tak jednak nie było. Ta stała przy oknie, matka otaczała ją ramieniem, a pierwsze, co ujrzała Marra, to okrągły brzuch Kanii.

– Znów jesteś w ciąży – wyrzuciła z siebie bez namysłu. W ciągu tych lat otrzymywała listy z wiadomościami o ciąży, ale żaden nie oznajmiał porodu. W końcu listy przestały przychodzić i Marra uznała, że może Kania zarzuciła próby. Ale może przestała tylko o nich informować.

Siostra i matka odwróciły się do Marry. Kania miała niebieskie cienie pod oczami i opuchniętą twarz, ale nadal była tak podobna do matki, że Marra odnosiła wrażenie, jakby patrzyła na królową i jej odbicie. Przybyła wyjąkała przeprosiny, a może po prostu coś wyjąkała, i Kania zlitowała się nad nią.

– Jestem – przytaknęła.

– To... Hm, gratuluję. Pewnie jesteś bardzo... – *Do diabła.*

*Jak mogłaby być szczęśliwa? Przecież właśnie straciła córkę, dziecko, które już żyło.* Marra rozejrzała się po komnacie z nadzieją, że znajdzie odpowiednie słowa. Żłudne to jednak były nadzieje i w końcu milczenie przedłużyło się tak, że już żadne słowa nie zdołałyby naprawić tej niezręcznej chwili.

Królowa westchnęła, ale Kania wydała z siebie zduszony śmiech i ruszyła w stronę Marry.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś – powiedziała, obejmując ją.

– Tak mi przykro – stękała Marra żałośnie. – Tak mi przykro z powodu Virian i że przez to przechodzisz i... Tak mi przykro. Nie jestem w tym dobra.

– To nic – pocieszyła ją Kania. – Ja też. – Otarła oczy i cofnęła się, a Marra pomyślała, że to bardzo wczesna ciąża, ale szaty siostry zostały tak skrojone, by podkreślać krągłość brzucha, albo może Kania należy do tych kobiet, po których bardzo szybko widać, że noszą pod sercem dziecko.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – zapytała. – Zrobię wszystko.

– Nic nie możesz zrobić. Usiądź przy mnie. Pogrzeb odbędzie się jutro.

Marra kiwnęła głową, po czym obie usiadły przy oknie, a ona tak bardzo nie chciała powiedzieć niczego głupiego, że głównie milczały.

Wieczorem odbyła się rodzinna kolacja. Przy stole panowało napięcie, a wszyscy grzebali niemrawo w talerzach. Dań było zbyt wiele, były zbyt wystawne i służba zabierała je ze stołu prawie nietknięte. Marra patrzyła na zółwie gotowane w skorupach, przepiórki pieczone w brzoskwiniach, sarninę z brusznicą i trufle, i trifle, i dziwiła się, kto przy zdrowych zmysłach podaje takie dania żałobnikom.

Stary król miał gorszy dzień, przeplatany momentami przytomności. Gładkie, przystojne oblicze Vorlinga było jeszcze gładkie i chłodniejsze niż ostatnio. Marra zastanawiała się, czy księżę zaczyna się starzeć jak jego ojciec. Ile mógł mieć lat? Czterdzieści? Czterdzieści pięć? Nie wyglądał na starego. Ani na młodego. Wyglądał, jakby został wyrzeźbiony z marmuru. Siedząca obok niego Kania wyglądała za to aż nadto cieleśnie. Miała obrzęknięte kostki i przeguby rąk oraz opuchniętą twarz.

Marra zapragnęła chwycić ją za rękę i błagać, by już więcej nie zachodziła w ciążę, pragnęła zalać siostrę informacjami, wszystkim, czego nauczyła się o zapobieganiu poczęciu.

Nie uczyniła tego, ponieważ nawet ona nie posunęłaby się tak daleko, by zrobić to podczas kolacji, szczególnie w obecności męża, który kupił jej siostrę, by rodziła mu synów. Dlatego bawiła się nóżką od kieliszka i czekała, aż skończy się ten długi przemarsz dań. Wreszcie nastąpił koniec biesiady. Ostatnie talerze zabrano ze stołu, król wstał z krzesła, a za nim wszyscy biesiadnicy.

– Jutro – rzucił Vorling, prześlizgując się wzrokiem po żonie. – Ogarnij się jakoś. Wyglądasz strasznie.

Marra gwałtownie wciągnęła powietrze. Naprawdę to powiedział? A może się przesłyszała? Nikt nie zareagował? To było z jego strony wstrząsająco okrutne. Niemożliwe, że to powiedział.

Marra spojrzała na matkę, szukając potwierdzenia, ale twarz królowej była całkowicie nieporuszona, tak spokojna jak podczas rozmów z wrogami

i dyplomatami. Dwaj słudzy poprowadzili starego króla ku drzwiom, a za nimi ruszył Vorling.

– Chcę dzisiaj czuwać przy córce – zwróciła się Kania do mężowskich pleców. – W kaplicy.

Vorling się odwrócił i Marra zobaczyła, jak wąskie wargi zaczynają się sposobić do odmowy, ale stary król spojrział na Kanię z nieprzytomnym uśmiechem.

– Tak, tak, słusznie...

Po obliczu Vorlinga przemknęła wściekłość. Było to tak niespodziewane i dziwne, że w pierwszej chwili Marra nie rozpoznała, co to za uczucie. Myślała, że to grymas cierpienia albo że księżę ma jakiś atak. Ale twarz Vorlinga błyskawicznie zestaliła się na powrót w beznamiętną maskę spokoju.

– Wyślę strażników – powiedział.

– Wolalabym czuwać w samotności. – Głos Kanii zadrżał, jakby prosiła o jakąś wielką przysługę. – Zabiorę jedynie siostrę, dla towarzystwa i pociechy.

Oczy Vorlinga spoczęły na Marze, która omal się nie cofnęła na widok tej kamiennej twarzy, ale patrzyła na nią Kania i stary król.

– Tak, oczywiście – mruknęła tylko, chowając dłonie w rękawach. – To dla mnie zaszczyt.

– Musi cię ktoś pilnować – nie ustępował Vorling.

– Muszę opłakać córkę. Zakonnica to chyba najlepsza przyzwoitka.

Marra odruchowo chciała zaprzeczyć, że nie jest zakonnica, ale ugryzła się w język. Przecież siostra o tym wiedziała, a skoro uznała, że to na tyle istotne, by ominąć prawdę, to Marra nie chciała demaskować jej kłamstwa.

Po policzku króla spłynęła łza, starzec otarł ją ręką. Jego piórkowate włosy zdawały się unosić, kiedy skinął potakująco głową.

– To właściwe – powiedział, trącając syna w ramię. – Musisz pozwolić kobietom przeżywać żalobę na ich sposób.

Usta Vorlinga opięły się na zaciśniętych zębach.

– Moi strażnicy was odprowadzą – wycedził, odwrócił się na pięcie i odszedł.

\* \* \*

Strażnicy przyszli po Marzę, która wcześniej odesłała pokojówkę i przyglądała się uważnie gobelinom w komnacie, wędrując od jednego do drugiego. Przeważnie przedstawiały sceny podpisywania traktatów i były strasznie nudne, ale podziwiała kunszt rzemieślników, którzy zdołali oddać moment pisania na papierze bez haftowania liter. *Całkiem zmyślny projekt.* Zastanawiała się, czy sama...

Jeden z gobelinów zafalował w przeciagu, który mógł powstać w pałacu prochów pod ziemią. Jutro siostrzenica Marry miała dołączyć do starożytnych władców. Pałac umarłych wydawał się zimnym, samotnym miejscem jak dla dziecka.

Kiedy rozległo się pukanie, otworzyła natychmiast. Przyszło po nią dwóch strażników odzianych w białe płaszcze, noszone przez członków przybocznej gwardii księcia.

– Mamy was zaprowadzić – oznajmił wyższy.

Marra skinęła głową i dopiero po chwili przyszło jej do głowy, że strażnicy chyba powinni odnosić się do księżniczki z większym szacunkiem, ale może tutaj, w domostwie postawionym na prochach umarłych królów, księżniczki nie mają wielkiej wartości. Podążyła za gwardzistami ze spuszczoną głową, starając się wyglądać możliwie najbardziej mnisio.

*Wybacz mi, Mateczko od Wilgowronów, to oszustwo. Wydaje się, że to bardzo ważne.*

Kaplica, w której złożono szczątki siostrzenicy, nocą zdawała się większa. Migotliwe światło świec nie rozpraszało zalegającego w kątach mroku. Kania stała tuż za drzwiami, z pustką na twarzy, jakby na chwilę się od niej oddaliła, wycofała w głąb siebie.

Z nią również przyszło dwóch odzianych na biało gwardzistów. Cała czwórka obesła kaplicę, zaglądając pod każdą ławkę i w każdy kąt. Marze wydało się to niemal parodią czujności. W kaplicy nie było gdzie się ukryć. Chcieli się popisać? Szukali pod ławkami skrytobójcy?

Prawie się zdziwiła, że nie zajrzeli do sarkofagu, ale rzeczywiście, zostawili go w spokoju. Przeszukawszy całe pomieszczenie, skierowali się do wyjścia. Dowódca grupki skinął uprzejmie głową do Kani i siostry zostały same. Po chwili rozległ się zgrzyt zasuw po drugiej stronie.

– To było... niezwykle dokładne przeszukanie – skomentowała Marra.

– Księżę bezustannie wietrzy moją zdradę i boi się, że w każdym kącie ukrywam kochanka – prychnęła Kania. – Gdyby stary król nie uznał, że to urocze – obróciła to słowo na języku i wypluła je z pogardą – nawet tu nie mogłabym zaznać odrobiny samotności.

– O... – skwitowała Marra niepewnie. Przełknęła nerwowo ślinę. Kania? Kochankowie? Zrozumiała każde wypowiedziane przez siostrę słowo, ale nie układały jej się w głowie w sensowną całość. – O?

Uklękły na klęczniku przed trumną. Kania stęknęła, z trudem przyjmując niewygodną pozycję, a brzuch oparł się jej o nogi. Marra pragnęła powiedzieć siostrze, że zbyt często zachodzi w ciążę, zapytać, czy wie, jak zapobiegać poczęciu, ale jak mogłaby poruszać ten temat w kaplicy, gdzie leżało martwe

dziecko? Dlatego pochyliła głowę i próbowała się modlić. *Mateczko od Wilgowronów, proszę, proszę...* Nawet nie wiedziała, o co się modlić. O co można prosić, gdy zmarło dziecko? *Proszę, spraw, by siostra zniosła to najlepiej, jak to możliwe*, pomyślała w końcu. Chyba tylko o to warto w tej sytuacji prosić.

Wpatrując się w kamienny sarkofag, znów wróciła myślami do ulgi, jaką czuła na wieść, że to tylko siostrzenica zmarła. Zalała ją fala wstydu. Spuściła oczy i utkwiała wzrok w dłoniach.

– W klasztorze nauczyłaś się modlić – zauważyła Kania.

– Chyba tak. Ale głównie nauczyłam się tkać i haftować. I sprzątać stajnie. A ostatnio odbierać porody. – Zerknęła na siostrę, sprawdzając, czy ta podejmie temat, ale Kania milczała.

Nadal klęczały. Świece powoli się wypalały, po jasnych kolumnkach spływały woskowe krople.

Po jakimś czasie, który Marze wydawał się godziną, Kania wreszcie się odezwała.

– Moja córka spoczywa w trumnie, a ja nic nie czuję. – Patrzyła suchymi oczyma na mały sarkofag. – Czy twój klasztor nauczył cię, co począć w takiej sytuacji?

Marra przełknęła ślinę i potrząsnęła przecząco głową.

– Zabrali mi ją zaraz po urodzeniu – podjęła Kania. – Pamiętasz? Nie trzymałam jej w ramionach, nawet przez moment. Zabrali ją do ojca, a potem oddali mamce. Miała armię nianiek i nauczycieli. Widywałam ją najwyżej kilka minut dziennie. – Z wolna pokręciła głową. – Tyle przegapiłam i nawet o tym nie wiedziałam. O jej pierwszym kroku i pierwszym słowie usłyszałam od nianiek.

– Może wtedy ją opłakiwałaś – podsunęła Marra, pragnąc ze wszystkich sił, by była to prawda. *Ja również nie płakałam i wygląda na to, że nikt po niej nie płacze, a to nie w porządku.*

– Może. Ale i teraz powinnam ją opłakiwać – rzekła Kania w zamyśleniu. – Powinnam być zdruzgotana. Powinnam przeżywać ból, największy, jaki może przeżywać matka. A ja czuję się, jakby umarło całkiem obce dziecko. Jest mi przykro, jak z powodu śmierci cudzego dziecka, ale tak, jakby zupełnie mnie to nie dotyczyło.

– Przykro mi – wydusiła Marra. *Mateczko od Wilgowronów, proszę, podpowiedz mi, co mam mówić. Mateczko od Wilgowronów, błagam, zrób coś, bo ja nie potrafię.*

– Mnie również. – Kania zmieniła pozycję, krzywiąc się, położyła rękę na krzyżu i syknęła, a potem rozprostowała ramiona na oparciu klęcznika. – Zabrali mi córkę, a teraz pozbawili mnie nawet zdolności opłakiwania jej. Dzieci, które

straciłam, nim się narodziły... tamto wydawało się bardziej rzeczywiste niż to teraz.

To był dobry moment, by nawiązać do poronień. Odpowiedni moment. Ale Marra wpatrywała się jak zaklęta w przegub siostry, w przecinające go purpurowe ślady.

Wyciągnęła drżącą rękę – ślady pasowały. Ślady palców. Z większej dłoni, męskiej, ale bez wątpienia palców.

– Kania... – wychrypiała.

Kania spojrzała w dół, na swoje ręce, i obciągnęła rękawy, by zakryć siniaki.

– Ach – mruknęła tylko.

– Skąd to... Jak to... – Marra nie mogła wydobyć z zaciśniętej krtani nic więcej. *To niemożliwe, żeby... To z pewnością wypadek... Z całą pewnością wypadek. Może się potknęła, a on ja złapał...*

– Zwykle pilnuje, by nie zostawić ich na odsłoniętych częściach – stwierdziła Kania tonem tak udręczonym, że rzeźby na ścianach kaplicy powinny ożyć i nad nią załkać. – Ale ma ograniczone możliwości, odkąd jestem w ciąży. Był wściekły, że idę czuwać sama.

Marra gapiła się na nią ze zgrozą. Słowa wpadały w nią jak kamienie do studni, słyszała, jak grzechoczą, staczając się w głąb jej umysłu, ale zdawały się nie mieć sensu. Nie mogły mieć sensu.

– On... – Urwała, musiała przełknąć, bo w gardle nagle jej zaschło. – Czy on... robi ci krzywdę?

Kania obrzuciła ją spojrzeniem, tym przelotnym, ostrym, jak w dzieciństwie, kiedy Marra czegoś nie rozumiała. Tak samo patrzyła, kiedy Marra nie chciała uwierzyć, że Damia nie żyje. Marra cofnęła się gwałtownie, jak uderzona.

– Oczywiście, że tak – powiedziała Kania. – Zazwyczaj przestaje, kiedy jestem w ciąży. Nie chce, żebym poroniła. Ale to i tak bez znaczenia. – Kania uśmiechnęła się gorzko. – To niewielkie wytchnienie, bo w ciągu tych kilku miesięcy gromadzi w sobie dużo gniewu. Można by myśleć, że ma dziwki, na których się wyżywa, ale ten człowiek ma wstręt do bękartów, więc ma tylko mnie albo nic.

– Księżę – wyjąkała Marra, czując, że nie nadąża za rozwojem rozmowy. – Robi to księżę?

Kania znów zerknęła na nią ostro.

– Oczywiście. A któż by inny?

– Ale przecież ktoś musi go powstrzymać – wybąkała Marra. – Król... albo... – Urwała, bo kto mógłby powstrzymać księcia? Czy w takich sytuacjach wzywało się strażę? Oczywiście, że nie.

– Król jest dziecinniaki – rzekła Kania trzeźwo. – Sama widziałas. Pojawia się na ceremoniach, mamrocze coś, macha ręką i wraca do łóżka. To Vorling tu rządzi. Tak jest od wielu lat.

– Od kiedy to się dzieje? – wyszeptała Marra.

– Od początku.

– Och. – Marra przełknęła łzy. Ani król. Ani straż. Znikąd pomocy. – Wróć do domu. Zostaw go i wróć do domu, tam ci nic nie zrobi.

Kania spojrzała na nią prawie z politowaniem.

– I wypowie naszemu krajowi wojnę z powodu złamania umowy. Myślisz, że go nie prosiłam? Nie wolno mi nawet pojechać do domu z wizytą. Mówiłam ci, że boi się mieć dzieci z nieprawego łoża. To działa w obie strony. Jest przekonany, że gdy tylko zniknę mu z oczu na jeden dzień, to zapłodni mnie inny mężczyzna. Mówi, że nie dopuści, by na tron wstąpił bastard. Chodzi o zakęcie, wiesz? Błogosławieństwo matki chrzestnej. „Żaden wróg nie odbierze im tronu”. Ale tylko pod warunkiem, że zostanie zachowana ciągłość rodu. Bękart na tronie oznacza upadek Królestwa Północnego. W każdym razie on w to wierzy.

Każde słowo Kanii wybrzmiewało ohydnie, jak odgłos topora wbijającego się w twarde drewno.

Marra pokręciła głową z niedowierzaniem. To coś niebywałego. Potwornego. Całkiem bez sensu.

– Ale przecież byś go nie zdradziła!

Kania parsknęła chrapliwym śmiechem.

– Zrobiłabym to natychmiast – wyszeptała. – Bez namysłu. Gdyby tylko istniała szansa, że będę nosiła pod sercem dziecko, w którego żyłach nie płynie krew tego potwora.

Marra wpatrywała się w trumnę, bo nie mogła dłużej patrzeć w oczy siostrze.

– Kiedyś wyjechał na wojnę – ciągnęła Kania. – Nie było go kilka lat. Kiedy wrócił, nie tknął mnie przez dziewięć miesięcy, żeby mieć pewność, powiedział. Żeby mieć absolutną pewność. – Znów zaśmiała się chrapliwie. – To były najlepsze lata mojego małżeństwa. Tyle że byłam wtedy jeszcze młoda i na tyle głupia, żeby wierzyć, że on się zmieni.

Marra zaczerpnęła tchu.

– Wobec tego musisz go zabić – oznajmiła również prawie szeptem. Czy strażnicy za drzwiami mogli je słyszeć? Jeszcze bardziej zniżyła głos. – Ugódź go podczas snu.

Kania popatrzyła na nią z rozpaczą i żalem.

– Nie sypiamy razem.

– To jak... Kiedy... No wiesz... – Marra poczuła, że zalewa się łzami.

Rysy Kanii zmiękły na widok zakłopotania siostry.



– Nawet wtedy są z nim jego strażnicy – wyjawiała łagodnie. – Chyba podnieca go myśl, że patrzą.

Świat się zakreślił. Marra nigdy by nie pomyślała... nigdy sobie nie wyobrażała...

– Och... – jęknęła.

Nie potrafiła przyjąć tego do wiadomości. W jej umyśle nie było miejsca na ten strzęp informacji. Starła się zwrócić myśli ku czemuś innemu, zastanawiała się, jak rozwiązać tę sytuację. Kania siedziała w milczeniu, ze splecionymi dłońmi, patrząc na trumienkę córki, której nie pozwolono jej kochać.

– A gdybyś... Gdybyś miała syna – zaczęła Marra. – Gdybyś urodziła mu dziedzica, wtedy pozwoliliby ci odejść? Zamieszkać gdzieś indziej, osobno? Albo wrócić do domu? Albo gdziekolwiek? Przecież już by cię nie potrzebował.

– Owszem, nie potrzebowałby mnie już – zgodziła się Kania. – A gdy tylko przestanie mnie potrzebować, w chwili, gdy będzie miał syna mogącego władać obydwojoma naszymi królestwami, moje życie straci wartość. Będę warta mniej niż najędzniejszy wieśniak. Nie umrę szybko, ale umrę.

– A więc nie możesz mieć więcej dzieci! – jęknęła Marra rozpaczliwie. W jej umyśle tłoczyły się kare konie w czarnych uprzężach, korowody żałobników, ciało w całunie, ciało, które musiało być ciałem Damii. – Nie możesz! W końcu urodzisz chłopca!

*Ale jeśli nie będzie mógł płodzić z nią dzieci, przestanie być dlań użyteczna.*

*Zabije ją i pojmie za żonę kolejną siostrę, żeby dostać upragnionego syna.*

*Kolejną siostrę.*

Kania obserwowała ją spokojnie i Marra zrozumiała, że ma wypisane na twarzy, jakim tokiem biegają jej myśli.

– Widzisz, dlatego tak musi być – powiedziała miękko. – Jeśli jest jakieś wyjście, ja go nie dostrzegam. – Wyprostowała się dumnie jak królowa. – Ale wytrwam. Dla naszych poddanych wytrwam.

\* \* \*

Następne trzy dni Marra trwała w otępieniu, zdjeta grozą do szpiku kości. Nie odważyła się porozmawiać z nikim o tym, czego się dowiedziała. Książę mógłby usłyszeć. Na pewno by usłyszał. Kania ośmieliła się przemówić dopiero w kaplicy, przy siostrze i nieżywej córce. *Nie odważę się nikomu powiedzieć. Dowiedziałaby się o tym. Dowiedziałaby się.*

Nie mogła mówić, ale nie mogła też przestać o tym myśleć. Nie było chwili, we dnie czy w nocy, żeby ta wiedza nie wypalała jej umysłu. Z trudem przeżywała

suchą grzanekę, widząc oczyma duszy ślady na rękach Kanii. Pocieszające było jedynie to, że jej przerażenie brano za żalobę.

Trumnę siostrzenicy złożono w katakumbach pod pałacem. Marra pamiętała tylko zgrzyt wielkiej żelaznej bramy i pochod przez labirynt zimnych, kamiennych korytarzy. Szła za Kanią z rękami schowanymi w rękawach, obserwowała twarz Vorlinga i nagle zdała sobie sprawę, że do tej pory nie знаła nienawiści. Bo tym właśnie musiało być to nowe uczucie. Zabierało tyle miejsca w jej piersi, że prawie nie mogła przez nie oddychać.

Kiedy wreszcie opuściły z matką Królestwo Północne, wielka ulga, która ją przepęliła, przypominała wręcz radość. Marra miała ochotę wyskoczyć z powozu i tańczyć na drodze. *Nie mogę się cieszyć. Kania nadal tkwi w pułapce. To nie mnie groziło tam niebezpieczeństwo. Nie zasługuję na tę lekkość.* Ale i tak ją czuła, i choć zalewały ją fale poczucia winy, kiedy się cofały, nadal tkwiła w niej ta dzika radość, że znajduje się z dala od pałacu Vorlinga.

Na jedną noc pozostała w pałacu ojca. Zachowano jej stary pokój. Nawet tak małe, biedne królestwo było zazwyczaj stać, żeby zachować pokój księżniczki. Był dziecinny, pełen pluszowych zabawek, a Marra miała już trzydzieści lat. *Ale nie mogę przecież prosić o przebudowę pokoju, w którym sypiam raz na dziesięć lat. To byłoby marnotrawstwo.* Przeorysza potępiłaby taki ekstrawagancki wydatek, bo przecież za te pieniądze można by nakarmić biednych, a siostra zielarka pokręciłaby głową i się z niej śmiała.

Coś jednak mogła zrobić w pałacu ojca, jedną, jedyną rzecz. Zebrała się w sobie. Nie sądziła, że życie w klasztorze mogło ją odrzeć z odwagi, a jednak myśl o rozmowie z matką napawała Marrę większym niepokojem niż wtedy, gdy była dzieckiem. Teraz była aż nazbyt świadoma, że ta kobieta jest w pierwszej kolejności królową, a dopiero w drugiej matką, Marra zaś jest tylko małym, nieistotnym pionkiem w grze.

– Muszę z tobą porozmawiać – rzekła, podchwyciwszy spojrzenie matki. – Eee... Wasza wysokość... Matko. Proszę?

*Cóż, wypadło gorzej, niż się spodziewałam.* Nigdy nie miała gładkiej mowy, ale najwyraźniej do reszty utraciła tę nikłą umiejętność, którą kiedyś miała.

Pomiędzy brwiami królowej pojawiła się pionowa zmarszczka.

– Zostawcie nas – odesłała dwórki, a te wyszły, oglądając się ciekawie za siebie.

– Kania ma kłopoty – wypaliła Marra, gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły.

– Jakiego rodzaju? – Królowa przekrzywiła głowę na bok.

– Chodzi o księcia. – Marra przełknęła nerwowo ślinę. Miała sucho w ustach. Ale matka jej słuchała... To już coś. – Księcia Vorlinga. Kania się go boi. Bardzo. Myślę... Jestem pewna, że...

Nie potrafiła wypowiedzieć tych słów. A miała je na końcu języka. *Znęca się nad nią. Ale nie mogła ich z siebie wydobyć. Nie potrafię tego powiedzieć! Dlaczego nie chce mi to przejść przez gardło?*

Czuła, jakby zaraz miała wyznać jakiś okropny, wstydlivy sekret. Krtań zaciskała się, jakby ciało próbowało powstrzymać ją przed wyjawieniem tej strasznej rzeczy, choć była to prawda i nie było w tym winy Kanii, i to Vorling był potworem, ale z jakiegoś powodu wypowiedzenie tego na głos wydawało się niemożliwe. Jeszcze raz z trudem przełknęła ślinę. Policzki ją piekły.

*No powiedz to. Powiedz.* Przywołała wspomnienie sinych śladów palców na przegubach siostry i próbowała się na nim skupić. Dlaczego to takie trudne? Kania nie prosiła jej o pomoc, ale przecież musi o tym powiedzieć, musi. Matka temu zaradzi. Królowa umie rozwiązać każdy problem – dlatego ojciec się z nią ożenił. Zna się na polityce, jest praktyczna, z pewnością coś z tym zrobi.

– On... Książę.... – Marra nabrała powietrza. *Powiedz to. Musisz.* – On ją krzywdzi. Widziałam ślady. Musimy ją stamtąd zabrać.

– Ach – skwitowała królowa.

*Uwierzyła mi? A jeśli nie? W głowie tłoczyły się jej wspomnienia z dzieciństwa, wszystkie dziecięce kłamstewka, słowa Kanii, która zarzucała jej zazdrość o księcia. Och, Mateczko od Wilgowronów! Co zrobić? Mam zawlec ją z powrotem na północny dwór królewski, żeby pokazać jej ślady na rękach Kanii?*

Sama myśl była druzgocząca. Marra obserwowała, jak królowa pochyła głowę nad robótką. Dziewczyna rozpoznała ścieg pajęczkowy i pomyślała, że potrafiłaby go zrobić zręczniejsz, dokładniej. Świadomość, że jest w czymś lepsza od królowej, dodała jej odrobinę odwagi, której naprawdę niewiele już zostało.

– Książę Vorling to potwór – rzekła królowa szorstko. – Znęca się nad nią, niewątpliwie, i to na wiele sposobów, choć nauczył się już nie robić niczego, co spowodowałoby poronienie. Oby Kania urodziła teraz syna, może dzięki temu książę zostawi ją w spokoju.

Marra otworzyła usta, ale w gardle nie miała żadnych słów.

*Ale przecież nie pozwoli jej odejść. Zabije ją.*

– Niestety, dopóki nie urodzi syna, jest zdana na jego łaskę i niełaskę. Podobnie jak my.

– Ale... – wychrypiła Marra.

Królowa zniecierpliwionym ruchem wbiła igłę w materiał.

– Myślże, Marro! Jesteśmy małym królestewkiem, a on trzyma nóż na naszym gardle. Jeśli stracimy ochronę Królestwa Północnego, Południowe rzuci się na nas, by zdobyć port.

– Ale... przedtem tego nie zrobili... – Marra miała wrażenie, jakby potykała się o własne nogi w tańcu, który okazał się bardziej skomplikowany, niż

przypuszczała.

– Nie robili, bo Północne trzymało ich w szachu. Nawet jeśli nie ze względu na nas, to choćby po to, by Południowe nie zagarnęło portu. Ale jeśli dowiedzą się, że wypadliśmy z łask Północnego, że nie ma ono już interesu we wspieraniu nas, to za dwa tygodnie będziemy tu mieć armię Południowego i oblężenie.

Marra próbowała sobie wyobrazić zamkowe przedpoła rojące się od namiotów wroga, ostrz mieczy i grotów włóczy. Bezskutecznie.

Kolejne gwałtowne wbicie igły w tkaninę. Szew będzie zbyt ścisły i materiał się ściągnie.

– Albo – podjęła matka – jeśli sprzeciwimy się Vorlingowi, zanim urodzi mu się następca mogący legalnie objąć nasz tron, samo Północne pomaszeruje na nas i zrówna miasto z ziemią w ciągu jednego dnia.

Marra z trudem przełknęła ślinę.

– Ale Kania...

– Kania manewruje teraz niezmiernie niebezpieczną igłą. Prosiła cię, żebyś ją stamtąd wyciągnęła?

– Nie... – Marra czuła, jakby stała kilka kroków za sobą, zupełnie poza tą dziwną, okrutną i skomplikowaną rzeczywistością. – Nie, po prostu... Nie.

Królowa skinęła głową.

Marra miała jeszcze tyle do powiedzenia. Że Kania uważa, że syn przypieczętuje jej los. Ale może Kania się myliła albo królowa się myliła, a może wszyscy się mylili i nic nie dało się zrobić właściwie? Kolejna myśl tłukła się jej w głowie jak ćma o szybę.

– Wiedziałaś? – zapytała. – Wiedziałaś o tym wcześniej?

– Wiedziałam, że ma specyficzne skłonności. – Nic w twarzy królowej czy w jej tonie nie świadczyło o tym, że pragnie przebaczenia. – Liczyłam, że jest na tyle mądry, by trzymać je na wodzy. Nie sądziłam, że będzie dręczył żonę do tego stopnia, że ta poroni i umrze. – Zacisnęła usta i potrząsnęła głową.

*Umrze? Ale...* Marra potrzebowała zdecydowanie zbyt wiele czasu, by dotarło do niej, że matka mówi nie Kanii, lecz o Damii.

*Och.*

*Och...*

*A więc jednak ją zabił. A matka o tym wiedziała.*

Marra nie wiedziała, co powinna teraz czuć. To wszystko ją przerastało, było zbyt obce jej pojmowaniu. Nie wiedziała, czy ma ochotę płakać, wściekać się, czy może rzucić z zamkowych murów. Ani serce, ani doświadczenie nie podpowiadało jej, co uczynić z tą nowo nabytą wiedzą. To było zbyt wielkie. Musiała odłożyć to na bok i skupić się na Kanii, inaczej kompletnie się pogubi.

– Możemy ją stamtąd wydostać – rzekła Marra z rozpaczą. – Mogłaby zostać ze mną, w klasztorze. Porozmawiaj z siostrami. Tam jej nie dopadnie.

– Marro – Głos królowej złagodniał. – Marro, kochanie, myślisz, że mężczyznę, który znęca się nad żoną i mógłby dla kaprysu zmieść nasze królestwo z powierzchni ziemi, powstrzymają mury klasztorne?

Marra nadal stała zbyt daleko od siebie, niczym uwięziona w bursztynie. Patrzyła, jak spuszcza głowę, słyszała, jak mówi:

– Nie, oczywiście, że nie.

Narastająca fala gniewu została w jednej chwili stłumiona. Matka wiedziała o wszystkim, wiedziała także, że nic nie może na to poradzić. Było na to za późno. Możliwe, że było na to za późno już wiele lat temu, gdy Vorling zaczął się starać o rękę Damii.

*Nie daj jej się wepchnąć do tego samego piekła, które stało się naszym udziałem*, szeptała gorączkowo Kania, patrząc na nią zmętłymi z bólu oczyma i zaciskając rękę na jej szacie. *Uciekaj*. Świadomość wykwitła w niej niczym plama krwi na bandażu. Księżę Vorling wybrał sobie małe, bezbronne królestwo, które nie mogło mu się sprzeciwić. Zrobił to celowo. Brał za żony księżniczki, wiedząc, że może się nad nimi bezkarnie znęcać, a one pozwolą mu na wszystko, aby chronić swój lud.

...*Och*.

– Tylko nie zrób czegoś głupiego – ostrzegła królowa. – Z nikim o tym nie rozmawiaj. Jeśli to dotrze do księcia, ucierpi twoja siostra. – Odłożyła robótkę na bok. – Ja również z nikim o tym nie rozmawiam, dla jej bezpieczeństwa

– Ale czy nic jej nie będzie? – zapytała Marra. Znała odpowiedź na to pytanie, ale pragnęła, by matka ją pocieszyła, powiedziała, że wszystko dobrze się skończy, tak jak robiła to wtedy, gdy Marra była dzieckiem.

– Przetrwiała tak długo – rzekła królowa. – Kania balansuje na grzbiecie smoka, a wraz z nią całe nasze królestwo.

## ROZDZIAŁ 6



Marra spędziła w klasztorze piętnaście lat. Prawie połowę życia – bez kilku miesięcy. Umiała tkać, haftować i dziergać, o polityce wiedziała nieco więcej niż przeciętna zakonnica, ale nie mogła zrobić nic, żeby pomóc swej siostrze.

Liczyła, że powrót do znajomej klasztornej rutyny pozwoli jej odzyskać równowagę, ale tak się nie stało. Od powrotu z Królestwa Północnego minęło wiele dni, a Marry nie opuszczał niepokój. Krążyła nerwowo, palce swędziały ją od bezczynności, drażniła cisza klasztornego życia. Co robić? Musiała jakoś pomóc Kanii, ale nie mogła, musiała, ale nie mogła...

– Zakochałaś się czy jesteś w ciąży? – zapytała siostra zielarka.

– Ani to, ani to – zaprzeczyła Marra zdjęta zgrozą.

– Nie rób takiej przerażonej miny. Jesteś nerwowa jak konik polny, a te dwa stany tak się na początku objawiają.

– Nie – zaprzeczyła ponownie. Ufała siostrze zielarce, ale w głowie kołatały jej ostrzeżenia królowej, co się stanie, jeśli komuś się poskarży i dotrze to do księcia... – Nie. Martwię się o siostrę. Jest... Znowu jest w ciąży. Kolejnej, w małym odstępie czasu. A poprzednie straciła i... wiesz.

– Wiem – westchnęła siostra zielarka ciężko. – Ciągle to widuję. „Jedno dziecko, jeden ząb” mawiają kobiety z ludu, a połowa z nich nie ma już żadnych zębów. Wykańczają się licznymi ciążami. Ale twoja siostra jest księżniczką, a księżniczki mają lepszą opiekę niż biedota. Jest w dobrych rękach.

*Wprost przeciwnie. To właśnie ręce księcia stanowiły problem. Siniaczące, chwytające, szczypiące...* Marze znów stanął przed oczyma rząd purpurowych śladów na przegubach Kanii.

– Muszę coś zrobić – wymamrotała, chodząc nerwowo po celi i ściskając własne nadgarstków.

– Nie masz na to wpływu – stwierdziła zielarka. – Myślisz, że gdybym mogła, nie powstrzymałabym kobiet przed zaciążaniem się na śmierć? Ale decyzja nie należy do ciebie. Co miałabyś zrobić, wykopywać im mężów z łóżek? Mogę nawarzyć całe kotły specjalnej herbaty, ale nie mogę ich zmusić do jej wypicia.

Marra utkwiała wzrok w dłoniach.

– Muszę coś zrobić – upierała się.

– Powodzenia. – Siostra zielarka zasalutowała jej kieliszkiem kordiału. – Daj znać, jeśli uda ci się znaleźć sposób.

\* \* \*

Dni zmieniły się w tydzień, a Marra zamartwiała się i wbijała sobie paznokcie w skórę. Przeorysza zaczęła się niepokoić, ale siostra zielarka sporządziła maść na zadrapania i rzekła:

– Tylko wierzgasz przeciw ościeniowi.

Była to, niestety, prawda, ale w Marze i tak płonął bunt. Taki młodzieńczy sprzeciw powinno się przechodzić w wieku lat szesnastu, a nie trzydziestu. *Zawsze wszystko robiłam później, ale bez przesady.*

Tydzień zmienił się w miesiąc, a potem kolejny i jeszcze jeden, a Marra przez cały ten czas krążyła w beznadziei, zamartwiała się i czuła się coraz bardziej bezużyteczna. *Powinnam coś zrobić. Powinnam móc coś zrobić. Powinnam móc temu jakoś zaradzić.*

Nie przychodził jej do głowy żaden sposób. Może to wyzwanie dla bohaterów, a Marra nie wiedziała, jak być bohaterką. Leżała bezsennie całymi nocami, przeganiając widma spod powiek, wciąż na nowo przeżywając rozmowę w kaplicy, wciąż na nowo przeżywając rozmowę z matką. W ciemnościach snuła melodramatyczne plany, które odrzucała w świetle dnia. Mogłaby poprosić o audiencję u Vorlinga i zakłuc go sztyletem. (Nie, strażnicy by ją powstrzymali). Mogłaby uwieść go, skłonić do odesłania gwardzistów, a potem go zakłuc. (Co ona, prawie zakonnica, wiedziała o uwodzeniu?). Mogłaby podebrać zioła siostrze zielarce i go otruć. (Jak dodać mu je do jedzenia?) Mogłaby... Mogłaby...

Najwyraźniej nic nie mogła zrobić. Każde planowane działanie kończyło się śmiercią Marry, śmiercią siostry lub upadkiem ich królestwa. Pomysły krążyły jej w głowie każdej nocy, a każdy z nich był bezużyteczny.

*Bezużyteczne plany. Bezużyteczna Marra. Na nic nikomu się nie zdam.*

Pomyślała, że ciąża Kanii powinna być już dość zaawansowana. *Jeśli nadal nosi dziecko pod sercem, może jest bezpieczna. Mówiła, że gdy jest w ciąży, księżę przeważnie zostawia ją w spokoju.* Przeważnie. Marra przypomniała sobie

specyficzny fason sukni siostry, przez który ciąża wydawała się widoczna bardzo wcześnie. Czasami rzeczywiście tak się zdarzało, ale Kania nie była głupia, więc może krawcy celowo tak kroili suknie, by podkreślały brzuch?

*Zakładając, że tym razem nie poroniła.*

Ale to nie o śmierci nienarodzonego dziecka dobiegły ich wieści. Nie z listów, tylko z plotek zakonnice dowiedziały się, że król umarł i teraz księżę Vorling został królem Vorlingiem, władcą Północnego Królestwa.

*To dla niej lepiej?*

*A może gorzej?*

*Może teraz więcej osób pilniej mu się przygląda?*

*Ale skoro jest królem, nikt nie może go już powstrzymać.*

Marra gubiła się w domysłach. Nie wiedziała, czy to dobrze, źle czy strasznie, czy los dał Kanii szansę ratunku, czy skazał ją na śmierć. Wszystko to nie mogło się Marze pomieścić w głowie. *Król Vorling* – to brzmiało absurdalnie. Dla niej pozostał *księciem Vorlingiem*. Przypomniała sobie jego przyływ wściekłości, gdy Kania powiedziała, że chce czuwać przy zwłokach córki. Jak taki człowiek w ogóle mógł być królem i dzierżyć w rękach los całego królestwa?

Marra z wielkim zacięciem zabrała się do pielenia ogrodu, wyrrywając szczaw, babkę i szarotę i zgrzytając przy tym zębami.

*Gdybym była mężczyzną, mogłabym z nim walczyć.*

*Gdyby Kania była mężczyzną, nikt nie zmuszałby jej do zachodzenia w ciążę za ciążą. Gdybym była mężczyzną, nie byłabym następną kandydatką na jego żonę po jej śmierci. Gdybyśmy obie były mężczyznami...* Zapatrzyła się w zaciśnięte na ziemi palce. To nie miało znaczenia. Nie były mężczyznami, a historia świata została zapisana w kobiecych łonach, kobiecą krwią, i nigdy nie pozwolą jej tego zmienić.

Zatrząśł nią gniew, zdolny obrócić w gruz komnaty niebios, gniew, który po chwili wyparował pod wpływem świadomości własnej bezsiły. Gniew jest użyteczny tylko wtedy, gdy można go na coś przekuć.

Nadal klęczała ze wzrokiem utkwionym w dłoniach, kiedy usłyszała rozmowę dwóch oblateg.

– Nie wiem, co robić – mówiła jedna. – Nie mam pomysłów.

– Idź do pożegnuchy – poradziła jej towarzyszka. – Zna się na różnych rzeczach.

– Jakich rzeczach?

– No wiesz, na magii.

Marra gwałtownie podniosła głowę. Nazbyt gwałtownie, jak się okazało. Oblatki ją zobaczyły i pospiesznie się oddaliły, ścisząc głosy. Ale ziarno zostało zasiane.



Pożegnucha.

W tej części królestwa każdy cmentarz, nawet najmniejszy, miał swoją pożegnuchę. Marra zdawała sobie sprawę z ich istnienia, jednak dość mgliście, ponieważ pochodziła z zachodniej części królestwa, a w tym wypadku stanowiło to dużą różnicę. Na cmentarzach bliżej wybrzeża grzebano psa, który stawał się przewodnikiem zmarłych – nazywano je ogarami cmentarnymi. Po wschodniej stronie gór cmentarzy strzegły pożegnuchy. (W jednym czy dwóch miejscach pośrodku można było znaleźć oboje, pożegnuchę oraz ogara cmentarnego. „Nie są uciążliwe – mówiła jedna pożegnucha o ogarze. – Poza tym dobrze mieć psa w pobliżu”).

Pożegnuchy mieszkaly w małych domach przy cmentarzach. Odgrywały rolę po części grabarek, po części szeptuch – wykopywały groby i składały do nich zmarłych. Nawet gdy pożegnucha zestarzała się na tyle, że nie mogła już podołać ciężkiej pracy fizycznej, kuśtykała na miejsce planowanego pochówku i wbijała pierwszą łopatę, a dopiero potem resztę grobu kopał ktoś do tego najęty. Bez błogosławieństwa pożegnuchy zmarli mogliby wziąć kopaczy za rabusiów grobów i rzucić na nich ciężką klątwę.

Podobno pożegnuchy znały język zmarłych oraz tajemnice leżące pod ziemią. Gdy umierała pożegnucha, palono jej ciało, a prochy rozsypywano na cmentarzu, któremu służyła, by każda następna miała dostęp do mądrości swoich poprzedniczek.

Marra naciągnęła na głowę kaptur płaszcz i wyszła, żeby poszukać pożegnuchy. Przy klasztorze znajdował się maleńki cmentarzyk, ale chowane tam zmarłe należały do Mateczki od Wilgowronów. Marra musiała iść do kościoła pod wezwaniem Mateczki od Żniw, przy którym chowano mieszkańców miasteczka.

Pożegnucha pracowała na zewnątrz, porządkowała groby. Była grubą, krzepką kobietą o różowych policzkach.

– Dzień dobry – przywitała życzliwie Marzę. – Jak mogę ci pomóc, panienko?

– Potrzebuję zaklęcia – wypaliła Marra i zamilkła niepewna, czy nie popełniła jakiejś strasznej gafy. Może najpierw należało z pożegnuchą pogawędzić? Poprosić? Zaoferować pieniądze? – Przepraszam. Nie bardzo wiem... – Przyłożyła ręce do twarzy. Skóra pod dłońmi płonęła.

Pożegnucha dźwignęła się z klęczek i poklepała ją uspokajająco po ręce.

– Może zacznijmy od początku? Mam na imię Elspeth. A ty?

– Marra – odrzekła, zanim przyszło jej do głowy, żeby skłamać.

– Dobrze, porządne imię. Tak nazywa się jedna z naszych księżniczek. Chodź, usiądziemy i opowiesz mi, co się dzieje.

Marra odetchnęła głęboko. W piersi ciążyło jej ostrzeżenie matki. Ile mogła wyjawiać?

– Moja siostra ma męża – zaczęła, przysiadając na murku obok Pożegnuchy. – On nie jest... dobrym mężem. Siostra jest ciągle w ciąży, żeby jej nie bił. Ale jest jej coraz trudniej. Często roni, a potem jest jeszcze gorzej. Nie mogę... Muszę jej pomóc. Ale on jest... hmm... Nie pozwoli jej odejść. – Marra wbiła wzrok w splecione na podołku dłonie.

– Biedaczka. To straszne. Czy mąż jest na tyle wysoko postawiony, że uchodzi mu to na sucho?

Wybuch histerycznego śmiechu w niczym by nikomu pomógł, więc Marra po prostu przytaknęła.

Elsbeth wyprostowała się i spojrzała na Marzę poważnie.

– Czego ode mnie chcesz, dziecko? Wygląda na to, że jałowość jej nie pomoże. Mogę dać ci zakłęcie, które ułatwi jej rodzenie, ale to za mało, żeby uratować dziecko, które nie chce przyjść na ten świat.

Marra zamknęła oczy, pomyślała o zdradzie stanu, o królobójstwie i wyszeptała:

– Możesz mi dać zakłęcie, które go uśmierci?

Pożegnucha dłuższą chwilę milczała. Marra uniosła powieki, spodziewając się, że ujrzy na jej twarzy zgrozę, ale oczy Elspeth przepełniały smutek i współczucie.

– Nie – odpowiedziała. – Może bym to zrobiła, gdybym potrafiła, ale nie jestem katem i musiałabym wiedzieć więcej, zanim splamiłabym ręce krwią. Jednak coś takiego pozostaje poza moimi możliwościami. To prawdziwa moc, nie proste czary, wiedźba czy słuchanie zmarłych. – Odwróciła wzrok, a potem ostrożnie ważąc słowa, dodała: – Słyszałam, że w stolicy mieszka kobieta, która zna się na truciznach.

Marra potrząsnęła głową z rezygnacją. Książę miał stolników, o czym oczywiście nie mogła powiedzieć.

– Gdyby zmarł od trucizny, podejrzenie padłoby na nią – wyjaśniła.

Elsbeth wzięła ją za rękę. Marra w pierwszej chwili pomyślała, że pożegnucha chce ją pocieszyć, ale chwyt był zbyt mocny na pociechę. Zaskoczona, podniosła wzrok, a oczy pożegnuchy nagle zrobiły się dziwne, niewidzące, źrenice rozszerzyły się, a tęczęwki prawie zniknęły.

*Zupełnie jak oczy zmarłego, przemknęło Marze przez głowę, a potem pomyślała, że tak musiały wyglądać oczy Damii.*

Elsbeth zamrugnęła i jej oczy znów znormalniały. Puściła dłoń Marry i potarła twarz.

– Cóż – powiedziała jakby do siebie. – No cóż. A więc to tak.

– Słucham?

– Mogą ci pomóc martwi – orzekła Elspeth. – Ale do tego potrzebujesz prawdziwej pożegnuchy, poślubionej glinie, kości i ziemi grobowej, a nie starej znachorki, która umie tylko kopać groby.

Zmrużyła oczy i skrzywiła się, jakby raziła ją jasność dnia. Marra widziała, jak w kąciku jej oka zbiera się łza, która potem spływa po policzku.

– Gdzie ją znajdę? – zapytała.

– Na południu – odparła Elspeth. – Na południu i wschodzie. Nie tutaj. Musisz obejść góry od południa. Wiesz, gdzie są suche równiny?

Marra przytaknęła. Ojciec zabrał je tam kiedyś, podróżowali z całym orszakiem królewskim. Ziemia była sucha jak wiór i twarda jak kamień, a karawana wzbijała tumany białego kurzu.

– Wiem, gdzie to jest.

– Znajduje się tam wielka nekropolia, ale nie tam masz iść. Zatrzymaj się, zanim tam dotrzesz. Przy zboczu góry, jaskiniach, opuszczonej osadzie i czaszkach byków. Tam. Tam znajdziesz pożegnuchę godną tego miana. Umarli pełzną do niej na kolanach, by zdradzić jej swe sekrety.

Marra skinęła głową.

– Dziękuję – powiedziała, zsuwając się z murku.

– Nie dziękuj mi – powiedziała Elspeth. – Tylko wróć tu z opowieścią, gdy będzie po wszystkim.

Marra potrząsnęła głową na myśl o dalekiej podróży.

– Mogę tego nie przeżyć – przyznała.

– Wiem. – Pożegnucha łagodnie się uśmiechnęła. – Lecz ja nadal tu będę, by cię wysłuchać.

\* \* \*

Droga była daleka. Marra powiedziała o podróży tylko siostrze zielarce, a ta popatrzyła na nią spokojnie, po czym wręczyła jej sakiewkę pełną monet oraz woreczek z ziołami.

– Magia – westchnęła. – Nie znam się na magii. Wróć, jeśli będziesz mogła. A jeśli nie, niechaj szczęście ci sprzyja.

Marra nie wierzyła już w szczęście. Urodziła się jako księżniczka, co samo w sobie powinno być szczęściem, ale ceną za pełny brzuch okazało się uwikłanie w konflikty ludzi zbyt potężnych, by dosięgnęła ich sprawiedliwość.

Wolałyby, by siostra zielarka próbowała ją odwieść od tych planów, ponieważ wtedy miałyby się czemu sprzeciwiać. Przywykła do stawiania oporu, a akceptacja konfundowała ją i nie pozostawiała pola do działania.

Zapewniwszy sobie u siostry zielarki krycie nieobecności, narzuciła płaszcz i znów ruszyła do miasteczka. Pożegnucha skierowała ją do pasterza udającego się z runem na południe, na targ w Low Bandai, i Marra dojechała z nim aż tam. Pasterz wydawał się zadowolony z towarzystwa, ale nie mówił zbyt wiele, co odpowiadało Marze, która miała chwilowo niewiele do powiedzenia poza „O, Boże, o Boże, co ja wyprawiam, o Boże...”.

Z Low Bandai kursowały powozy w różne strony. Marra pożegnała pasterza i wsiadła do powozu jadącego na południowy wschód, a na ostatnim postoju przesiadła się do kolejnego. Oszczędzała pieniądze na jedzenie, więc spała podczas jazdy albo czekając na przesiadkę. Była zmęczona, drażliwa i często musiała ukrywać rozczochrane włosy pod kapturem, ale monet w sakiewce nie ubywało tak szybko, jakby się to działo przy wynajmowaniu pokoi na noclegi.

Nikt nie wziąłby jej za księżniczkę.

Za pierwszym razem denerwowała się, kiedy musiała wykupić miejsce w powozie. Nigdy wcześniej tego nie robiła, więc obawiała się, że powie coś głupiego, a woźnica wyśmieje ją i odeśle z kwitkiem. Jednak zebrała się na odwagę i powiedziała:

– Chcę dojechać do Essemque.

A woźnica tylko podał jej cenę za przejazd. Kiedy wręczyła mu monetę, podziękował skinieniem i poinformował, że powóz odjeżdża za dwadzieścia minut.

Za drugim razem było łatwiej, a z każdym kolejnym razem jeszcze łatwiej. Szybko nauczyła się też, że jazda w zatłoczonym powozie to przepis na mdłości, ale był to najtańszy sposób podróżowania. Sama nie wiedziała, skąd w niej ta potrzeba oszczędzania, ale coś podpowiadało jej, że nie będzie miała znikąd pomocy, a przecież nie miałyby jak zarobić. Jedyne, co umiała, to haftować i pielić ogród. *Pewnie mogłabym kupczyć ciałem, ale przecież nie bardzo wiem, jak to się robi.* Wydawało jej się, że to bardziej skomplikowane niż wykupienie miejsca w powozie. Trzeba do kogoś podejść czy może to chętni podchodzą? I jak zacząć rozmowę, w wyniku której następuje wymiana seksu za pieniądze? Czy obowiązuje jakaś etykieta?

Czegoś takiego nie uczono w klasztorach. Znacznie łatwiej było po prostu sypiać podczas podróży.

Roztelepana drzemkami, objechała wreszcie południowo-wschodni kraniec pasma gór. Przyszło jej do głowy, że przeorysza zapewne musiała już poinformować królową, że jej córka zniknęła. Albo może uciekła? Czy można w ogóle wziąć to za ucieczkę, jeśli uciekający ma trzydzieści lat?

W każdym razie do tej pory miała szczęście. Nikt jej nie zaczepiał, prawie nikt. Tylko raz jakiś mężczyzna próbował ją wciągnąć w rozmowę, która

rozwinęła się w niebezpieczną stronę.

– Gdzie jedziesz? – zapytał, siadając naprzeciwko niej. Miał wszystkie zęby, które pokazywał w szerokim uśmiechu.

– Na południe – odpowiedziała.

– Do jakiego miasta?

– Na południe – wzruszyła ramionami, starając się ukryć narastający niepokój. Czyżby ją rozpoznał? Dlaczego tak wypytuje?

Gdy zapytał o imię, nie odezwała się. Zadawał kolejne pytania – gdzie się wybiera i czy ma tam rodzinę – a gdy dalej patrzyła na niego w milczeniu, zaczął ją coraz bardziej nieprzyjemnie zaczepiać. W końcu, nie bacząc na innych pasażerów, zaczął ją znieważać.

Wybawiła ją kobieta w średnim wieku. Przechyliła się i pstryknęła palcami przed twarzą natręta.

– Ty niegrzeczny smarkaczu – fuknęła. – Nie widzisz, że to mniszka? Czemu wyżywasz się na pielgrzymującej mniszce?

Mężczyzna właśnie lżył kobietę, kiedy dotarły do niego jej słowa. Urwał w pół przekleństwa, jakby nagle stracił język w gębie, i popatrzył na Marzę w ubrudzonych szatach podróżnych, jakby widział ją po raz pierwszy.

– Mniszce? – powtórzył.

Marra wykorzystała podsuniętą jej szansę.

– Służę Mateczce od Wilgowronów – rzekła do kobiety. Nie było to całkiem kłamstwo. – Dziękuję. – *Wybacz mi, Mateczko.*

Mężczyzna coś wymamrotał, rumieniąc się, ale więcej już jej nie zaczepiał. Na następnym postoju wysiadł, a kobieta zaczekała z Marzą na kolejny powóz. Choć słabe i zażawione, to spojrzenie miała bystre.

– Od razu mów, że jesteś zakonnica – poradziła Marze. – Wielu mężczyzn nie pomyśli dwa razy, zanim źle potraktuje kobietę, ale habit i święty symbol budzą w nich bogobojny szacunek. Możesz sobie dzięki temu oszczędzić kłopotów na drodze.

Marra przytaknęła. Po tej rozmowie starała się chodzić jak ksieni, trzymając dłonie ukryte w rękawach, jak robiły zakonnice. Miała naszyjnik z rzeźbionym piórkiem wilgowrona, prezent od matki, który wcześniej zamierzała sprzedać, jednak teraz zaczęła nosić go na wierzchu. Wyglądał trochę jak klasztorny symbol i zapewniał jej nieco więcej przestrzeni w powozach i więcej dystansu poza nimi. Ludzie, którzy popychaliby Marzę-kobietę, ustępowali Marze-mniszce.

*Ciekawe, czy ustępowaliby Marze-księżniczce, zastanawiała się Marra zdeprymowana.*

Oczywiście, nie miała okazji tego sprawdzić. Przecież księżniczki nie jeździły liniowymi powozami. Nie przesiadywały na placach, gdzie przystawały powozy, ani też nie sypiały z głowami opartymi o ścianę. Księżniczka, którą niegdyś była Marra, nie żyła, tak samo jak Damia i wszystkie dzieci, których nie donosiła Kania.

\* \* \*

W ostatnim miasteczku przed nekropolią Marra odszukała cmentarz. Mieszkała tam pożegnucha tak stara, że ledwie miała siłę utrzymać w ręku szpadel, by wzruszyć ziemię.

– Szukam pożegnuchy – wyjaśniła Marra. – Tej potężnej.

– Ach. Wiem, o kogo ci chodzi. Gdy opuścisz miasteczko, idź w stronę wschodzącego słońca, aż dotrzesz do dwóch murów, nieco wyższych od człowieka. Pomiędzy nimi jest przestrzeń i dużo, bardzo dużo kamieni. Idź tamtędy, a ujrzysz płaskie miejsce pełne grobów oraz niewielką skałę. Dom jest wbudowany w skałę.

– Dziękuję.

– Bądź ostrożna – rzekła jeszcze kobieta. Z jej oczu wyczuli umarli i Marra zastanawiała się, kto tak naprawdę ją ostrzegął. – Bądź uprzejma. Ona nie jest diabolicą, nie będzie próbowała schwytać cię w pułapkę słów, ale za dużo wie.

Marra już miała zapytać, jak można wiedzieć za dużo, ale przypomniała sobie wszystko, czego się dowiedziała o księciu Vorlingu i śmierci Damii. Ukłoniła się jak księżniczka, która nikomu się nie kłaniała, a pożegnucha tylko westchnęła i patrzyła za oddalającą się na wschód Marra.

\* \* \*

Mury wcale nie były wyższe od człowieka. Może kiedyś, w młodości staruszki, tak było, a może wyolbrzymiła je jej pamięć. Marra weszła pomiędzy dwa mury sięgające jej do ramion i ujrzała przed sobą setki leżących płaskich kamieni, każdy wielkości dłoni, na których widniały napisy w nieznanym jej języku.

Ponad to morze kamieni sterczały niewielkie owalne budynki, przypominające ule bez wlotów. Marra od razu zrozumiała, że są to grobowce. Czasami widywało się takie również na północy, zazwyczaj, gdy rodzina miała własną działkę.

Kamienie układały się w nierówne podłoże. Marra ostrożnie stawiała stopy. Ucieczka po takim terenie mogła grozić skręceniem kostki albo czymś gorszym. Kamienie przesuwają się i chrzęściły pod stopami, rozmawiając ze sobą w swoim języku, wypowiadając wszystkie słowa, które gromadziły na chwilę, dopóki nie nastąpił na nie człowiek.

Marra nie rozglądała się, tylko patrzyła pod nogi, dlatego zaskoczył ją niespodziewany dźwięk. Nie swą obcością, lecz swojskością. Nie spodziewała się go usłyszeć na tej dziwnej, kamiennej równinie na skraju starożytnego cmentarzyska. Podniosła głowę.

„Ko” – powtórzył kurczak i przekreślił łeppek, by lepiej się jej przyjrzeć.

Marra parsknęła śmiechem. Stała przed okrągłym domem, jakby wyrastającym wprost ze skały. Na podwórku przed sadybą stadko kur grzebało i zażywało kąpieli w kurzu. Jedna z kur dziobnęła właśnie inną, która skrzecząc, uciekła na kamienie.

Dom przypominał ulowe grobowce, postawione z układanych na płasko warstw kamieni, a pośrodku ział ciemny otwór wejścia. Budziłby niepokój, gdyby nie to stadko ruchliwe ruchliwością typową dla kurczaków. No bo trudno bać się nieznanego, skoro owo nieznanie hoduje kury.

– Tak, tak – dobiegło z wnętrza domu. Głos nie był ani wysoki, ani swarliwy, a jednak coś w nim sugerowało, że należy do kogoś bardzo starego. – Słyszę cię, słyszę. Zdaje się, że mamy gościa.

Marra zastygła, niepewna, czy podejść do domu, zapukać w coś czy zawołać. Jedna z kur uznała, że stojący bez ruchu człowiek stanowi wielkie zagrożenie dla kurczaków, i zerwała się z wrzaskliwym gdakaniem.

– Wejdz, proszę – odezwał się głos. – Nie robię się młodsza. – A potem, jakby po namyśle: – Uważaj na tę brązową. Ma w sobie demona.

Marra rozejrzała się, ale nie zobaczyła w pobliżu żadnej brązowej kury. Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i postąpiła krok naprzód, zbliżając się do przeznaczenia i sposobu na zabicie księcia.

## ROZDZIAŁ 7



Pierwsze zadanie było łatwe, w pewnym sensie.

– No, w każdym razie jest nieskomplikowane – rzekła poźegnucha. – To sowie sukno. – Pogładziła tkaninę, która nie lśniła ani nie migotała w świetle, ale jakby mieniła się w oczach. Na płaskim dachu domu poźegnuchy leżało rozłożonych kilka strzępów materiału. – Zrób z nich płaszcz. Nić musisz uprząść sama. – Wskazała drewniane wrzeciono, przęślicę i masę czegoś niewiele bardziej materialnego od dymu. – Z tego.

Marra zmarszczyła brwi. Zadanie wydawało się zbyt proste, a nazbyt proste rzeczy budziły w niej podejrzliwość. Umiała uprząść – wszystkie w klasztorze bezustannie przędły na drewnianych wrzecionach, podczas rozmów, siedzenia czy nawet modlitw. W ten sposób zaopatrywano tkaczki w nici. Jednej siostrze tkaczce nici musiało dostarczać sześć sióstr przątek.

Marra dotknęła delikatnego kłębu i gwałtownie cofnęła rękę. Zbolało, jakby coś ją użądliło. Odruchowo włożyła palec do ust.

– To runo pokrzywowe. – Poźegnucha nie przejawiała złośliwej satysfakcji i tylko dzięki temu było to znośne. – Trzeba je uprząść, a potem przędzą zeszyć kawałki sowiego sukna. Będzie bolało jak diabli.

– Wiem, że tka się tkaniny z pokrzywy – przypomniała sobie Marra. – Ale niemożliwe, żeby to były te włókna.

– Z pewnością nie te. Pokrzywę zostawia się na polu na parę miesięcy, a potem pozyskuje się włókna jak każde inne. To jest runo barana, który utknął na sto lat w jeżynach, a ciernie wrosły mu w skórę i oczy i dostały się do krwi. – Poźegnucha trąciła czubkiem buta delikatny kłęb.

– To prawda? – zapytała Marra sceptycznie.

– Raczej nie. Ale z pewnością jest zakłete. – Staruszka się wyprostowała. – Masz na to czas od świtu do zmierzchu i z powrotem. W dzbanie jest woda. –



Pożegnucha zeszła po drabinie, zostawiając Marrę na dachu sam na sam z runem, którego nie dało się prząść.

\* \* \*

Marra jednak wykonała zadanie. Zrobiła to z tym samym gorzkim samozaparciem, z jakim czyściła stajnię – *dam radę. Nie powstrzyma mnie to.* Próbowwała na kilka różnych sposobów osłonić dłoń, ale okazało się, że tkanina, którą owijała ręce, była albo za gruba, by prząść, albo zbyt cienka, by chronić skórę. W końcu, wpatrując się w mglistą masę, pomyślała: *Wykonuję zadanie na miarę bohatera, a heroiczych czynów nie dokonuje się półśrodkami. To tylko ból. Ból Kanii jest dużo większy niż to.* Po tym zanurzyła lewą rękę w kądziel dymu i pokrzywy i zaczęła prząść. Runo parzyło, żądliło i paliło jej skórę. Marra syknęła, zakłęła, ale pochyliła się nad pracą. *Nie. Musisz wytrzymać. Nie możesz przestać, skoro już zaczęłaś.* Przypominała sobie każdy poród, którego była świadkiem. Tamte kobiety znosiły o wiele gorszy ból i dawały radę, bo skoro zaczęły, nie mogły już przestać. Ona też da radę. *Tylko lewa ręka. Prawej będę potrzebowała później do szycia.* Palce prawej mogła osłonić, ale lewej, którą wyciągała pasemka włókien z kądzieli, nie.

Szło jej niezdarnie, ale praca nie wymagała dokładności, tylko ukończenia. Opuszki jej poczerwieniały, a knykcie zaczęły puchnąć, ale to nie miało znaczenia. Musiała tylko trzymać palce w miejscu, pozwalając, by palący dym się przez nie prześlizgiwał. Słońce zaczęło się zniżać. Cienka skóra łącząca kciuk i palec wskazujący bolała bez ustanku, aż wreszcie ból zmienił się w coś zupełnie innego.

Trudno było utrzymać odpowiednio powolne opadanie wrzeciona i miała ochotę przyspieszyć przedzenie, ale szybsze obroty oznaczały cieńszą nić, a ona potrzebowała grubej, sznurkowatej, zdolnej utrzymać kawałki płaszcza tak, żeby nie musiała jej wiele zużyć. Zagryzła wewnątrz policzka aż do krwi i patrzyła na sztywną z bólu szponiastą dłoń, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś będzie się nią mogła normalnie posługiwać.

W końcu miała dość nici. Chyba. Runa już prawie nie było, pozostał tylko wielki, ostry cień długości przedniej nogi jagnięcia, o szpicu zdolnym przebić ludzkie serce. Marra odrzuciła wrzeciono i przycisnęła poranioną rękę do piersi. Skóra dłoni była czerwono-sina, a stawy – mocno opuchnięte. Gdy Marra spróbowała rozprostować palce, czuła, jak ścięgna szorują po kościach, i nie mogła opanować krzyku.

Spojrzała w niebo. Słońce zniżyło się już na horyzont, a cienie nabierały niebieskich tonów. Napiała się wody, trzymając dzban prawą ręką. Polała też lewą

dłoń, ale nic to nie zmieniło. Zapłakała, ale i to nie przyniosło jej ulgi.

Udało jej się oszczędzić prawą rękę do pracy wymagającej większej zręczności. Z ciężkim westchnieniem zabrała się do przewijania z wrzeczona nici, która paliła żywym ogniem. Nić była gruzłowata i nierówna, ale nic nie dało się na to poradzić. I tak nie było już więcej runa.

Przydałoby się ją chociaż skrócić i wyrównać, ale było za mało czasu i nie wiedziała, ile jeszcze bólu zdołałaby znieść.

Nie miała igły. Patrzyła na kawałki sowiego sukna i nić i nie mogła uwierzyć, że nie pomyślała o igle. *Zawsze jest gdzieś jakaś igła*, powiedziała sobie. *Jestem hafciarką, zawsze mam jakąś igłę*. Zaczęła się śmiać pod nosem, urywanym śmiechem śmiertelnej rany. Wszystkie igły leżały w jej celi w zakonie, porządnie powbijane w białą poduszeczkę w kształcie szurka. Dostała ją od siostry zielarki.

Rozejrzała się po dachu w poszukiwaniu znajomego kształtu, bieli kawałka kości lub metalu lśniącego w poświacie księżyca. Kiedy wyszedł księżyc? Minęło już tyle czasu?

Igły nie znalazła. Jej wzrok przyciągnął jednak jasny, matowy cień leżący w resztkę pokrzywowego runa.

Ujęła kolec obolałą ręką i przyjrzała się końcówce. Była na tyle ostra, by móc posłużyć jako szydło. Musiałaby palcami przepchnąć nitkę przez tkaninę, a potem złapać z drugiej strony i pociągnąć, a to będzie parzyło, aż w końcu jej dłonie odmówią posłuszeństwa i, Mateczko od Wilgowronów, dopomóż, może będzie musiała to potem robić zębami.

*A co, myślałaś sobie, że niewykonalne zadania tak łatwo wykonać?*

Spojrzała na smętną, niekształtną stertkę przędzy, potem na miękkie, śliskie sowie sukno, popłakała jeszcze trochę, a potem zabrała się do pracy.

\* \* \*

– Na boże jaja! – rzekła pożegnucha tydzień później na widok kościanego psa. – Udało ci się. – Nie wydawała się zachwycona tym faktem. Zresztą, nie wydawała się również zadowolona, ujrawszy płaszcz z pokrzyw, który Marra rzuciła jej do stóp po tym, jak z poranionymi rękami i spuchniętymi wargami zeszła w końcu z dachu.

– Udało mi się – potwierdziła Marra. – Jakie jest następne zadanie? Zamknięcie w glinianym słoju poświaty księżycowej?

Pożegnucha stęknęła i nie odpowiadając, poszła do spiżarni. Wygrzebała stamtąd kości kurczaków, a potem rzuciła je kościanemu psu.

Marze kołatało się mgliście, że nie powinno się dawać psom kości z kurczaka, ale w zasadzie nie była pewna, czy kościanemu psu coś w ogóle może zaszkodzić. Zadowolony, rozłożył się na ziemi i zaczął gryźć gnaty. Gdy połykał, z jego szyi sypał się deszcz białych kawałeczków.

Pożegnucha odsunęła krzesło od stołu i opadła na nie. W przeciwieństwie do niskiej, dość pulchnej Marry, była wysoka, chuda i przygarbiona.

– Wiesz, po co wyznacza się komuś niewykonalne zadania? – zapytała.

Marra skrzywiła się. Nie znosiła tego rodzaju pytań, ponieważ budziły w niej podejrzenie, że zadający chce jej kosztem udowodnić swój spryt. Ale ponieważ pożegnucha obeszła się z nią uczciwie, zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Żeby sprawdzić, czy ten ktoś zdoła je wykonać? – Gorączkowo przeszukiwała pamięć, sięgając do znanych sobie legend: Mordecai i robal, biała łania, która kochała człowieka i podjęła się straszliwej misji uratowania ukochanego, Mała Mysz, która zabiła smoka w dniu swego ślubu. – Żeby sprawdzić, czy są bohaterami?

– Bohaterami! – prychnęła gromko pożegnucha. – Niech bogowie chronią nas przed bohaterami. – Popatrzyła na Marzę, a na jej zwykle pozbawionym wyrazu obliczu zagościł smutek. – Ale może właśnie taki los cię czeka. Nie, dziecko, dajesz komuś zadanie niemożliwe do wykonania po to, żeby nie mógł go wykonać.

Marra dokładnie przeanalizowała tę odpowiedź.

– Ale mnie się udało – powiedziała. – Dwa razy.

– Zauważyłam – mruknęła pożegnucha ponuro. – I całkiem prawdopodobne, że wykonasz również trzecie, a wtedy będę zobowiązana pomóc ci zabić twojego księcia.

– To nie mój książę – zaprotestowała Marra ostro.

– Twój, skoro planujesz go zabić. Jest twoją przyszłą ofiarą. Twoim księciem. To to samo. Jeśli zatapiasz ostrze w czyichś bebechach, więziesz się z nim. Spójrz na wędrującego przez świat mordercę, a ujrzysz wszystkie jego ofiary idące za nim na czarnych postronkach, jako duchy wyczekujące swej okazji. – Zabębniła paznokciami o blat stołu. – Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Zamordował Damię – odpowiedziała Marra. – Znęca się nad Kanią. Zasługuje na śmierć.

Pożegnucha nic nie rzekła. Przez chwilę w chacie rozległ się tylko chrzęst gryzionych kości i stukot spadających na podłogę odłamków.

– Wielu ludzi zasługuje na śmierć – odezwała się wreszcie. – Nie każdy zasługuje na to, by być mordercą. – Westchnęła ciężko. – Nie namówię cię do zmiany zdania, prawda?

– Nie namówisz.

– No dobrze. – Pożegnucha przesunęła się z krzesłem, sięgnęła długim ramieniem do góry i zdjęła z półki słoik. – Masz – podała go Marze. – Otwórz.

Słoik był ciężki, gliniany, pękaty i zupełnie przeciętny. Marra ostrożnie uniosła pokrywę. Poświata księżycy oblała jej twarz błękitno-białym blaskiem.

– Zamknij – poleciała pożegnucha. – No widzisz. Poświata księżycy w glinianym słoju. Oddaj mi go, proszę.

Oszołomiona Marra zamknęła słoik i zwróciła go staruszce. Oczy ją piekły, oślepione księżycowym blaskiem, który olśnił chatę w samym środku dnia.

– No i proszę. Właśnie wręczyłaś mi gliniany słoik z poświatą księżycy – stwierdziła pożegnucha. – Dobra robota. Trzecie zadanie z głowy.

– Ale... – zająknęła się Marra, gapiąc się na niewielki słoik zawierający księżycowy blask. – Ale nie wykonałam tego zadania. Niczego nie zrobiłam.

– To było zadanie niewykonalne – przypomniała pożegnucha. – Podobnie jak dwa poprzednie, ale oto, proszę, siedzisz tutaj z kościanym psem i płaszczem uszytym z sowiego sukna i nici pokrzywowych. Jednak chwytanie blasku księżycy do słoika mogłoby cię złamać. To nie jest zadanie dla śmiertelników, którzy pragną zachować serce.

– Ale...

– Nie chciałam tego robić – przerwała jej pożegnucha. – Właśnie dlatego dałam ci do wykonania niewykonalne zadanie. Gdybyś ich nie wypełniła, musiałabyś odejść z niczym. Nie lubię podróży, nie lubię innych miejsc i będę musiała znaleźć kogoś, kto zaopiekuje się kurczakami. Poza tym to daremna misja i prawdopodobnie wszyscy podczas niej zginiemy.

– Ale...? – W sercu Marry zakwitła nadzieja. Zdławiła ją jednak, wmawiając sobie, że pewnie się myli.

Pożegnucha potrząsnęła głową.

– Pragniesz broni, którą pokonasz księcia. Cóż, nie mam magicznego miecza, zaklętej strzały ani nic podobnie poręcznego. – Staruszka odchyliła się na krześle. – A więc. Twoja broń przeciwko księciu to ja.

\* \* \*

Przygotowania do podróży pożegnuchy trwały dłużej, niż Marra by chciała.

– Trzy dni – rzekła staruszka stanowczo. – Muszę się spakować i wszystko tutaj zorganizować na czas mojej nieobecności.

Na podwórku brązowa kura wyzywająco wpatrywała się w ślepią kościanego psa, nie przejmując się, że pies ich nie ma.

– Za trzy dni Kania może już nie żyć – denerwowała się Marra.

– No to będzie nieżywa – odparła pożegnucha niewzruszona. – Zwłaszcza że dotarcie do stolicy Królestwa Północnego potrwa kilka tygodni, szczególnie biorąc pod uwagę przystanki, jakie musimy robić po drodze.

Marra odetchnęła głęboko, napominając się, że musi być cierpliwa. Nawet księżniczki uczyły się w klasztorze cierpliwości – czego nie nauczyły jej zakonnice, wyćwiczyła sama podczas haftowania i tkania. Pośpiech skutkował gubieniem wątków i poskręcanyimi skarpetami. Nie mogły narażać życia Kanii z powodu zbytniego pośpiechu.

*Poza tym, pomyślała ponuro, i tak zwlekałaś już tyle lat. Gdybyś zauważyła jej siniaki pięć lat wcześniej albo dziesięć, już byłoby po wszystkim.* Kościany pies, zmęczony nękaniami przez kurę, rozłożył się na boku na podwórku. Nie dało się stwierdzić, czy śpi, ale powolny ruch klatki piersiowej znamionował odprężenie.

– Jak się nazywa? – zapytała pożegnucha.

– Kto? – Zdziwiona Marra zamrugła powiekami.

– Pies, dziecko! Ludzkie psy mają imiona. W ten sposób odróżnia się je od wilków.

– Umm... Um... Kościpies?

– Pytasz czy odpowiadasz?

– Nazywa się Kościpies – powtórzyła Marra pewniej. Na podwórku Kościpies przekręcił się na grzbiet i szorował kręgosłupem w pyle.

– Wyobraźnia nie jest twoją mocną stroną, co? – parsknęła pożegnucha, a kamienną powierzchnię jej twarzy przeciął uśmiech. – Och, to nie obelga, dziecko, nie rób takiej kwaśnej miny. Ta misja wymaga mocnego stąpania po ziemi, a nie bujania w obłokach.

Brązowa kura obeszcza dom, ujrzała Kościpsa i zaczęła maszerować w jego stronę niczym generał prowadzący armię do boju. Dziobnęła go w ogon i została nagrodzona widmowym piskiem. Zdziwiony Kościpies przetoczył się na łapy, a kura, gdacząc tryumfalnie, wzięła nogi za pas.

Pożegnucha wyjęła płaszcz pełen flaszeczek, kieszeni i pętelek, który przypominał ubieralną szafkę, i zarzuciła go sobie na ramiona. Marra zdziwiła się, że okrycie nie grzechotało, kiedy się poruszała. Potem staruszka zdjęła je i zaczęła napełniać kieszenie oraz butelki różnymi rzeczami ze słoików, przelewając płyny i chowając dziwne pakieciki. Marra obserwowała, jak wkłada piórka i mysie czaszeczki, i jakieś kłaczki, aż w końcu nie wytrzymała.

– Do czego nam się to przyda?

Piórka kolibra lśniły, gdy pożegnucha wsuwała do jednej z kieszonek ptasią skórę.

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Większość pewnie do niczego. Ale skoro zgodziłam się pomóc, zrobię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy. – Zwilżyła

palce śliną i umieściła trzy małe, czarne koraliki w woskowanej kopercie, a potem przerwała pakowanie. – Pokaż ręce.

– Hm?

– Dłonie. Widzę, że je oszczędzasz.

Marra wyciągnęła przed siebie ręce. Stawy były sztywne, a w miejscach, gdzie pokłuła się drutem, nasiliły się zaczerwienie i opuchlizna.

– Na wszystkie diabły i świętości – westchnęła Pożegnucha. – Otwarte rany w poranionej krainie. Nie ruszaj się. – Zdjęła z półki słoik.

– To poważny stan? – zapytała Marra.

– Pewnie umarłabyś w ciągu jakiegoś tygodnia. – Staruszka pochyliła się nad jej dłońmi. – Najpierw zaczniesz mieć ochotę na ludzkie mięso, co pewnie dla wszystkich brzmi ekscytująco. Och, nie rób takiej zgorzzonej miny. – Odkorkowała słoik. Wokół rozniosła się woń miodu, ale płyn, który pożegnucha nakładała na rany, był czerwony jak ogień.

– Co to?

– Rdzawy miód. Robią go żelazne pszczoły. – Pożegnucha wcierała płyn w knykcie, mamrocząc przy tym słowa, których Marra nie rozróżniała. W końcu staruszka usiadła. – No, to powinno pomóc. Ale daj mi znać, gdybyś nabrała chętki na ugryzienie kogoś.

– Wielu jest takich, których chętnie bym pogryzła na kawałki – oznajmiła Marra nieco sucho.

– Ha, jasne – prychnęła pożegnucha. – Wobec tego daj mi znać, jeśli potem naszłaby cię ochota przeżuć te kawałki.

Marra splotła dłonie i rozprostowała palce. Wydawało się, że stawy odzyskują elastyczność. Zastanawiała się, czy słowa wypowiedane przez pożegnuchę były jakimś zaklęciem, czy może to działanie samego miodu. Siedząc w kąciku i rozmyślając nad tym, zapadła w drzemkę, uśpiona odgłosami krzątającej się staruszki i pobrzękiwaniem słoików, gdy gospodyni pakowała strzępy magii w fałdy swego płaszcza.

\* \* \*

Brązowa kura jechała na lasce pożegnuchy, na specjalnej poprzeczce z kości. Ciało ptaka poruszało się w rytm ruchów kostura, ale głowa pozostawała w miejscu na ten szczególny, charakterystyczny dla kur sposób.

Marra z początku nie mogła wyjść ze zdumienia, a potem uznała, że to zabawne.

– Bierzesz ze sobą kure?

– Jest w niej demon – wyjaśniła pożegnucha. – Nieładnie byłoby zostawiać ją na głowie sąsiadom.

Kura podróżowała na grzędzie do przedpołudnia, kiedy to przeciągała się, po czym po wyciągniętym ramieniu pożegnuchy przenosiła się do plecaka, który w tym celu miał otwartą klapę. Ptak siedział tam jakiś kwadrans, a następnie, po jednym pełnym zadowolenia gdaknięciu, pokonywał z powrotem drogę po ramieniu pożegnuchy i sadowił się na kosturze. Staruszka zatrzymywała się, wyjmowała z plecaka jedno duże, brązowe jajo i przekładała je do kieszeni. Nazajutrz rano gotowała je, przekrawała je na połówki i jedną wręczała Marze.

Pół jajka nie stanowiło bardzo sutego śniadania, ale było lepsze niż jego brak. Czasami Kościps upolował królika, którego potem piekł na postoju, a czasem jakiś rolnik sprzedawał im kilka jajek czy bochenek chleba, ale pożegnucha musiała iść do zagrody sama, bo kościany pies budziłby zainteresowanie i skłaniał do zadawania pytań.

Również z powodu psa nie mogły podróżować powozami ani nawet prosić wieśniaków o podwiezienie wozami. Nie mogły też nocować w stodołach, gdzie byłoby im cieplej. Kościpsa nijak nie dało się ukryć. Wlekły się więc do Królestwa Północnego noga za nogą.

– To bez sensu – oznajmiła pożegnucha trzeciego czy czwartego dnia podróży. – Twoja siostra umrze ze starości, zanim dotrzemy do stolicy, a ja będę tak połamana od sypiania na ziemi, że zdołam przekląć co najwyżej kolana twojego księcia.

– To co robimy? – zapytała Marra. Założyły Kościpsu obrozę, choć była to bardziej pętla ze sznurka wokół kręgów szyjnych. Księżniczka złapała ją opiekuńczym gestem. Nie mogłaby go zostawić. Powołała go do życia i czuła się zobowiązana wobec kościanej istoty nawet bardziej, niż ludzie czuli się zobowiązani wobec swoich żywych psów, które darzyły ich miłością.

*Ale Kani przecież też nie mogą zawieźć.*

– Nie popadaj od razu w takie przygnębienie – powiedziała staruszka na widok jej miny. – Jest pełnia i targ goblinów nadal działa.

– Hm?

– Targ goblinów – powtórzyła pożegnucha. – Na bogów Ziemi! Czego was tam uczą w tym zakonie?

– Na pewno niczego o goblinach. Ale mogę opowiedzieć ci wiele o tkaniu bandaży, suszeniu ziół i świętach pomniejszych świętych.

– Cóż – skwitowała pożegnucha tonem kogoś, kto chce oddać sprawiedliwość. – To w sumie nie tak całkiem nieprzydatne. A dzisiaj którego świętego jest święto?

Marra musiała przystanąć, żeby przypomnieć sobie datę.

– Świętej Ebbe – odrzekła. – Patronki łowczych dzików.

– Hmm. Cóż, dziki są sprytne, groźne i trudno je zabić, podobnie jak twojego księcia, choć uważam, że dziki zasługują na większy szacunek niż on. Mogło trafić na gorszego świętego. Możemy się do niej pomodlić.

Marra sumiennie pochyliła głowę i zaczęła wznosić modły. Tak mało wiedziano o świętej Ebbe, że nie było dla niej specjalnych formuł, Marra wykorzystwała więc ogólną modlitwę, którą można było skierować do każdego świętego.

– Święta Ebbe, czuwaj nad nami. Święta Ebbe, chroń nas od krzywdy. Święta Ebbe, wstawiaj się za nami.

Zaskoczyło ją, kiedy pożegnucha przyłączyła się do ostatniego „Niech tak się stanie”. Staruszka nie sprawiała wrażenia szczególnie religijnej. *Za to mogę sobie wyobrazić, że za sto lat ktoś ogłosi ją świętą. Może niektóre święte były za życia właśnie takie – zręczliwe staruszki o dziwnych umiejętnościach.* Przypomniała sobie widzianą kiedyś ikonę przedstawiającą świętą Ebbę – siwą staruszkę trzymającą stopę na pysku dzika. I święta, i dzik się uśmiechali. Kiedyś myślała, że może artysta był niezbyt utalentowany. *Ale gdybym chciała namalować pożegnuchę jako świętą, miałyby ze sobą kurę, a ta kura się uśmiecha, jestem tego prawie pewna.* Zdała sobie sprawę, że odpłynęła myślami.

– Co to ten targ goblinów?

– Dokładnie to, co sugeruje nazwa. Targowisko, na którym gobliny, magiczne istoty i ludzie, którym się uda na nie wkręcić albo tam zawędrować, sprzedają i kupują klątwy i czary. I oczywiście zwyczajne rzeczy też.

– Magiczne istoty? – Marra oblizwała wargi. – To niebezpieczne?

– Jak najbardziej. Ale dla głupiego wszędzie jest niebezpiecznie. Goblini targ rządzi się swoimi zasadami i jeśli się ich trzymasz, to miejsce nie jest groźniejsze od innych. – Pożegnucha zawiesiła na chwilę głos. – No, w każdym razie o ile księżyc nie jest w nowiu. W bezksiężycowe noce zasady zmieniają się zupełnie, czasem nawet z minuty na minutę. Przy pełni i w kwadrach są łagodniejsze. Pójdziemy tam dzisiaj.

– A gdzie to jest?

– To nieważne. – Kąciki ust pożegnuchy uniosły się lekko. – Łatwiej będzie, jeśli uda się nam znaleźć strugę. Jeśli nie, przejdziemy przez ogień.

Marze musiało to wystarczyć, ponieważ więcej informacji nie otrzymała. Dorzuciła targ goblinów do spraw, o które musi się martwić, i poczuła palący niepokój w okolicach serca. Ostatecznie dotarcie tam okazało się przerażające, ale nie trudne. Kilka mil dalej pomiędzy kamieniami wiła się płytka struga. Szły z jej nurtem w zapadającym zmierzchu, aż dotarły do kamienistego brodu. Szare otoczaki połyskiwały czernią tam, gdzie omywała je woda.



– Hm – mruknęła poźegnucha z roztargnieniem. – Hmmm... – Wyciągnęła rękę i zatrzymała Marrę. – Tak. Jedno jest tutaj. Zazwyczaj znajduje się przy brodzie.

Kościany pies usiadł znudzony i zaczął wylizywać sobie dolne części ciała. Choć nie miał ani ciała, ani języka i nie przynosiło to żadnego efektu, wydawało się, że sprawia mu to przyjemność.

Poźegnucha czubkiem kostura narysowała linię na kamykach. Zaspana kura zagdakała poirytowana.

– Nie rozmawiaj z nimi – powiedziała staruszka.

– Z kim? – zapytała Marra, a poźegnucha przyzywała umarłych.

## ROZDZIAŁ 8



Pierwszą oznaką było to, że zamilkły świerszcze. Gdzieś w oddali terkotał ptak, a gdy świerszcze ucichły, jego „trup, trup, trup” zabrzmiało głośniej. Syk i nurt rzeczutki zdawały się zwalniać, a potem z bardzo daleka Marzę dobiegło chlupotanie, jakby coś się ku nim zbliżało.

– Coś nadchodzi – powiedziała, a Kościpies zadrgał czujnie.

– Ciii – syknęła pożegnucha. - Topielcy są podstępni.

Marra ugryzła się w język, ale pożegnusze odpowiedziało coś innego, bulgotliwy dźwięk, ni to śmiech, ni to szloch.

Pod prąd sunął jakiś kształt. Księżyc wisiał na tyle wysoko, że olśniewał to coś chłodnym blaskiem. W pierwszej chwili Marra myślała, że to bobry, wydry albo inne pływające zwierzęta, ale żadna wydra nie mogła być tak wielka i mieć takiego pyska.

W górę strumienia, szybko, niczym pstrąg, płynął trup. Kiedy wstał, z jego ust i pustych oczodołów wylewała się woda. Puchlina rozsadzała mu ubrania, a blada, spęczniała skóra wybrzuszała się pomiędzy pasmami wodorostów.

*Nie wymiotuję, zarzekła się w duchu Marra. Nie wymiotuję. Nie ma przecież krwi. Przecież nie jest tak źle, jak gdy rolnik złamał nogę i kość przebiła mu skórę. Nie jest.* Nie zarejestrowała, co powiedziała pożegnucha, jedynie dość mgliście zdawała sobie sprawę, że kobieta w ogóle coś mówi. Martwy chłopak odpowiedział gulgotliwie, jakby druty przebijały jego topielczą krtań, i Marra przestała się przejmować wymiotami, a zaczęła martwić ewentualnym omdleniem.

– Dobrze – mówiła pożegnucha. – W którą stronę?

Młody topielec uniósł rękę. Jego rozdęte palce złączyły się w białą rękawicę. Wskazał nią w górę strugi i zbulgotał coś.

– Czy pragniesz zakończenia? – zapytała staruszka szorstko, jakby targowała się z rolnikiem o bochen chleba. I znów odpowiedział jej gulgot.

Twarcz chłopca zwróciła się w stronę Marry, która wiedziała, że powinna współczuć topielcowi, a nie czuć grozę, ale w sposobie, w jaki się poruszył, było coś dziwnego i obscenicznego, jak gdyby wiedział, że Marra się boi, i cieszył się z tego. Opuchniętą ręką uczynił gest przywołania i zaśmiał się gulgotliwie, kiedy Marra gwałtownie się cofnęła.

– Dość tego – skarciła go pożegnucha. – Ona nie jest do utopienia.

Znów śmiech. Chłopak postąpił krok do przodu, a woda spiętrzyła się wokół jego stopy, jakby stąpał po piasku. Potem zrobił kolejny krok.

Brązowa kura wydała z siebie niski, złowrogi dźwięk. Chłopak zatrzymał się i podniósł wzrok na ptaka. Przez chwilę wpatrywał się w niego bezokimi oczodołami, a potem spuścił głowę.

– Głos kury, serce demona – rzekła pożegnucha. – Nie prowokuj mnie, chłopcze.

Topielec odgulgotał jej burkliwie, ale się wycofał.

Staruszka wyciągnęła coś z kieszeni, Marra nie potrafiła w tych ciemnościach rozpoznać kształtu, a pożegnucha rzuciła przedmiot chłopcu, który chwycił go w rozdęte palce.

– Wobec tego odejdz – odprawiła go pożegnucha, podkreślając słowa gestem. – Wracaj do wody i żebyś mi nie wciągał pod wodę żadnych wędrowców, którzy nie złamią przymierza.

Młody topielec przygarbił się i odwrócił. Księżyc osrebrał postać idącą w dół strumienia, z każdym krokiem zagłębiającą się w wodę. W końcu chłopak zanurkował jak wydra i zniknął.

– Faj – skwitowała pożegnucha. – Ci, którzy giną pod wodą, często ulegają wypaczeniu. Coś w wodzie sprawia, że mrocznieją. Zdecydowanie wolę szczątki z ziemi.

Marra, z zakrytymi dłońmi ustami, tak długo skupiała się na oddechach, aż żołądek przestał się jej przewracać.

– Dlaczego przyzwałaś coś takiego? – zapytała wreszcie. *Z jakim potworem przyszło mi wędrować? Jaką grozę wyzwolę? To nie żadna zwyczajna staruszka z kurą...*

*Wiedziałaś od samego początku, odpowiedziała sobie sama. Wiedziałaś i właśnie dlatego się do niej zwróciłaś. Pragniesz zabić księcia. Przestań teraz zgrywać mimozę.*

– Potrzebowałam wskazówek. I udzielił mi ich, choć chciał sobie policzyć za nie znacznie więcej, niż gotowa byłam zapłacić.

– Wskazówek?

– Owszem. A teraz chodź za mną, zobaczymy, ile są warte.

Najwyraźniej warte były sporo, ponieważ dwadzieścia minut później dotarły do powykęcane drzewa zwieszające się nad brzegiem.

– Jest – ucieszyła się pożegnucha. Jeden z korzeni wystawał z ziemi, sięgając nad wodę. – Ziemia, drewno i woda. – Wyjęła z jednej z kieszeni sznurek z uwiązany na końcu kamieniem. Drugi koniec przyczepiła do korzenia i wrzuciła kamień do strumienia, tak że sznurek zanurzył się częściowo w wodzie. – Wstrzymaj oddech – poleciała Marze w ostatniej chwili, a potem schyliła się pod łukiem utworzonym przez brzeg, korzeń i sznurek. Rozchlapując wodę, dwoma krokami przeszła na drugą stronę. Wyglądała zupełnie tak samo, ale plusk jej stąpania zdawał się dobiegać do Marry z oddali.

Kościpies postawił w zamyśleniu łapę na korzeniu. Nic się nie wydarzyło, ale wydawał się usatysfakcjonowany. Marra doszła do wniosku, że nie musiał wstrzymywać oddechu, bo w jego przypadku nie mogło być mowy o żadnym oddychaniu. Sama nabrała powietrza do płuc i przeszła pod korzeniem.

Nie wydarzyło się nic konkretnego. Nie miała nawet tego wrażenia lepkości, co podczas opuszczania poranionej krainy. Jednak parę kroków dalej pyknęło jej w uszach, a kiedy obróciła głowę, wszystko zdawało się poruszać o ułamek sekundy wolniej, niż powinno, całkiem jakby jej wzrok potrzebował chwili, by nadążyć.

Wdrapała się na brzeg. Pożegnucha stała, niecierpliwie postukując kosturem. Brązowa kura zagderała.

– Czy kury w ogóle mogą wstrzymywać oddech? – zapytała Marra.

– Ta ma w sobie demona, nie musi. – Pożegnucha odwróciła się i zaczęła iść w stronę, z której przyszły.

*Zaraz, czyli to nie była przenośnia?*

– Znaczą: twoja kura ma w sobie demona, prawdziwego demona? Nie chodzi o to, że jest po prostu... niedobrą kurą?

Wypowiedziane, zabrzmiało to niewiarygodnie głupio, a mina pożegnuchy świadczyła o tym, że usłyszane nie brzmiało mądrzej.

– Czy ja w ciągu ostatniego tygodnia sprawiałam wrażenie, że sobie z czymkolwiek żartuję?

– Ale w jaki sposób demon dostał się do twojej kury?

– Tak jak zazwyczaj. Nie mogłam go wsadzić w koguta. W ten sposób tworzy się bazyliuszki.

Marra już miała zapytać, jak to się dzieje zazwyczaj, ale przystanęła ze zdumienia, ponieważ przed nimi ciągnęły się gigantyczne schody, których nie było wcześniej, gdy mijały to miejsce. Kamienne stopnie miały taką szerokość, że mogły się na nich minąć dwa konie. Z pewnością nie dało się ich przeoczyć.

Biegły prosto w głąb ziemi, całkowicie ignorując istnienie przepływającej obok rzeki, która powinna zmienić je w wodospad. Pożegnucha zaczęła schodzić w dół, nawet nie przystając i nie schylając głowy.

Na początku otoczył je mrok, ale niższe stopnie tonęły w zielonym blasku. Marra rozejrzała się wokół, szukając źródła światła, i zaraz tego pożałowała. W niszach, po obu stronach każdego stopnia, jaśniały robaczki świętojańskie wielkości kota.

– Dokąd prowadzą te schody? – wyszeptała, doganiając starszkę. Świetliki ignorowały je, ale poruszały niemrawo czułkami. – Kto je stworzył?

– Wiodą do targowiska goblinów – odpowiedziała pożegnucha. – Ale co do drugiego twojego pytania, to nie wiem. W zasadzie nie wiem nawet, czy zostały stworzone. Niektóre rzeczy pojawiają się, gdy ich zaistnienie staje się nieuniknione.

Marra wciąż analizowała to zdanie, gdy schody doprowadziły je na podest, a ona ujrzała rozciągające się w dole targowisko goblinów.

\* \* \*

Wyglądało jak targowisko, ale takie, jakiego Marra nigdy wcześniej nie widziała. Obok chat z gliny i namiocików stały tu wysadzone klejnotami pawilony i budowle przypominające odwrócone do góry dnem ptasie gniazda. W przejściach pomiędzy nimi kręcił się tłum, który nie przypominał ludzkiego. Tutaj wszyscy poruszali się jak tancerze, niektórzy z wdziękiem, inni ciężko, część w obrotach, a inna część w samotnych walcach. Marze przypominali bardziej dworaków w pałacu księcia niż mieszczan w dzień targowy.

Marra trochę się bała dworzan, ale tutejszych kupujących i sprzedających bała się jeszcze bardziej. Tamci, nawet dziwacznie ubrani, sztywni i grający w swe polityczne gierki, byli przynajmniej ludźmi, a część tych tutaj ludźmi zdecydowanie nie była.

*A oto ja, w towarzystwie szkieletowego psa oraz kobiety z kurą siedzącą na kosturze – co oni muszą myśleć o mnie?*

– Nie gap się – napomniała ją pożegnucha – ale nie odwracaj wzroku, jeśli ktoś spojrzy na ciebie. Nie okazuj słabości. Na nic się nie zgadzaj, nie przyjmuj niczego, dopóki nie poznasz ceny.

Z tymi słowy wkroczyła w tłum, a Marra podążyła za nią.

Z daleka większość osób wyglądała na ludzi, ale ujrzawszy ich z bliska, Marra zaczęła mieć wątpliwości. Niektórzy mieli ludzką sylwetkę, ale zieloną lub niebieską skórę. Wielu z czoł wyrastały rogi, krótkie i szpiczaste jak u antylop. Minęła je kobieta o rozłożystym porożu, które dla niejednego jelenia byłoby

powodem do dumy, a na każdym rozgałęzieniu wyrostków siedział czarny ptaszek ze srebrną obrózką na szyi.

Inni nawet kształtem nie przypominali ludzi. Obok, pochrzając, przeszły na tylnych nogach trzy odyńce w sztywnych, wykrochmalonych kołnierzykach. Sześć białych szczurów wielkich na metr niosło na ramionach lektykę. I któż wiedział, co kryło się pod tymi jasnymi warkoczami, które od stóp do głów spowijały leżącą w lektyce postać?

*Skąd brały się te wszystkie istoty? Z innych części świata czy stąd? Ale jak mogłyby być stąd?*

Oczywiście, słyszało się różne opowieści. O magicznych istotach żyjących poza światem. O starych bogach, którzy nie potrafili umrzeć. Jednak Marra nigdy nie wyobrażała sobie, że może ich być tak dużo i że mogą być tutaj, po drugiej stronie drzewnego korzenia, nieopodal podgórza.

Nawet podróż przez poranione ziemie nie przygotowała jej na coś takiego.

– Hmmm – mruknęła pożegnucha. Zatrzymała się przy stole, na którym leżała niewielka drewniana taca podzielona na kwadratowe przegródki. W każdym zagłębieniu znajdowała się ćma, najwyraźniej martwa. – Hmmm. Ta. – Pożegnucha wskazała owada.

– Pokazuje, czego ci trzeba – rzekła kobieta zza stołu znudzonym głosem. Była stara i pomarszczona, a siwe włosy miała splecione w cienkie warkoczki i owinięte wokół głowy. – Na pewno nie chcesz tej, która wskaże ci najgłębsze pragnienia serca? Jest o wiele lepsza.

– I pewnie o wiele droższa.

Sprzedawczyni się uśmiechnęła. Nie miała zębów. Ale za to jej język był w czarno-czerwone pasy i miał złote węzowe ślepie.

– Pięć lat życia. Ale to, co ci zostanie, będziesz mogła spędzić zgodnie z pragnieniami serca, więc warto.

– Zostanę przy potrzebach, dziękuję. – Pożegnucha dotknęła ćmy, która, co zaskoczyło Marrę, zatrzepotała skrzydełkami. Była biała, ale jej ciało pokrywały czarne przerywane linie, jak pismo.

– No dobrze. Sześć tygodni życia.

– Sześć dni.

– Miesiąc.

– Tydzień.

– Dwa. To moje ostatnie słowo. I nie miej do mnie pretensji, że usiądzie na wiadrze, bo potrzebujesz się nawodnić.

– Dwa tygodnie, zgoda. – Pożegnucha przywołała Marrę. – Dwa tygodnie twojego życia, dziecko.

– Um... Co?

– To waluta w tym miejscu. Chyba że masz coś na wymianę.

– A co, jeśli umrę za tydzień?

– To tak nie działa. Czas jest odbierany z lat, których mogłabyś dożyć. Nawet jeśli jutro potrąci cię wóz z piwem, zapłata i tak zostanie odebrana.

Marra poczuła pełzający po krzyżu dreszcz. Stłumiła niepokój. *Nie oddasz dwóch tygodni życia, żeby uratować siostrę? Ocalić ją przed utratą jej wszystkich tygodni życia?*

– Dobrze.

– Pół chwileczki – rzekła kobieta. Wyjęła srebrne liczydło i przesunęła w tę i we w tę kilka koralików.

– Już. Dwa tygodnie.

Pożegnucha sprawdziła i skinęła głową na potwierdzenie.

Licydło miało na dole małe naczynie wypełnione czymś, co przypominało łożyki. Sprzedawczyni wzięła jedną, a wtedy Marra zobaczyła, że to gąsienica.

– Wyciągnij rękę.

Marra posłuchała, choć z obawą. *Będzie bolało? Jak odczuwa się utratę dwóch tygodni życia?*

Językowęża kobieta upuściła gąsienicę na jej dłoń. Larwa się rozwinęła i przepełzła na brzeg dłoni. Marra bez zdziwienia zauważyła, że ręka jej drży.

Gąsienica przyczepiła do paznokcia kciuka jedwabną nitkę i opuściła się w dół, a potem zwinęła się w kłębek i zaczęła się szybko poruszać i kręcić, owijając jedwab wokół ciała. Marra patrzyła jak urzeczona na larwę, która budowała kokon o wiele szybciej niż normalna gąsienica.

W niecałą minutę owinęła się całkiem, po czym zmieniła kolor na jasnozielony.

– Ooo... I co teraz? – wyszeptała Marra do towarzyszki.

– Zaraz skończy – uspokoiła ją pożegnucha, obserwując gąsienicę. Kościpies, zauważywszy, że Marra przestała się ruszać, usiadł jej na stopie, wbijając krawędź miednicy w jej kostkę.

W końcu kokon pękł, a z wnętrza wyłoniła się ćma z pomiętymi, brązowo-aksamitnymi skrzydełkami, które zaraz rozpostarła.

– No i po wszystkim. – Językowęża kobieta przytrzymała rękę Marry, pociągnęła ją ku sobie i zdjęła zarówno ćmę, jak i kokon. Ćma została umieszczona w jednym z małych drewnianych pudełeczek, a pusty kokon sprzedawczyni wrzuciła sobie do ust. Marra dostrzegła, jak węzowy język otwiera paszczę i, ponieważ nieco ją zemdliło, odwróciła wzrok.

– Weź swoją ćmę. – Pożegnucha wskazała owada na tacce, a kiedy Marra go podniosła, dodała: – A teraz dmuchnij na nią i powiedz, żeby znalazła to, czego potrzebujesz.

Marra odnosiła narastające wrażenie, że znalazła się w jakimś dziwnym śnie, nawet silniejsze, niż to podczas pobytu w poranionej krainie. Jedyne kanciasty, niewygodny ciężar Kościpsa upewniał ją, że to wszystko dzieje się naprawdę. Uniosła dłoń z ćmą na wysokość twarzy. Owad był puchaty i miał wielkie, czarne oczy. *Nie myśl o niej jak o insekcie. Udawaj, że to mysz. Mysz z pierzastymi uszami.* Dmuchnęła na grzbiet ćmy.

– Proszę – szepnęła – znajdź to, czego potrzebuję, by pomóc siostrze.

Skrzydełka ćmy zadrzały. Linie przez chwilę zmieniały kształt, formując litery, słowa, zdania. A potem owad rozpostarł skrzydełka i odleciał.

Brązowa kura kłapnęła dziobem, usiłując złapać przelatującą ćmę, ale chybiła, bo pożegnucha szarpnęła kosturem.

– Wstydzilibyś się! – Staruszka ofuknęła kurę, która nie wykazała skruchy.

– Co teraz? – zapytała Marra.

– Teraz biegniemy za ćmą!

\* \* \*

Przedzierały się przez targowisko goblinów, przez dziwne morze istot. Ćma leciała nad głową Marry, nurkując i klucząc na boki, żeby uniknąć poroży, chorągiewek czy skrzydeł.

Pokonały w ten sposób dwie alejki, a kiedy skrzyły w trzecią, przed nimi zaczęło się poruszenie. Kupcy i kupujący rozsuwali się na boki, pozostawiając przejście środkiem. Rozmowy cichły, ale nie z szacunku, tylko z irytacji. Marze przypominało to sposób, w jaki ludzie cofali się na dźwięk dzwonka przed trędowatym.

Kobieta, która kroczyła środkiem, poruszała się dostojnie, niczym królowa. Marze w pierwszej chwili wydawało się, że nieznajoma jest bardzo wysoka, ale kiedy się zrównały, miała jej oczy na poziomie swoich. Może to wrażenie wysokiego wzrostu wywołało światło?

Bo choć kobieta nie emanowała blaskiem – nie do końca – szła w obłoku światła jak w kłębie pyłu. Wzbijała stopami migotliwe drobinki. Lśnienie burzyło się wokół jej stóp i ciągnęło za nią, nie opadając. W prawej ręce kobieta niosła odciętą dłoń. Lewe ramię kończyło się w nadgarstku niekrwawiącym kikutem. Drobinki światła zdawały się gromadzić wokół niego, formując przelotnie palce, a potem opadając na ziemię.

– Święta – wymamrotał ktoś za plecami Marry z niesmakiem.

Możliwe, że to przez to, że Marra i pożegnucha nie cofnęły się wystarczająco. Możliwe, że przez brązową kurę, która nikogo się nie bała i gdaknęła zrzędlawie „kuooo”, strosząc piórka na szyi. Święta zwróciła ku nim twarz.



Jej oblicze było pogodne jak na figurach w klasztorze. Nie była Mateczką od Wilgowronów – tego Marra była prawie pewna – ale możliwe, że te dwie się znały. Czy święci kontaktują się ze sobą? Czy istnieje miejsce, gdzie się spotykają, leżą brzuchami do góry i kręcą głowami nad słabościami śmiertelników?

Ich spojrzenia na moment się skrzyżowały. Oczy świętej były głębokie i mądre jak oczy dobrego psa.

Siostry w zakonie nie przygotowały Marry na spotkanie ze świętym. Nie zakładały, że może do tego dojść. Marra, gdy tak patrzyła w oczy świętej, zgięła kolano, prawie przyklękając.

Czy te pogodne usta lekko się uniosły? Marra nie była pewna. Z trudem oderwała wzrok od świętej. Na krawędziach pola widzenia świat zdawał się mroczny, a obraz pulsował, jakby wpatrywała się w ogień. Zamrugła, by odpędzić łzy.

Pożegnucha powiedziała coś, czego Marra nie zrozumiała, a potem pociągnęła ją do góry. Tłum zaczął się zamykać za przechodzącą. Brązowa kura znów zagdakała.

– Gdzie ćma? – wystraszyła się Marra, trąc oczy, żeby pozbyć się spod powiek olśnienia.

– Nie jestem pewna... Tam! Na końcu alejki! – Pożegnucha ruszyła w tę stronę, a Marra pobiegła za nią. Po przejściu świętej targowisko straciło uprzednią dziwność, być może przyćmiła ją świętość.

Ćma krążyła nad ich głowami. Marra wstrzymała dech, gdy podleciała za blisko światła, ale owad usiadł na stoisku. Marra podeszła bliżej i ujrzała dziesiątki drobnych białych przedmiotów leżących na aksamitnej tkaninie. Klejnoty? Kość słoniowa? Muszle?

Zęby.

*Jasne, że zęby, prychnął jej umysł, podczas gdy skóra czyniła wysiłki, by zleźć z niej i uciec z krzykiem. Przecież to nie mogło być nieprzerazające. Zęby. Oczywiście.*

Właściciel kramu miał jasnożółte oczy jak jaszczurka. Opierał się o słupek podtrzymujący daszek i obserwował tłum. Na jego piersi cichutko poszczękiwał naszyjnik wykonany z zębów.

*Chyba nie potrzebuję zębów? Gdzie ta ćma?*

Biała ćma wylądowała na ramieniu barczystego mężczyzny odzianego w strzępy płaszcz i tabardu. Na jego szyi lśniła delikatna srebrna obróżka, przypominająca bardziej koronkę niż metal. Mężczyzna z obojętną miną układał paczki na tyłach stoiska.

Marra nie bardzo wiedziała, co robić. Miałyby podejść do mężczyzny i powiedzieć: „Przepraszam, potrzebuję pana”? Mogłoby to zostać błędnie zinterpretowane, i to na wiele sposobów. Popróbowwała podchwycić jego spojrzenie, ale nie patrzył na nią ani na nic poza paczkami, którymi się zajmował.

Pożegnucha pochyliła się nad zębami i co jakiś czas wydawała pełne zachwyty pomruki.

– Chcesz coś kupić, pani?

– Może. Nie bardzo widzę to, czego potrzebuję.

– A czego potrzebujesz?

– Jeszcze nie wiem, ale będę wiedziała, gdy to zobaczę. – Trąciła szczególnie imponujący trzonowiec, wielkości buta. – Hmm. Może... Może...

– Cyklopowy. Drugiego takiego nie znajdziesz, pani.

– Znajdę, jak zajrzę w paszczę słonia. – Łypnęła na sprzedawcę spod oka. – Nie urodziłam się wczoraj, chłopcze.

Żółtooki sprzedawca wyszczerzył się w uśmiechu.

– Ach, trudno żywić pretensje do kupca, który zachwala swój towar.

Mina pożegnuchy świadczyła, że owszem, żywi pretensje.

Odchyliła się i omiotła spojrzeniem wystawę.

– Ten duży, z tyłu – powiedziała znudzonym tonem. – Silny jest?

– Wystarczająco. I wystarczająco głupi, by zasnąć w grodzisku elfów. Wydostałem go stamtąd, zanim dopadło go coś gorszego.

– Jest dostępny?

– Może być. Ale nie wiem, czy go zechcecie. – Sprzedawca znów oparł się o słupek. – To morderca. Gdy go znalazłem, miał krew na rękach.

Mężczyzna przestał przekładać skrzynki i patrzył teraz w ich stronę. Jego oczy przesłaniał cień, uniemożliwiający rozróżnienie koloru.

– Po co on wam?

*Czy oni rozmawiają o kupieniu tego mężczyzny? Nie, to niemożliwe.* Nawet na targowisku goblinów, z tymi jego dziwnymi zasadami, nie powinno się sprzedawać ludzi. Nawet w tym okropnym Królestwie Północnym rządzone przez tego okropnego nowego króla nie handlowało się ludźmi. To barbarzyństwo.

– Dziesięć lat – rzucił żółtooki kupiec.

– Nie ma mowy. Nie wytrzyma dziesięciu lat.

– To najemnik? – odezwała się Marra.

Sprzedawca wywrócił żółtymi oczyma.

– Każdy, kto zasypia w grodzisku elfów, należy do tego, kto go stamtąd wyciągnie. Nikogo nie obchodzi, co się z nim stanie. Znalazca może go sobie zjeść, poślubić, uwolnić, co tam chce. U mnie przekłada skrzynki.

Mężczyzna, który zasnął w grodzisku elfów, dotknął srebrnej obroży, jakby chciał zdrapać strupek.

Pożegnucha przyjrzała się naszyjnikowi sprzedawcy.

– Zapomnij o latach – powiedziała. – Dam ci ząb zakonnicy.

Kramarz zmrużył oczy, a jego spojrzenie wyostrzyło się jak brzytwa.

– Ząb zakonnicy, powiadasz?

– Świeżo wyrwany, nie taki, który wypadł. Co ty na to?

– Ona? – sprzedawca łypnął podejrzliwie na Marzę, którą naszyły złe przecucia.

– Umm – chrząknęła.

– Powąchaj ją – zachęcała kramarza pożegnucha.

– Ale... – próbowała protestować Marra.

– Cichaj, dziecko – uciszyła ją pożegnucha i znów zwróciła się do kupca: – No, dalej, powąchaj, jak pachnie klasztorem.

Sprzedawca zbliżył się do Marry i pociągnął nosem. Dziewczynę przebiegł dreszcz.

*Mój ząb? Co? Jak? Wyrwie mi go ze szczęki?*

– Tak... – westchnął sprzedawca, a jego nozdrza rozszerzyły się tak, że Marra zobaczyła różowość w środku, jak w muszelce. – Tak, tak! Czuję go. Wiara, słoma z nutą niesporów. Tak! Biorę. On za ząb.

– Zaraz, zaraz – wtrąciła się Marra, do której dotarło, że to dzieje się naprawdę i chcą jej zabrać prawdziwy ząb. – Zaraz. Nie możecie...

Kramarz odwrócił głowę i krzyknął:

– Ej! Zębipląs! Chodź no tu!

– Ćma uważa, że go potrzebujemy – rzekła pożegnucha. – A i tak przecież bolał cię ząb, prawda?

– No tak, ale...

– No właśnie. Widziałam, że się lekko krzywisz podczas żucia.

– Hej! Zębipląs! Rusz tu swój kuper!

– Ale chcecie mi wyrwać ząb? Tutaj? Teraz? Tylko dlatego, że jakiś robak przysiadł na tym osiłku? – Marra machnęła ręką w stronę mężczyzny, który niestrudzenie przestawiał skrzynki. Spojrzał na nią beznamiętnie. Marze przemknęło przez głowę, że może ten człowiek znajduje się pod wpływem jakiegoś zaklęcia albo może po prostu na wszystko zobojętniał. A potem ujrzała wyłaniającego się zza zasłony za stoiskiem Zębipląsa i natychmiast przestała się przejmować przestawiaczem skrzynek.

Zębipląs wyglądał jak bocian albo czapla, miał długi, mocny dziób i wygiętą, ruchliwą szyję. Nosił potarganą, czarną szatę, a przez dziury w tkaninie wystawały czarne pióra. I miał całkiem ludzkie ręce. Gdy odwrócił głowę, Marra

zobaczyła na wpeł ludzką twarz, przypominającą maskę. Ale oczy Zębipląs miał ptasie, koloru nowo wybitych monet, osadzone szeroko po obu stronach dziobu.

Marra przełknęła nerwowo ślinę.

– To ta tutaj. – Sprzedawca wskazał Marre, a pożegnucha ujęła ją pod łokieć.

– Będzie bolało? – wyszeptęła dziewczyna, która nagle poczuła się jak sześciolatka z bolącym mleczakiem.

– Nie – zaprzeczył Zębipląs łagodnie. Mówił jak przyjaciel, nie jak potwór noszący żywą maskę. – Znam się na swojej robocie. – Tępo zakończonym paluchem dotknął jej podbródka. – Otwieramy, szeroko.

Marra otworzyła usta i zamknęła oczy. Sytuacja była absurdalna, a ona nadal czuła się jak sześciolatka, która nie chce wrywania zęba, ale nie ma wyjścia, bo takie jest życie, gdy psuje się ząb. Trzeba otworzyć usta...

Poczuła coś twardego na wargach. Szybko otworzyła oczy i uświadomiwszy sobie, że Zębipląs wsadził jej dziób do ust, zacisnęła z powrotem powieki.

Stuk... stuk... stuk... Końcówka dziobu stukęła w jej zęby zaskakująco delikatnie, a jego czubek okazał się mniejszy niż wydawało się na pierwszy rzut oka. *O, bogowie. Och, Mateczko od Wilgowronów, spraw, żeby to był tylko sen!*

Stuk... Stuk...

Pożegnucha przytrzymała ją mocno za łokieć. Na szczęście nie kazała się Marze odprężyć, bo ta była tak daleka od stanu odprężenia, że miała ochotę wrzeszczeć.

Stuk, stuk, stuk, stuk. Zębipląs znalazł zepsuty ząb. Prawy dolny trzonowiec. Czasami ćmił, więc Marra starała się żuć drugą stroną, żeby oszczędzić sobie przeszywającego szczękę bólu.

Dziób wycofał się i Marra zatrzasnęła usta, oddychając ciężko przez nos. Nerwowo pomacała językiem zęby, ale okazało się, że ten problematyczny nadal tkwi w dziąśle.

*Może to ma być tak magicznie... Może zabiera tylko jakby duszę zęba... Może wszystko będzie dobrze...*

Zębipląs wyjął z kieszeni płaszczę fujarkę i zaczął grać, dmuchając w instrument ludzkimi ustami, które Marra zauważyła już wcześniej. Zastanawiała się, czy ten dziób w ogóle się otwiera, ale szybko przestała myśleć o czymkolwiek, ponieważ jej zęby zaczęły tańczyć.

Poruszały się w dziąsłach niczym żywe istoty. Marra krzyknęła, nie z bólu, ale ze strachu, bo usta miała nagle pełne płasających kości, zupełnie jak w tych koszmarach, kiedy wszystkie zęby wypadają naraz. Wrażenie było takie, jakby zęby jednocześnie żuły, chwierutały się i kręciły w rytm melodii fujarki.

Zawarła mocno szczęki, licząc, że powstrzyma szalony taniec, ale było jeszcze gorzej, dużo, dużo gorzej, bo zęby zaczęły szczękać o siebie, a czaszkę wypełnił

zgrzyt i grzechot. *O boże, o boże, nie, nie, nie, nie, NIE!*

Jeśli zaś większość jej zębów tańcowała, to ten zepsuty wywijał hołubce. Jakby szamotał się, tłukąc o sąsiednie zęby i jej policzek niczym ptak uderzający o szybę – łup! Łup! Łup!

Zębipląs nachylił się i zaczął wygrywać szybszą melodię. Marra chciała zaprotestować krzykiem, ale bała się, że gdy otworzy usta, wszystkie jej zęby z nich wypląsają. *Boże, to gorsze niż najgorsza rzecz na świecie, gorsze niż poraniona kraina, bo ona była na zewnątrz, a to działa się w środku niej, w jej ustach...*

Zepsuty trzonowiec z mlaśnięciem uwolnił się z dziąsła i spadł na język, a potem, podskakując jak robak, zaczął łomotać o wnętrze jej warg. Marra wydała zduszony pisk wywołany wrażeniem, że ma coś twardego i ruchliwego w ustach. Gwałtownie je otworzyła, żeby to wypluć.

Wtedy Zębipląs przestał grać, nachylił się ku niej i zgrabnie chwycił dziobem ząb wprost z jej języka. Potem odwrócił się i upuścił oślinioną zdobycz na dłoń jaszczurookiego kupca.

W końcu ukłonił się Marze uprzejmie, poklepał ją po ramieniu i odszedł.

Marra objęła się ramionami, nogi się pod nią ugięły i aż przyklęła. Rzeczywiście, nie bolało. Ale wolałyby pocierpieć, niż przeżyć to, co przeżyła. Pragnęłyby nie poznać tego okropnego wrażenia, że jej zęby miotają się i podskakują w dziąsłach. Niepewnie dotknęła językiem dziury po zębie i poczuła smak krwi.

– O boże – jęknęła chrypliwie.

Miała ochotę się rozpłakać, ale nie chciała okazywać słabości przy wszystkich obecnych na targowisku goblinów. Pewnie znajdowała się tu istota, która natychmiast zaczęłaby jej wyciągać łyzy z czaszki jak Zębipląs zęby, żeby je potem sprzedać. Zacisnęła powieki i skupiła się na wspomnianiu jamy z kośćmi, drutu w dłoniach, srebra nawijanego na srebro, na budowaniu Kościpsa, na odzyskiwaniu spokoju.

Poczuła, jak obejmuje ją czyjeś ramię, ciepłe i silne. Pożegnucha? Nie, na pewno nie. A więc czyje?

Przez głowę przemknęła jej szalona myśl, że to Zębipląs, który przecież przemawiał do niej tak łagodnie, i zdjeta przerażeniem, gwałtownie otworzyła oczy.

Na jego ramieniu siedziała biała ćma. Klęczał przy niej, obejmując ją drugim. Pod niebieskim cieniem zarostu rysowały się napięte mięśnie szczęki.

– Dość – rzucił w stronę sprzedawcy albo może pożegnuchy, albo obojga. – Przestańcie. Nie jestem tego wart.

– Już po wszystkim – stwierdził kramarz i oblizał ząb Marry. – Zwrotów nie uznaję.

Kościpies nagle zrozumiał, że dzieje się coś niedobrego, i zaczął się przeciskać do Marry. Mężczyzna kupiony za ząb zasłonił ją sobą przed psem. *Nie, nie, to nie tak, przecież on nie wie...* Musiał wziąć Kościpsa za jednego z wielu tutejszych potworów.

– W porządku – powiedziała w ramię mężczyzny. – To mój pies. Przyjaciel.

Nie była pewna, czy powiedziała wystarczająco głośno, ale musiał usłyszeć, bo odsunął się, nie puszczając jej, a Kościpies wepchnął się pomiędzy nich, żeby oblizać jej twarz nieistniejącym językiem. Odrutowane kości pazurów wpijały się jej w kolano. Marra odetchnęła głębiej.

– Wszystko w porządku, piesku. Nic mi nie jest.

– Masz. – Pożegnucha podała jej maleńki skrawek tkaniny. – To sfilcowana pajęczyna tytoniowa. Włóż to do dziury po zębie, zapobiegnie zakażeniu.

Marra umieściła tkaninę w dziąśle i podziękowała skinieniem głowy.

– Lepiej? – zapytał obejmujący ją siłacz. Mówił cicho, prawie szeptem. Może on również nauczył się nie okazywać słabości?

– Lepiej – potwierdziła.

Podniósł się i pomógł jej wstać. Muskularna, niewymuszona siła jego ramienia w innych okolicznościach obudziłaby w niej obawę, ale tu, na goblinim targowisku wywołała wdzięczność.

– Potrzebujecie obroży? – zapytał żółtooki kupiec.

– Zdejmij ją – prychnęła pożegnucha wyniośle.

– Jak sobie życzysz. – Sprzedawca wyciągnął rękę ku szyi siłacza, a Marra widziała, że mężczyzna się ani trochę nie cofa, i zastanawiała się, jak wiele musiało go to kosztować. Kramarz trzykrotnie drapnął obrożę paznokciem kciuka, a obręcz obróciła się w kurz i pajęczyny.

Siłacz gwałtownie wciągnął powietrze.

– Teraz to wasz problem – rzekł żółtooki sprzedawca, po czym odwrócił się z powrotem do swoich towarów, pieszcząc ząb Marry.

Pożegnucha ruszyła przed siebie i skręciła za róg. Mężczyzna puścił Marzę przodem, zanim sam zaczął iść. W zniekształcającym świetle targowiska jego oczy zdawały się brązowe, choć nadal zasnuwał je cień.

– No – odezwała się pożegnucha. – Porozmawiamy później, młodzieńcze. Trzymaj się blisko, za chwilę stąd wyjdziemy.

– Jesteście ludźmi? – zapytał, spoglądając to na Marzę, to na pożegnuchę.

Marra przytaknęła skinieniem głowy, a staruszka wzruszyła ramionami.

– Moi rodzice byli ludźmi, to pewne. Zdołasz opuścić to miejsce o własnych siłach?

Mężczyzna głośno przełknął ślinę.

– Tak.

– Potrzebujemy jeszcze jednego – zaznaczyła pożegnucha, poklepując Kościpsa po czaszce – a potem możemy stąd iść.

– Tylko żadnego wyrywania zębów – zastrzegła Marra, a pożegnucha znów wzruszyła ramionami i weszła w tłum, trzymając Kościpsa za obrozę. Marra już miała podążyć za nią, kiedy mężczyzna zapytał:

– Mogę ci służyć ramieniem?

Marra aż zamrugła, zbita z tropu. Oficjalność tego gestu zdawała się pochodzić z zupełnie innego świata, daleko stąd, świata, w którym była księżniczką, nie zakonnicą. Czy ten mężczyzna uważał, że ona potrzebuje jego wsparcia?

*Cóż, przed chwilą osunęłaś się na jego oczach na ziemię...*

Zaraz jednak pomyślała, że przecież on był tutaj więźniem, podczas gdy ona przyszła z własnej woli. Może chciał mieć pewność, że nikt nie spróbuje go znów uwięzić?

– Tak, oczywiście – zgodziła się i wsunęła mu rękę pod ramię, po czym pociągnęła go w kierunku oddalającej się pożegnuchy.

Staruszka przewędrowała z powrotem jedną z alejek, które pokonały, idąc za ćmą, i zatrzymała się przy stoisku, które było podzielone jakby na dwie części. Połowa stołu ugięła się pod ciężarem klejnotów i złota, piętrzących się w niedbałym stosie i spływających na jedwabny obrus. Nad kosztownościami czuwał ptak o ognistym upierzeniu, siedzący w klatce z prętów mieniących się księżycowym blaskiem. Drugą część ledwie się zauważało. Leżały na niej rzeczne kamienie i suche liście wystawione na starym jutowym worku na paszę. Tych towarów również pilnował ptaszek w klatce, mała, szara zięba. Zięba rozwarła dziobek i wyśpiewała dwa pojedyncze trele, a potem zaczęła dziobać ziarenka rozsypane na dnie klatki.

Marra popatrzyła na feniksa na stercie skarbów, potem znów na ziębę, jutę i kamienie, i zaczęła się domyślać, czym handlował właściciel tego kramu.

– Potrzebuję czaru ułudy – oznajmiła pożegnucha. Podniosła jeden z okrągłaków i położyła go na stercie klejnotów. Pojawiły się na nim fasetki i zalśnił ogniem rubinu. Kiedy po chwili wzięła monetę z wytłoczonym wizerunkiem jakiegoś pradawnego króla i przeniosła ją na podściółkę z worka, moneta stała się suchym liściem o kruszejących brzegach.

Kramarz skinął głową. Nieustannie zmieniał swą postać – przez parę sekund był stary, potem młody, wysoki, niski, był kobietą, mężczyzną, ani tym, ani tym, jednym i drugim.

– Co pragniesz przesłonić?

Pożegnucha przywołała klaskaniem Kościpsa i popchnęła go naprzód.

– Niezła robota – pochwaliła straganiarka, wychodząc zza stołu. W końcu jej forma nieco się ustaliła, zatrzymując na kształcie osoby rodzaju nijakiego o gigantycznych oślich uszach. – Twój?

– Mój – odezwała się Marra.

Osoba kupcząca ułudami zastrzygła w jej stronę uszyskami, po czym skinęła głową.

– Czego byś chciała?

– Widoku i odczucia – odparła pożegnucha. – Tak, by ludzie nie zauważali, że jej pies ma braki w ucieleśnieniu. Dźwięk pewnie wychodzi drogo? – dodała po namyśle.

– Dźwięk jest kosztowny – potwierdziła osoba sprzedająca ułudy. – Ludzie zazwyczaj zakładają, jak coś będzie wyglądało i jakie będzie w dotyku, więc połowę sprawy załatwia umysł. Dołącz dźwięk, a będziesz musiała przekonać również cały świat, bo inaczej echo nie wyjdzie dobrze. I nawet nie pytaj o coś, co oszuka też inne psy. Jestem dobra, ale nie aż tak.

– Wystarczy, żeby oszukało ludzi. Ile mnie to będzie kosztowało?

Długie szare uszy drgnęły.

– Twój demon jest na sprzedaż?

Wszyscy popatrzyli na brązową kure, która gdaknęła „kułooo” tonem, jakim siostra zielarka oznajmiała zgon podopiecznego.

– Nie, to moja najlepsza nioska. Ale mogę ci dać jajo demona.

– Niech będzie – zgodziła się osoba handlująca ułudami i pożegnucha wyłowila z kieszeni jajko. Tymczasem osoba sprzedająca wróciła za stół i zaczęła grzebać w koszu. Jego zawartość Marra oceniła jako zbiór różnych śmieci, ale w końcu tym samym wydawała się jej zawartość kieszeni jej towarzyszki. Pomacała językiem dziurę w dziąśle i odkryła, że krwawienie ustało, a skrawek tkaniny pasował w to miejsce jak ulał.

Mężczyzna u jej boku stał niczym gwardzista pałacowy. Ta sama wyprostowana postawa, ta sama czujność. Marra miała ochotę zapytać go, jak został więźniem na targowisku goblinów i co to jest grodzisko elfów, ale moment nie wydawał się odpowiedni, skoro otaczały ich istoty wypatrujące słabości innych... Znów wsunęła język w dziurę po zębie.

Osoba z kramem z ułudami wyjęła z kosza kłębek sznurka i garść ślimaczych muszli, i pomrukując pod nosem, zaczęła brać miarę z Kościpsa.

– Wszystko w porządku? – szepnęła Marra, kiedy nie mogła już dłużej tego znieść.

Mężczyzna na nią spojrzał.



– Nie wiem. A zamierzacie mnie zabić? – zapytał takim tonem, jakby rzucał uwagę o pogodzie.

– Nie! Potrzebuję twojej pomocy, ale nigdy bym nie... – Urwała, bo naraz przyszło jej do głowy, że zabicie księcia jest niezwykle niebezpiecznym przedsięwzięciem i może óma wylądowała na ramieniu tego człowieka, ponieważ ktoś będzie musiał przy tym zginąć i do wykonania zadania potrzeba poświęcić jego życie. *O bogowie! To chyba nie o to chodzi, prawda?* – Nie wiem, czy nie... nie będę... – Tylko na niego popatrzyła, bo zabrakło jej słów i bardzo chciała, żeby nie trzeba ich było szukać.

Kącik jego ust leciutko się uniósł. Marra obserwowała to zdziwiona, że można zachować poczucie humoru w takim strasznym miejscu.

– To nie czas ani miejsce – wyręczył ją. – Wszystko wyjaśni się później.

– Tak – wymamrotała Marra. – Właśnie. Tak.

– Sznurek i muszle, drut i kości – zaintonowała osoba sprzedająca ułudy, na wpół do siebie, strzygąc i kołyszając uszami. – Gotowe!

Sznurek skłębił się, splótł w sieć, a potem został zarzucony na Kościpsa, który zaczął podskakiwać radośnie, jakby dostał przysmak.

Zakłęcie ułudy dopasowało się do niego, zostawiając zapach palonego pyłu. Marra ujrzała zarys ciała, cień sierści, a potem Kościpsies otrząsnął się i nagle był już wielkim szarym psem o czaszce przypominającej taran i białej kryzie na piersi. Ogon nadal miał cienki jak kościany bicz, ale porośnięty sierścią. Patrząc na Marrę, zwiesił potężną szczękę w szerokim uśmiechu.

– Och, Kościpsie! – powiedziała do niego Marra, a on ją polizał. Poczuła jego jęzor, nadal nie do końca materialny, ale zdecydowanie wyraźniejszy niż wcześniej.

– No, zbieramy się stąd – ogłosiła pożegnucha. – Wszyscy mają swoje dusze? Cienie na miejscu? No to idziemy stąd, nim ulegnie to zmianie. – Bardzo powoli zaczęli wchodzić po stopniach. Schody wydawały się znacznie dłuższe niż podczas wędrówki w dół. Może w świecie magii zawsze tak jest, zastanawiała się Marra. Mężczyzna, którego wykupiła, którego potrzebowała, otaczał ją ramieniem. Wspierali się na sobie, ramię w ramię, dwoje ludzi w miejscu, do którego żaden człowiek nie powinien trafić. Gdy Marra spojrzała na towarzysza, oświetlonego mdłym, zielonkawym blaskiem świetlików, zobaczyła w jego oczach srebrzyste przerażenie, skrywane, ale bardzo żywe.

Kościpsies szedł obok, trzymany przez Marrę za sznurową obrozę. Czuła pod palcami iluzję sierści, z wyjątkiem chwil, gdy to wrażenie mijało i znów był istotą z kości.

Prostokąt prowadzący na powierzchnię z czarnego zmienił się w granatowy. Przybliżał się krok za mozolnym krokiem, przesłaniany częściowo ciemnym

zarysem postaci pożegnuchy. Po jakimś czasie zaczęły się na nim pojawiać gwiazdy, ale krawędzie zdawały się rozmywać, jakby padał na nie cień, którego nie powinno tam być.

*Tam na górze coś czyha, pomyślała Marra. Ile zębów będzie kosztowało wyjście na powierzchnię? Ile lat życia oddam za przepuszczenie nas?* Westchnęła ciężko, a mężczyzna na wpeł wydzwignął ją na następny stopień, gdzie odzyskała siłę.

*Tyle, ile będzie trzeba.*

Na górze rzeczywiście coś było. Marra nie zobaczyła, co to. Pożegnucha jako pierwsza dotarła do wyjścia, cień cofnął się, a potem kura uniosła łebek i zapiała jak kogut o świcie.

Cień umknął. Kura wydała z siebie pełne oburzenia gdaknięcie i uspokoiła się.

– Wiem, wiem – powiedziała staruszka łagodnie. – Pianie jest zawsze takie krępujące dla damy.

„Krrrk, krrrk”, mruknęła kura, strzepując piórka na szyi.

Wyszli, zataczając się ze zmęczenia prosto pod rozgwieżdżone niebo. Mężczyzna u boku Marry chciwie wciągał powietrze do płuc, jakby nigdy wcześniej nie oddychał.

– Wolny – jęknął. – Naprawdę jestem wolny? Wyzwoliłem się z tamtego miejsca?

– Prawie – powiedziała pożegnucha. – Jeszcze nie całkiem. Jesteśmy już jedną nogą w innym świecie, ale niebezpiecznie tu pozostawać.

Poprowadziła ich brzegiem potoku ku przejściu z korzenia. Mężczyzna nadal trzymał Marrę za łokieć. A ona nie bardzo wiedziała, czy powinna się czuć przez to ograniczona, czy cieszyć się z tej bliskości.

Utopiony chłopak czekał po drugiej stronie korzeniowego łuku, zanurzony w wodzie po brodę. Kiedy zagulgotał na ich widok, pożegnucha fuknęła na niego surowo i wykonała wspomagany magią bezceremonialny gest. Młody topielec zanurzył się głębiej i odpłynął szybko jak wydra.

– No, teraz już całkiem wróciliśmy – oznajmiła pożegnucha, opierając się na kosturze. – Jesteś wolny.

## ROZDZIAŁ 9



Nazywam się Fenris – przedstawił się mężczyzna. Zająknął się, jakby chciał dodać coś jeszcze, może drugie imię albo tytuł, ale się rozmyślił. – Fenris – powtórzył.

– Marra.

– Fenris... – Pożegnucha uniosła brew i spojrzała na Marrę. – A więc najpierw zrobiłaś sobie psa, a teraz znalazłaś sobie wilka. Jeśli spotkamy lisa, który cię szuka, będziemy mieć materiał na bajkę i zacznę się poważnie martwić.

– Czemu? – zdziwiła się Marra. – W bajce mogłabym mieć szanse na ukończenie mojej misji.

– Bajki nie traktują życzliwie postaci drugoplanowych. Szczególnie starych kobiet. Wolałabym nie zatańczyć się na śmierć w żelaznych bucikach, jeśli ci to nie wadzi.

– Może to ty jesteś lisem – zasugerowała Marra.

– Ha! – W śmiechu pożegnuchy rzeczywiście pobrzmiwały nuty lisiego poszczekiwania. – Cóż, zasłużyłam sobie.

– Masz jakieś imię, Pani Lisico? – zapytał Fenris.

Marra nie mogła rozstrzygnąć, czy był rozbawiony, czy też rozdrażniony tą rozmową.

– A mam – odpowiedziała staruszka.

Zapadło milczenie. Niezręczna cisza się przedłużała. Marra zaczęła skubać nitkę pokrzywowego płaszcza.

Jeśli był to pojedynek woli, zwyciężyła pożegnucha. Śmiech Fenrisa nie różnił się bardzo od tego staruszki. Krótkie, autoironiczne parsknięcie człowieka, który nadal potrafił rozpoznać absurd sytuacji.

– Jak wobec tego mam się do ciebie zwracać, pani?

– Może być „pani”. Jestem pożegnuchą.

– Ach. – Pokiwał głową. – Jedną z tych, które żyją pośród umarłych? U nas nie ma takich jak wy, ale słyszałem o was.

I znów zaległa cisza. Marra dumiała, o czym ten człowiek może sobie myśleć i co myśli o nich. *Nieśmiała zakonnica i staruszka kontaktująca się ze zmarłymi. Sama nawet nie wiem, co o nas myślę... Według żółtookiego sprzedawcy jest mordercą. To niepokojące.* Fenris, wielki i silny, mógł złamać ją wpół jedną ręką, a pożegnucha, choć władcza, ostatecznie była tylko staruszką z kurą. Uważał, że nadal jest więźniem? Co prawda wykupiły go od sprzedawcy zębów, ale nie uwolniły go tak do końca, nieprawdaż? A Marra przecież bełkotała na targowisku, że jest jej potrzebny. Gdyby postanowił uciec z obecnej rzekomej niewoli, ich jedyną obroną byłby pies, który właśnie hasał w rzece, rozbryzgując wodę.

– Nie musisz zostawać z nami – powiedziała Marra.

Fenris popatrzył na nią z nieprzenikniętą miną.

– Słucham?

– No wiesz... – *Nie, nie zaczynaj od ćmy, to zbyt skomplikowane, a wyartykułowane będzie brzmiało idiotycznie.* – Um... Magia sprowadziła nas do tego, czego najbardziej potrzebujemy. Czyli do ciebie. Ale nie jesteś już niczym więźniem.

– Magia powiedziała, że mnie potrzebujecie? – Uśmiechał się, ale jego uśmiech był podobny do jego śmiechu, wyrażał nie tyle wesołość, ile zadziwienie kształtem świata.

– Tylko nie myśl sobie za wiele – uprzedziła go pożegnucha. – Może być, że nasz los jest zapieczętowany w słoju, a my potrzebujemy kogoś, kto poluzuje wieczko.

Tym razem roześmiał się autentycznie rozbawiony, co chyba zaskoczyło go równie mocno jak Marzę.

– Mamy na tyle czasu, żebym mógł się obmyć? – zapytał, kiedy wychodzili z rzeki. – Dawno nie miałem okazji...

– Nie tutaj. – Pożegnucha pokręciła głową. – Umarli są poruszeni i nie uspokoją się jeszcze przez dzień czy dwa. Znajdziemy ci jakąś sadzawkę, w której nikt nie utonął.

– Cóż, podoba mi się pomysł z nietonięciem.

Zajęło to może pół godziny. Choć Marra miała wrażenie, jakby wizyta na goblinim targowisku trwała ziemski wiek, księżyc ledwie przesunął się na niebie. Rozlewał swój blask po powierzchni stawu. Kilka krów spało na stojąco po drugiej stronie płotu, tworząc ciemne plamy na osrebrzonej trawie.

– Jak to się stało, że znalazłeś się na goblinim targu? – zapytała Marra Fenrisa, który przysiadłszy na brzegu sadzawki, rozsznurowywał buty.

– Przez głupotę. Zasnąłem w grodzisku elfów. Oczywiście wiedziałem, czym to grozi, ale...

– Co to jest grodzisko elfów? – przerwała mu Marra.

– Pierścien ziemny. Obrzeża są porośnięte przez drzewa, ale środek jest zwykle wolny. Niektórzy mówią, że to pozostałości po dawnym ludzie. Osady tych, którzy żyją w ukryciu. Niesamowite miejsca. Nie powinienem tam wchodzić.

– Uciekałeś przed czymś – stwierdziła pożegnucha sucho. – Albo chciałeś się zabić, a nie miałeś odwagi podnieść na siebie ręki. Jesteś z Hardacku, sądząc po akcencie, a żaden hardacczanin nie zasnąłby w grodzisku elfów, nieważne, czy pijany, czy z połamanymi nogami.

Wargi Fenrisa drgnęły. Skinął głową pożegnusze.

– To prawda.

– No? – Pożegnucha usiadła na ziemi. Brązowa kura łypała na Fenrisa złowrogo. – To co to było?

– Jedno i drugie. – Fenris potarł czoło. – Jestem... Byłem rycerzem. W Hardacku, jak rzekłaś. Służyłem Ojcom, nie konkretnemu klanowi. Ojcowie rządzą klanami, ale ich władza nie jest absolutna. Ci, którzy im służą, są zarówno dyplomatami, jak i strażnikami porządku.

– I? – drążyła pożegnucha bezlitośnie.

– I okazało się, że jestem głupcem – oznajmił bez szczególnej intonacji, nie samobiczował się, tylko stwierdzał fakt. – Nie zauważyłem tego, co miałem pod samym nosem, i nadszedł dzień, kiedy musiałem zabić z tego powodu człowieka. Przywódcę klanu.

Marra nastawiła uszu, naraz jeszcze bardziej zainteresowana. Czy przywódca klanu był tak dobrze pilnowany jak książę?

– Nie mogłem tego zrobić w ramach prawa. A na ziemiach klanu prawem jest słowo przywódcy. Ojcowie mogli potępić tego człowieka, ale nic ponad to. Mogłem puścić go wolno, mimo że na rękach miał krew, albo wymierzyć sprawiedliwość, brukając krwią własne. – Wzruszył ramionami. – Zabiłem trzech ludzi, którzy nie popełnili żadnej zbrodni, a jedynie bronili swego władcy, a potem zabiłem ich pana i na jego ciele położyłem swój miecz, by wiadano, kto tego dokonał. A potem odszedłem i spędziłem noc w elfim grodzie.

– Uczyniłeś to celowo – rzekła pożegnucha w zadumie. – Pragnąłeś umrzeć, lecz nie z ludzkiej ręki.

Fenris zerknął na nią kpiąco.

– Choć przedstawiamy się jako rycerze Ojców, i tak wszyscy wiedzą, z którego klanu pochodzimy. Jestem zbrodniarzem, ale jeśli ktoś by mnie zabił, stałby się wrogiem mego klanu. Jeśliby jednak nie pomszczono zabitego przeze mnie przywódcy, jego klan straciłby twarz i jedynie moja śmierć mogła zmazać ich

hańbę. – Wrzucił kamyk do wody. – A to nie ich wina, że mieli potwora za przywódcę. Cierpieli pod jego władzą bardziej niż reszta z nas.

– A hardacczanie uznają samobójstwo za ujmę – dokończyła pożegnucha.

– Nie zależy mi na honorze, ale rzucając się na własny miecz, przyznałbym, że uważam mój postępek za niewłaściwy. – Westchnął ciężko, a do jego głosu nareszcie wkradła się nuta emocji. Brzmiała jak znuzenie. – A więc tak to się stało. Długo byłem więźniem targowiska goblinów i jestem bardzo zmęczony.

\* \* \*

Marra zerknęła w stronę sadzawki. Fenris poprosił o trochę prywatności, żeby się umyć. Marra zastanawiała się, czy rycerz naprawdę się myje, czy może jednak rzucił się do ucieczki i gna przez las, żeby możliwie najszybciej się od nich oddalić.

*Nie uwiązałam psa z kości, ale wrócił.* Pogładziła Kościpsa po czaszce, czując widmową sierść, gdy jej palce przenikały przez ułudę.

– Smutna to była opowieść – powiedziała na głos. – Biedak.

– Owszem, o ile jest prawdziwa – zastrzegła pożegnucha.

– Nie wierzysz mu?

– Hm. – Staruszka wzruszyła ramionami. – Nie wygląda na kłamcę, ale to może oznaczać tylko tyle, że wierzy w to, co mówi. Pewnie większość jest prawdą, mniej czy bardziej. Ale są też tacy, którzy po zabiciu rywala potrafią samych siebie przekonać, że postąpili tak ze szlachetnych pobudek. – Położyła się na posłaniu i zaplotła ręce za głowę. – Każdy dorabia jakąś historię do swych grzechów. Czasem po to, by je umniejszyć, czasem, by uczynić z nich najgorsze przestępstwo w dziejach ludzkości. To zależy od człowieka. Stawiałabym, że ten jest bardziej męczennikiem niż apologetą, ale nigdy nie wiadomo.

– Myślisz, że spróbuje uciec?

Pożegnucha znów wzruszyła ramionami.

– Raczej nie, jeśli dzisiaj wróci. Ale jeśli ma choć krztynę rozsądku, to skorzysta ze swobody i już nigdy więcej go nie ujrzymy.

Marra przygryzła wargę.

– Ćma uważała, że go potrzebujemy.

– Potrzebujemy go, owszem. – Pożegnucha przekrzywiła głowę. – Ale niewykluczone, że zrobił już, co miał zrobić.

– Jak to?! Przecież jest z nami dopiero od godziny!

– Tak. Ale być może ktoś zaatakowałby nas na targowisku, gdyby nie szedł z nami osiłek, a więc wypełnił już swoją misję.

Marra aż zamrugnęła z niedowierzania.

– Naprawdę uważasz, że tak się stało?

Pożegnucha wzruszyła ramionami po raz kolejny.

– Ale jeśli nie, to nadal go potrzebujemy!

– Zaiste. Ale to, że kogoś potrzebujesz, nie oznacza, że jest on zobligowany do spełnienia twoich potrzeb. Może odejść i ryzykować życie gdzie indziej.

– Nie odszedłem – oznajmił Fenris gdzieś z mroku.

Marra aż podskoczyła. Jakim cudem człowiek może chodzić tak cicho? Ile słyszał z ich rozmowy?

Podniosła wzrok, a Fenris wyłonił się z cieni, powolnym, ciężkim krokiem, niczym sterany koń.

– Mam krzywną rozsądku, Pani Lisico – rzekł znów z tym zadziwionym uśmiechem, po czym zwrócił się do Marry: – W mojej krainie często wykupujemy jeńców, zazwyczaj płacąc za nich złotem. Ty jednak zapłaciłaś za moją wolność krwią i kością. Ta resztką honoru, która mi pozostała, należy do ciebie i jeśli mogę ci się jakoś przysłużyć, tak właśnie uczynię.

\* \* \*

Nazajutrz na śniadanie zjedli suchy chleb, nawet bez trzeciej części jajka na głowę. Fenris pochłonął swoją pajdkę w trzech kęsach, ale nie narzekał na skąpe racje. Marra zaczęła się zastanawiać, jak na bogów wyżywią się w drodze do celu.

Fenris szedł dużo szybciej niż one, pokonując ziemię wielkimi krokami, które pewnie zaprowadziłyby go do Królestwa Północnego, zanim Marra i pożegnucha zdołałyby opuścić Południowe. Kilka razy musiał się zatrzymać i zwalniać, niemal przepaszając.

Marra przeżywała trudne chwile. Przywykła do ukrywania się przed podróżnymi, aby nikt nie zobaczył Kościpsa. Za pierwszym razem, kiedy mijali ich wóz, machinalnie chwyciła istotę za obrozę i omal nie skoczyła w zarośla, zanim przypomniała sobie o ułudzie. Powoźcy rzeczywiście przypatrywał się im, ale nie z powodu psa. Spoglądał na siedzącą na kosturze pożegnuchę kure i uśmiechał się szeroko.

– Jak ją tego nauczyłaś? – zawołał.

– Nie uczyłam jej – odrzekła pożegnucha. – Nie mogłam jej przed tym powstrzymać.

Woźnica zaśmiał się gromko, dotknął kapelusza i pojechał dalej, a Marra potrzebowała jeszcze chwili, żeby wyciszyć kołaczące serce.

– Spokojnie – mruknął Fenris.

Marra już miała fuknąć rozżłoszczona, ale gdy na niego spojrzała, zobaczyła, że mówił bardziej do siebie niż do niej.

*Ile czasu spędził na targowisku goblinów? Czy on również odwykł od widoku ludzi?*

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, a potem po prostu zapytała.

– Zbyt długo. – Fenris spojrzał w niebo, które straciło szaro-złoty odcień świtu i stawało się coraz błękitniejsze. – Trudno było śledzić upływ dni. Mawiają, że ludzie, którzy zajdą do elfiego grodziska, przetańczą tam noc, a po powrocie okaże się, że w tym czasie minęły lata. Nie wiem, czy to prawda. Nie wiem, czy targowisko goblinów działa bez przerwy. Zdawało się, jakbym ciągle był przy tamtym stoisku, ale czasami spałem i miałem wrażenie, że mijało dużo czasu. A czasami było... inaczej.

– Jak inaczej? – zapytała pożegnucha ostro.

– Zimniej. Mroczniej. Inaczej... Widziałem różne rzeczy.

– Rzeczy? Masz na myśli różnych ludzi? – drażyła pożegnucha.

– Mam na myśli to, że gdy ten, który mnie więził, sprzedał ząb, ta, która go kupiła, przypominała kobietę, aż do chwili, gdy to coś przegryzło ząb wpół jak jabłko. – Mówił bardzo spokojnie i omijał je obie wzrokiem. – A potem rzuciło się na przypadkową przechodzącą obok osobę, która już po chwili leżała martwa na ziemi. A ten żółtooki sukinsyn zaczął tylko narzekać na bałagan i wezwał kogoś, żeby zabrano trupa.

Marra po raz pierwszy ujrzała na twarzy pożegnuchy cień zmieszania.

– Ach, nów. Targowisko goblinów jest wtedy najgorsze.

– Przykro mi – powiedziała Marra.

Fenris popatrzył na nią. Miał ponure oczy, ale zmusił się do półuśmiechu.

– Mnie też było przykro. Było mi żal nas wszystkich. Na targowisku byli też inni ludzie, poza mną, tak sądzę. Na innych kramach. Zresztą, nie wiem. Czasem kiwaliśmy sobie głowami, ale nie mieliśmy okazji porozmawiać. – Odetchnął głęboko i wyprostował się. – Cóż, jeśli to był nów, to spędziłem tam jakieś trzy miesiące. Bez tego powiedziałbym, że kilka tygodni. Dni się dłużyły, ale nie aż tak.

– Co tam robiłeś? – zaciekała się Marra.

– Głównie dumałem. Obracałem w głowie na wszelkie sposoby swoją porażkę i przypominałem sobie każdy moment, w którym mogłem pójść inną drogą. Planowałem ucieczkę. – Pokręcił głową. – Nie rozmawiałem z nikim poza Zębipląsem. Nie był taki zły, na jakiego wyglądał. Ale całe to miejsce było okrutne. – Powoli wypuścił powietrze przez nos. – A ja, jak ten samolubny drań, myślałem tylko o tym, żeby się stamtąd wydostać. Może powinienem



zapropnować, żebyście uwolniły kogoś innego zamiast mnie. Ja zasłużyłem sobie na swój los.

– Ale to ty byłeś nam potrzebny. Przynajmniej według ćmy.

Wzruszył ramionami.

– Może po wszystkim będziemy mogli tam wrócić – stwierdziła lekkomyślnie Marra. – I odszukać innych?

Tym razem spojrział na nią z widocznym zaskoczeniem.

– Poświęciłabyś jeden ząb za każdego?

Przeszedł ją dreszcz na samą myśl o tym, ale czymże był jeden ząb wobec czyjegoś życia?

– Jeśli bym musiała...

Fenris milczał długo, a potem wyciągnął do niej rękę, nie żeby ją za nią ująć, ale jak do uścisku. Marra to właśnie uczyniła. Poczowała szorstką, pokrytą odciskami skórę na jego palcach.

– A więc, skoro już zobowiązaliśmy się pomóc sobie w swych daremnych misjach, mogę zapytać, gdzie prowadzi cię twoja?

– Do Królestwa Północnego.

– Nie byłem tam nigdy. Musisz mnie uprzedzić, jeśli panują tam obyczaje, których nie znam, a niedostosowanie się do nich mogłoby wpędzić nas w kłopoty.

– Chyba nie ma nic takiego. – Marra przegrzebała umysł, starając się znaleźć coś użytecznego. – Ale mogę nie wiedzieć wszystkiego. Wychowałam się w sąsiedniej krainie, a obyczaje tamtejszych mieszkańców są takie same. Tak sądzę. Hm. Może nie uderzaj nikogo w twarz rękawicą?

Miny Fenrisa w zasadzie nie dało się opisać.

– Często się to u was zdarza?

– Nie, chyba że ktoś się chce pojedykować. A my nie chcemy. To znaczy ja tego nie chcę.

– To całkiem niezły pomysł – zauważyła pożegnucha. – Każmy mu się pojedykować z księciem i będzie z głowy.

Marra wzięła to pod rozwagę. Fenris był co prawda nieco starszy od księcia, ale za to dużo większy. Czy to miało znaczenie?

– Hmm...

– Książę, co? – Fenris zerknął na Marzę, a ona potaknęła. – I chcesz go zabić?

– Masz z tym problem? – *A co, jeśli ucieknie i uprzedzi księcia? Nie, nie wymieniliśmy imienia, a on nigdy nie był w Królestwie Północnym. Nie zna Vorlinga, a zresztą, Vorling jest teraz królem...*

– Zasługuje na śmierć?

– Jak najbardziej.

– Wobec tego nie mam. Ale czy wasi władcy przyjmują wyzwania od obcokrajowców?

– Nie... – No przecież, że to nie mogło być takie proste. – Nie, jestem raczej pewna, że nie.

– To dobrze. To głupi sposób na wybieranie władców, nawet jeśli nam akurat to utrudnia sprawę.

– Z tego, co pamiętam, w Hardacku to dopuszczalne – wtrąciła pożegnucha.

– No właśnie – potwierdził Fenris. – Stąd wiem, że to głupota. Masz kompetentnego, sprawiedliwego władcę, który zna imiona wszystkich swych wasali, potrafi zaspokoić po równo potrzeby całego klanu i jego poszczególnych członków... a potem przychodzi taki brutal, który potrafi jedynie wymachiwać toporem. I czy ci się to podoba, czy nie, brutal wygrywa i zaczyna gnębić klan, dopóki ktoś nie pośle słowa do Ojców, którzy w części przypadków też nie mogą rozwiązać problemu.

– Podejrzewam, że miałeś z tym do czynienia – zauważyła Marra.

– Jak się domyśliłaś? – skwitował kwaśno. – Ale tak. Widziałem, jak cztery klany upadły właśnie w wyniku takiego obrotu spraw. I jeden, który w ten sposób został ocalony, ale na to można by znaleźć jakieś inne sposoby. Co zrobił ten książę?

Pytanie zostało zadane na jednym oddechu i zaskoczyło Marę jak niespodziewany cios. Potknęła się i Fenris zrobił ruch, żeby ją podtrzymać, ale cofnął się, kiedy sama odzyskała równowagę.

– Zabił moją siostrę – rzekła. – A drugą siostrę, która jest teraz jego żoną... – Słowa utknęły jej w zaciśniętej krtani i z wysiłkiem je z siebie wydusiła. – Znęca się nad nią. Ona ma ślady i... ciągle zachodzi w ciążę, żeby jej nie bił, ale w końcu przez to umrze. A on weźmie sobie następną żonę i będzie jej robił to samo.

Fenris skinął głową, jakby to, co powiedziała, było dla niego całkowicie zrozumiałe, chociaż jej ledwie mieściło się w głowie. Jeśli zdziwił go fakt, że zakonnica była krewną żony księcia, nie dał tego po sobie poznać.

– Rozumiem. Tacy mężczyźni nigdy nie przestają. Najlepiej, jeśli można ich jakoś odizolować albo wykorzystać w walce z wrogiem, bo przynajmniej na coś się zdadzą klanowi. Ale często się tak nie da i wtedy musimy uciec się do innych rozwiązań.

– Tak, to właśnie chcemy zrobić – przytaknęła Marra. – Uciekamy się do innych rozwiązań. Jakiegokolwiek by były.

– To misja dla głupców i prawdopodobnie wszyscy zginiemy – dodała pożegnucha.

– Och, takie misje lubię najbardziej – podsumował Fenris.

– Co teraz? – zwróciła się do pożegnuchy Marra. – Miałaś jakiś pomysł na podróż. A może mamy wędrować na nogach do samej północnej stolicy?

Pożegnucha w zadumie pogładziła kurę po grzebieniu mostkowym. Ptak wydawał się tym poirytowany, ale z drugiej strony, był to jego permanentny stan.

– Prawie widzę jasną przyszłość – rzekła. – Gdybyśmy mieli mierzyć się jedynie ze śmiertelnikami, ty, ja i twój duży przyjaciel moglibyśmy dać radę sami. Ale wszystko rozbija się o matkę chrzestną.

– Matkę chrzestną księcia?

Pożegnucha przytaknęła.

– Trwa przy rodzinie królewskiej już bardzo, bardzo długo. Jest z nimi związana i utrzymywana przy życiu dużo dłużej, niż rozsądek na to pozwala. Jej moc chroni księcia. – Zagryzła dolną wargę. – Ja mogę rozkazywać umarłym, ale to inna moc.

– Silniejsza? – zaniepokoiła się Marra.

– Inna. – Pożegnucha zawiesiła głos i uśmiechnęła się smuto. – Możliwe, że też silniejsza. Rozmawiam z umarłymi i jestem ich głosem. Nasze moce nie mają sobie nic do powiedzenia. Mogłybyśmy minąć się na ulicy bez słowa, ale też mogłaby mnie obrócić w nicość.

– I pewnie ty nie mogłabyś obrócić jej w nicość jako pierwsza? – domyślił się Fenris.

– Nigdy nie próbowałam – przyznała pożegnucha – ale to mało prawdopodobne.

– A więc czego potrzebujemy, by mierzyć się z taką mocą? – Mara westchnęła. – Moja matka chrzestna była prawie całkiem bezużyteczna.

– Masz matkę chrzestną? – Pożegnucha aż uniosła brew.

– Oczywiście, że mam. Jak każda księżniczka przecież...

– O nie, nie każda – przerwała jej pożegnucha. – Nawet nie większość, jeśli chodzi o ścisłość. A mają je raczej te pochodzące z wielkich królestw, a nie skrawków wciśniętych pomiędzy dwóch groźnych sąsiadów. Moc przyciąga moc.

– Cóż, nie była szczególnie potężna, więc masz rację – prychnęła Marra.

– Czyżby?

– Pobłogosławiła nas dobrym zdrowiem – burknęła Marra kwaśno. – I obiecała Damii księcia za męża. To żadne błogosławieństwo, biorąc pod uwagę, że ów książę ją zabił.

– Zdrowie to nie byle co – zaprotestowała pożegnucha. – W każdym razie mając na względzie alternatywy.

– Mogła zapewnić nam bezpieczeństwo – warknęła Marra, krzywiąc się. – A przynajmniej to, żebyśmy nie poślubiały kogoś, kto potem nas zabije.

– Pewnie mogła – zgodziła się pożegnucha. – Ale rodzice z całkiem niezrozumiałych powodów mają obiekcje do wygłaszania tego rodzaju błogosławieństw podczas chrztu.

– A wydawałoby się, że powinni przyjmować je z wdzięcznością.

– Cóż, niepojęta jest ludzka natura.

Marra nie знаła Fenrisa na tyle dobrze, by czytać mu z twarzy, ale mogłaby przysiąc, że chciał coś powiedzieć. Zerkał na pożegnuchę, a zmarszczka na jego czole pogłębiała się z każdym spojrzeniem. W końcu się poddał.

– Pani Lisico?

– Tak?

– Twierdzisz, że umiesz rozmawiać ze zmarłymi?

– Nie twierdzę – sprostowała staruszka z niewzruszonym spokojem. – Tak jest. Aczkolwiek przeważnie to raczej wysłuchiwanie ich niż rozmowa. Ludzie gadatliwi za życia rzadko milkną po śmierci.

Fenris pokręcił głową. Po chwili odezwał się znowu, ostrożnie dobierając słowa.

– Nie jestem pewien, czy wierzę w duchy.

– Ale w elfy wierzysz – stwierdziła pożegnucha bardziej rozbawiona niż urażona. – Na tyle, że postanowiłeś zakończyć życie w jednym z ich grodzisk.

– Pewnie teraz powinienem powiedzieć, że to co innego? Prawda jest jednak taka, że w elfy również nie wierzyłem. Nie wierzy w nie nikt, kogo znam. – Przeciągnął dłonią po włosach i Marra zauważyła w jego ciemnej czuprynie siwe pasma.

– Nie wierzyłeś w elfy, ale bałeś się ich grodziska? – spytała skonfundowana.

– Hm, no tak – przyznał Fenris, obdarzając ją jednym z tych swoich pełnych zadziwienia uśmiechów. – Nie wierzymy w elfy, ale i tak nie ścinamy drzew rosnących na obrzeżach grodzisk ani nie spędzamy nocy wewnątrz kręgów. Na wszelki wypadek, gdyby jednak coś w tym było, niezależnie, czy się w to wierzy, czy też nie.

– Cóż, ze zmarłymi jest tak samo. Istnieją, niezależnie od tego, czy w nich wierzysz, czy też nie.

– Uhm.

Marra miała ochotę wkroczyć i załagodzić tę wymianę zdań, ale nie była pewna, czy zdołałaby to zrobić. Nigdy nie lubiła sprzeczek, ale ta dwójka wydawała się raczej rozbawiona niż rozsierdzona. Obserwowała Fenrisa spod rzęs, starając się nie robić tego nazbyt jawnie.

W świetle dziennym wydawał się jeszcze większy, niż gdy zobaczyła go po raz pierwszy na targowisku goblinów. Miał szerokie barki i rozłożysty tors. Nawet jeśli był starszy od księcia i z wiekiem nieco zaokrąglił się w talii, na pierwszy

rzut oka było widać, że jest wojownikiem. Dłonie miał pokryte małymi bliznami po skaleczeniach, a na przedramionach rysowały się mięśnie. Takiej muskulatury nie wyrabia się przenoszeniem skrzynek. *Gdyby chciał, mógłby mnie udusić jedną ręką.* Marra oblizała nagle wyschnięte wargi. *Zakłęcie uznało, że go potrzebujemy. Przecież chyba nie potrzebowałybyśmy kogoś, kto chciałby nas zabić. Chyba że świat jest na tyle przewrotny i powinnam umrzeć, żeby pożegnucha mogła przebudzić mnie i wysłać do Vorlinga jako mściwe widmo.*

Pożegnucha najwyraźniej nie obawiała się Fenrisa, mimo że był od niej dwa razy większy.

– Nie wierzysz w duchy, hardacczaninie – mówiła – ale czy zbecześciłbyś grób?

Oczy Fenrisa rozszerzyły się z przerażenia.

– Nie! Oczywiście, że nie!

– No widzisz.

Szli w milczeniu przez blisko pół godziny. Kościpies wyniuchał coś w przydrożnych zaroślach i kłapnął szczękami. Cokolwiek capnął, przeleciało wskroś jego żuchwy i wypadło na trawę. Przybiegł do nich, szczerząc się, wielce z siebie dumny.

W końcu Fenris pierwszy przerwał milczenie.

– Może masz rację, Pani Lisico. Ale grodzisko elfów to jedno, a grób to co innego. Nawet gdy nie wierzyłem w elfy, grodziska wydawały mi się... niesamowite. Zawsze gdzieś tam czułem podskórnie strach. Strach przed nieznanym. A kiedy myślę o bezczeszczeniu grobu, nie czuję strachu, tylko odrazę. Nie obawiam się tego, co jest w nim pogrzebane, ale uważam, że naruszenie go byłoby haniebne. A wręcz ohydne. Nie obawiam się zemsty, a tego, czym bym się stał, dopuszczając się profanacji.

Pożegnucha zwolniła kroku i obrzuciła Fenrisa baczny, szacującym spojrzeniem. Brązowa kura zaskrzeczała z oburzeniem i zakołysała się na lasce. Usta staruszki wykrzywił jeden z rzadkich u niej uśmiechów.

– Nadal jesteś w błędzie, hardacczaninie. Ale w całkiem interesujący sposób.

Fenris skłonił głowę, jak rycerz przyjmujący pochwałę od królowej, a Kościpies zamachał ogonem i bezgłośnie ich obszcekał.

## ROZDZIAŁ 10



Inaczej podróżowało się z Fenrisem niż z samą tylko pożegnuchą. Inaczej i, trzeba było przyznać, łatwiej.

Widać było, że obozowanie na szlaku nie jest mu obce. Umiał rozpalić ognisko, zanim Marra zdążyła wykrzesać skrę, i umiał dłużej podtrzymać ogień. Po niewoli na targowisku goblinim nie miał niczego, więc pożegnucha poświęciła swój metalowy kubek z miarką, a Marra dała mu mniejszy ze swych dwóch noży, żeby miał w czym pić i czym jeść.

Po dwóch dniach Marra przestała się obawiać, że Fenris zwróci się przeciwko nim. Zachowywał się spokojnie, roztropnie, a nieustanne prowokacje pożegnuchy przyjmował z humorem. Od czasu do czasu wymieniali z Marrą zdeorientowane spojrzenia, mówiące: „Uwierzysz, że dwoje rozsądnych ludzi, takich jak my, mogło znaleźć się w takiej sytuacji?”.

Te chwile rozgrzewały jej serce. Od czasu, gdy pożegnała się z siostrą zielarką, z nikim nie łączyła jej taka nić porozumienia

Niemniej jednak zdarzały się momenty, gdy wstał zbyt raptownie lub wydał się Marze zbyt duży, a jakiś cień w jej umyśle szeptał, że przecież Vorlinga też nikt nie podejrzewał, że będzie dręczył swoje żony. *Może jestem nazbyt ostrożna? A może jednak nie dość ostrożna?* A pamięć podsuwała jej obraz rolnika, który próbował ją zabić, tego, który pewnie uważał się za porządnego człowieka, lecz w niej widział jedynie potwora z poranionej krainy. Wtedy odsuwała się od Fenrisa, starając się nie robić tego zbyt jawnie.

Nawet jeśli to zauważał, nie dawał tego po sobie poznać.

Jadł więcej niż Marra i pożegnucha razem wzięte. Wyraźnie starał się ograniczać, ale słyszała też, jak burczy mu w brzuchu. Kiedy mogli, zatrzymywali się przy gospodarstwach. Pewnego wieczoru na kolację mieli jedynie herbatę, ale nazajutrz po południu Kościpies upolował królika, którego

Fenris oskórował i wypatroszył. Pierwszy raz od wielu dni najedli się wtedy do syta.

Jednak im bardziej na północ, tym łatwiej się wędrowało. Każdy potrzebował drewna na opał, a Fenris potrafił się zręcznie posługiwać siekierą. Pukali do drzwi, proponowali rąbanie drewna w zamian za trochę jedzenia na drogę, a ludzie zazwyczaj cieszyli się na ich widok. Czasami nawet wskazywali im innych na drodze, którzy chętnie przyjmą ich usługi. Brzuch Fenrisa przestał burczeć i nie zdarzały się im już noce, kiedy szli spać o samej herbacie.

Im dalej na północ, tym zimniej się robiło. Ponieważ Fenris nie miał żadnych swoich rzeczy, nie miał też koca. Kiedy mogli, sypiali w stodołach, ale nie zawsze się to udało. Obudziwszy się pewnego ranka, Marra zobaczyła, że trawę ściał przymrozek, a Fenris leżał skulony tak blisko ognia, że mało brakowało, żeby spalił sobie brodę.

– Um... – odezwała się wieczorem, gdy układali się do snu. – Jest zimno. Jeśli chcesz, możesz spać ze mną pod kocem...

Pożegnucha parsknęła, a brwi Fenrisa podskoczyły na czoło. Marze przyszło do głowy, że może w Hardacku również mogłoby to zostać odebrane dwuznacznie.

– Nie o to chodzi – zastrzegła pospiesznie. – Ale jeśli marzniesz. No bo jest zimno. Mogę się podzielić z tobą moim kocem. Nic ponadto.

Pożegnucha kasłała i parsknęła, ale Fenris skinął poważnie głową.

– Pewnie to niehonorowo tak odzierać młodą kobietę z połowy jej koca, ale kości mam już stare i przyjmę twoją propozycję z wdzięcznością.

– Nie jestem już taką młodką – zaprotestowała Marra.

– I nie waz się przy mnie mówić o starych kościach, zanim nie skończysz siedemdziesiątki, młodzieńcze – stwierdziła pożegnucha.

Fenris spojrzał na nią łagodnie.

– To za jakieś trzydzieści lat, a wtedy pewnie mi powiesz, że mogę sobie narzekać, gdy skończę setkę.

Brązowa kura zarechotała, a pożegnucha huknęła laską o ziemię, aż ptak zatrzepotał skrzydłami, żeby utrzymać się na grzędzie.

– Mądrala – mruknęła starszka, nie wiadomo, czy do Fenrisa, czy do kury, aczkolwiek nikt tego nie dociekał.

Marra rozwinęła koc. Pożegnucha dała jej pled dość duży, by jedna osoba mogła się weń wygodnie zawinąć, nawet taka, która spała rozciągnięta jak Marra.

Dla dwójki jednak okazał się ledwo wystarczający. Położyli się plecami do siebie i okryli kocem, ale Marra podejrzewała, że Fenris oddał jej lwią część pledu. Czuła za sobą jego plecy niczym ścianę, oboje mieli jednak na sobie zbyt

wiele warstw ubrań, by mogła wyczuć ruch jego klatki piersiowej podczas oddychania.

Kościpies zazwyczaj spał zwinięty u jej stóp, uwierając ją w kostki żebrami. Odkrywszy drugą parę stóp, nie bardzo wiedział, co począć. Pokręcił się w kółko, pisnął, a potem legł na jej łydkach. Ułuda usiłowała zniwelować wystające szczyty kości biodrowych, ale bezskutecznie.

Marra też nie mogła się umościć wygodnie. Ziemia, na której leżeli, była – jak zwykle – twarda, ale czy zeszłej nocy było aż tak źle? A to uwierające to kamień? Ręce zazwyczaj chowała w rękawach, ale czy ta szata zawsze tak krępowała ruchy?

Wierciła się, usiłując znaleźć wygodną pozycję, ale przestała z obawy, że obudzi Fenrisa albo że nie będzie mógł zasnąć przez to jej irytujące kręcenie się. Chyba nie wierciła się tak, śpiąc sama? A może tak, tylko się tym nie przejmowała, bo nikomu to nie przeszkadzało?

Ile czasu minęło, odkąd spała przy kimś innym? Usiłowała sobie przypomnieć. W małych chatach, w których stało mało łóżek, ludzie sypiali po dwoje, troje, ale księżniczki sypiały w pojedynkę.

Jako dziecko czasami wykradała się z łóżka i szła do Damii. „Miałam koszmar”, mawiała. Starsza siostra miała do niej cierpliwość. Wygrzebywała się spod kołdry i pomagała jej wdrapać się na swoje wysokie łóżko. Marra przypomniła to sobie z nagłą wyrazistością – zapach suszonej lawendy pod poduszką i sztywność świeżej pościeli. Tak dawno o tym nie myślała.

*Nie pamiętam twarzy Damii, myślała, wpatrując się bezsennie w mrok. Ale pamiętam o lawendzie.*

Zaczęło jej być ciepło w plecy, ale za to zatkała jej się dziurka w nosie. Normalnie odwróciłyby się na drugi bok, ale gdyby teraz tak zrobiła, leżałaby z twarzą wciśniętą w plecy Fenrisa. Żałowała, że nie może spać na płasko, ale w tej pozycji zaczynało jej po chwili brakować tchu. (Kobiety w jej rodzinie nie sypiały na brzuchu po pokwitaniu. Nawet nie próbowała tego robić, odkąd miała czternaście lat).

Znów się przesunęła, wreszcie odnalazła kamień wbijający się jej w biodro i spróbowała go wyjąć spod siebie, nie wierząc się przy tym zbyt mocno. Kościpies wstał, okręcił się trzy razy i ułożył się dokładnie tak samo jak wcześniej.

*Fenris pewnie żałował, że przyjął moją propozycję. Pewnie myśli, że lepiej mu było spać z twarzą niemal wciśniętą w dogasające ognisko.*

*To był głupi pomysł, pomyślała, a potem otworzyła oczy i było już jasno, ciepło przy jej plecach zniknęło, a brązowa kura gdakała, rozzłoszczona, domagając się śniadania.*



Dzień, w którym dotarli do królestwa Marry, był dniem pełnym zaskoczeń, bo nic nie wydawało się takie jak kiedyś.

Granice okazały się nieszczelne i nikt się tym nie przejmował. Wędrowali boczną drogą, przy której nie stała nawet żadna strażnica. Zauważyli jedynie drewniany znacznik z wypalonym zarysem herbu królewskiego, rozpoznawalnym, mimo że smok przypominał węża, a zając – grubego psa. Marra przystanąła przy linii, którą wyznaczał, a potem przekroczyła ją, jakby wchodziła do zimnej wody.

*Powinnam coś poczuć. To mój kraj. Jestem córką królewskiego rodu.*

Ale nic nie poczuła.

Wyjeżdżając z królestwa, spała w powozie i tak przejmowała się znalezieniem pożegnuchy, że nie poświęciła temu uwagi. Tym razem doskonale wiedziała, gdzie się znajduje, świadomie wkraczała na swoje ziemie, więc wydawało się, że powinna czuć się szczególnie.

– Coś nie tak? – zapytał Fenris.

– Urodziłam się tutaj – powiedziała Marra, grzebiąc czubkiem buta w ziemi. – To mój dom. Ale nic nie czuję.

– Ach, tak.

– Poeta Tarus twierdził, że gdy wracał do kraju, ziemia śpiewała mu pod stopami, a jego serce śpiewało wraz z nią.

– Możliwe, że to dotyczy jedynie poetów. – Fenris uniósł rękę, jakby chciał położyć ją na rękojeści miecza, ale się zmytygował i wsadził obie dłonie do kieszeni. – Kiedy wróciłem ze swej pierwszej wyprawy wojennej, dopiero pół godziny po przekroczeniu granicy zorientowałem się, że jestem już na ziemiach mego klanu.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Byłem mokry, zmarznięty i bardzo zmęczony – wyjaśnił. – Zacząłem cokolwiek czuć dopiero wtedy, gdy uświadomiłem sobie, że jestem niedaleko twierdzy i że niedługo będę się mógł rozgrzać. – Wzruszył ramionami. – Ale znów innym razem, gdy wracałem do domu, czułem się, jakbym ozdrowiał z długiej choroby. Wydaje mi się, że to mówi więcej o nas niż o ziemi.

Marra przyglądała mu się, gdy mówił, więc nie umknął jej skurcz bólu, jaki przebiegł przez jego twarz. Szybko ukrył ten przejaw emocji, mocno marszcząc brwi.

– Będiesz mógł kiedyś wrócić na ziemie swego klanu? – zapytała.

– Nie. – Podniósł głowę i rozejrzał się wokół. Ta część krainy nie przybierała barw jesiennych czerwieni i pomarańczy, tylko brązy i żółcie. Wiatr szeleścił

w suchych źdźbłach traw porastających skraj drogi. – Nie. Mogę chodzić po całym świecie, gdzie tylko zapragnę, ale nie mogę przestąpić granic Hardacku.

– Nieodwołalnie? Nie da się poczekać, aż... no, ktoś umrze? Albo aż zapomną?

Przelotny uśmiech oznaczał tylko docenienie jej starań, nie wyrażał radości.

– Nie. Mój powrót wszcząłby bezsensowną jatkę w imię zemsty. Nie skażę moich bliskich na śmieć tylko dlatego, że tęsknię za domem.

– Przykro mi.

– Mnie również. – Tym razem przeblysłk uśmiechu trwał nieco dłużej. – Ale słyszałem, że poza tym to daremna misja i prawdopodobnie wszyscy podczas niej zginieją, więc nie mam po co się tym przejmować.

Wlekli się naprzód przez królestwo Marry, a Kościpies biegał między nimi. Marra przypomniała sobie historie o wygnańcach i zastanawiała się, ilu z nich, podobnie jak Fenris, nie mogło powrócić do domu, gdyż cena była zbyt wysoka.

*A co zrobię ja, jeśli nam się uda? Wrócę do swej celi w klasztorze z nadzieją, że znów wszyscy zostawią mnie w spokoju?*

Nie wyszła za mąż przez księcia Vorlinga. Nie chciał ewentualnych roszczeń do tronu małego królestwa. Czy to się zmieni po jego śmierci?

*Mateczko od Wilgowronów, błagam, nie. Pozwól mi pozostać w cieniu. Pozwól mi być tkaczką i powituchą, nie księżniczką.*

Wzięła głębszy oddech i odsunęła od siebie te myśli. *W końcu to daremna misja i wszyscy podczas niej zginą.* Swojska myśl. Dziwne, że czerpie się z niej spokój.

– Marro? – zwróciła się do niej pożegnucha. – Gdzie mieszka twoja matka chrzestna?

– Matka chrzestna? – Marra z namysłem zmarszczyła brwi. – Nie wiem... Nie, chwilę...

Potała czoło, przegrzebując pamięć w poszukiwaniu starych wspomnień. Chyba matka raz o tym wspominała? To nie było nic ważnego. Widać matka chrzestna nie była nikim ważnym, jedynie drugoplanową rolę w dramacie jej dzieciństwa. Ale wiele lat temu jechały powozem przez pola w drodze dokądś i królowa powiedziała, że jej matka chrzestna mieszka w tej okolicy.

– Chyba nieopodal Trexel – rzekła w końcu. – Jechałyśmy na polowanie z jastrzębiami, a właśnie w Trexel je hodują.

– Jesteś jastrzębniczką?

– Skądże. W królestwie istnieje absurdalna tradycja, że polować z jastrzębiami może jedynie rodzina królewska. Z tego powodu musimy jechać na idiotyczną, pełną pompy ceremonię, podczas której hodowca jastrzębi składa ci ptaka w darze, a ty musisz powierzyć mu zwierzę w pieczę. Dopiero wtedy mogą

z nimi polować. Pewnie w Trexel nadal żyją jeden czy dwa jastrzębie, których teoretycznie jestem właścicielką, ale co niby miałabym z nimi robić? – Przypomniała się jej wyraźniej cała ta ceremonia, a także jasny ptak o oszalałych, czerwonych oczach i gruba, skórzana rękawica na ręce. – W ten sposób jastrzębnicy polują z ptakami i utrzymują ród, który je szkoli... To jakaś rodzina po kądzieli, nie pamiętam herbu... Ale jeśli ktoś zapyta, jastrzębie należą do rodu królewskiego.

Pożegnucha przystanęła, żeby brązowa kura mogła odbyć swą codzienną wędrówkę do plecaka, by znieść jajko.

– Słyszałam o bardziej idiotycznych wymysłach – skomentowała ironicznie. – I mówisz, że twoja matka chrzestna mieszkała gdzieś w pobliżu?

– Tak mi się wydaje. – Marra mgliście przypomniała sobie chwilę, gdy matka, chcąc zająć czymś jadące powozem dzieci, wskazała za okno, mówiąc: „O, tam mieszka wasza matka chrzestna. Interesujące, nieprawdaż?”.

– Wobec tego prowadź do Trexel – zażądała pożegnucha.

Marra skrzywiła się z niechęcią. Nie miała ochoty oglądać kobiety, która posłała jej siostry w ich życiową drogę z tak marnym błogosławieństwem. *No, ale skoro muszę, to mogłabym przy okazji zapytać, dlaczego zmarnowała taką szansę. Przecież mogła temu wszystkiemu zapobiec, zanim w ogóle do tego doszło. Czemu tego nie uczyniła?*

– Dobrze – zgodziła się Marra, czując, jak na dnie jej brzucha wzbiera gniew, który choć raz nie miał wiele wspólnego z Vorlingiem. – Dobrze, ruszajmy więc.

\* \* \*

*Co za ironia!* – myślała Marra. Przebyli bez przygód całe Królestwo Południowe, a zaczepiono ich na jej ziemi.

Marra i pożegnucha siedziały przy studni w małym, szarym miasteczku przy małej, szarej drodze, otoczonej małymi, szarymi poletkami. Nic tutaj nie zwiastowało niebezpieczeństwa. Fenris wytargował z karczmarzem posiłek w zamian za porąbanie drewna. Marra siedziała na cembrowinie, pogrążona w myślach o niczym, gdy nagle na jej stopy padł czyjś cień.

– A wyście kto, do licha? – zabrzmiał gruby, chrapliwy głos.

Marra wyprostowała się gwałtownie, porażona strachem. Musiała przytrzymać się krawędzi kamiennej obmurówki, żeby nie wpaść do studni.

Właściciel głosu nie patrzył jednak na nią. Wysoki, kościsty, tyczkowy mężczyzna, lekko się kiwał. Pijaczyna, pomyślała Marra. *Och, Mateczko od Wilgowronów!*

Tyczka pochylał się nad pożegnuchą.

Ta zdawała się niewzruszona. W innych okolicznościach Marra doceniłaby jej spokój, ale podczas wyjść z siostrą zielarką kilka razy wpadły na pijaków i prawie żadnemu z nich nie podobało się, gdy usiłowały go zignorować. Rozwścieczało ich to. Siostra zielarka potrafiła ich przegadać, zazwyczaj mówiąc, że spieszą do rodzącej, i radząc natrętowi, by poszedł wypić za zdrowie matki i dziecka. Niestety, wydawało się, że to nie zadziała w tym przypadku.

– Jesteś wiedźmą. – Wskazał paluchem pożegnuchę. – A to twój chowaniec? – zarechotał.

Marra rozejrzała się nerwowo. Gdzie ten Fenris? Pewnie za karczmą, rąbie drewno. Niech to. Zatrzymało się przy nich dwóch czy trzech gapiów, ale nikt nie interweniował.

– Wracaj do swojej butelczyny, człeku – odezwała się pożegnucha. – Daj spokój starowince.

Pijak wyciągnął rękę w stronę kury, jakby chciał ją złapać. Daleko mu było do tego, ale pożegnucha i tak się cofnęła. Marra nie miała wątpliwości, że starowinka potrafi się obronić, ale wiedziała również, że jeśli to zrobi, będą musieli w pośpiechu opuścić miasto.

*Zrób coś! Powstrzymaj go! Myśl! Jak chcesz walczyć z księciem, skoro nie potrafisz sobie nawet poradzić z wiejskim pijaczkiem?*

„Wielu mężczyzn nie pomyśli dwa razy, zanim źle potraktuje kobietę, ale habit i święty symbol budzą w nich bogobojny szacunek”. Przypomniawszy sobie te słowa, Marra weszła pomiędzy pożegnuchę a pijaka, przesuając palcami po sznurku, na którego końcu wisiało rzeźbione piórko wilgowrona.

– Nic ci nie zrobimy, synu – rzekła, usiłując naśladować ton przeoryszy.

Pijak zamrugał, zaskoczony.

– A tyś kto?

– Służebnica Mateczki od Wilgowronów. – W myślach pomodliła się o wybaczenie, dorzucając do rachunku sumienia częste podszywanie się pod zakonnice.

Jej modły zostały wysłuchane, bo pijak odstąpił. Marra przez moment miała nadzieję, że już po wszystkim, że podstęp się udał, ale wtedy Kościps zaczął obszcze kiwać natręta.

Może gdyby miał głos, nie miałoby to znaczenia, ale ruchy gardła i szczęk w połączeniu z brakiem dźwięku zwróciły uwagę mężczyzny, który wymierzył psu kopniaka. Z przewidywanym skutkiem.

– Aua! Ta bestia mnie capnęła!

Do licha. Marra chwyciła Kościpsa za obrozę i odciągnęła.

– Ugryzł mnie! – wrzeszczał pijak do rosnącego tłumku. – Widzieliście!

Marra widziała, że Kościpes ledwie drasnął skórę na bucie pijaka. Cofnęła się, ciągnąc psa za sobą. Pożegnucha, mamrocząc coś pod nosem, sięgnęła do jednej z kieszeni. Marra miała nadzieję, że będzie to coś, co uspokoi agresywnego mężczyznę, a nie zabije go na miejscu, pozostawiając im tłumaczenie się z jego trupa.

Nagle ktoś podszedł do nich od tyłu.

– Przepraszam bardzo – odezwał się Fenris.

Marrę zalała fala ulgi. Teraz, jeśli będą musieli uciekać, przynajmniej się nie rozdziela. No i może pijak chętniej posłucha innego mężczyzny niż zakonnicy.

Natręt odwrócił się. Musiał zadrzeć głowę, żeby spojrzeć Fenrisowi w twarz.

– Nie twoja sprawa, stary capie – nadał się.

– Przyjacielu – zaczął Fenris familiarnym tonem – wystraszyłeś te zakonniczki. Daj im odejść w pokoju. Skoro bogowie mają na nie baczenie, my też powinniśmy je mieć, co?

– Ich pies mnie uzał – poskarżył się pijak.

– Ach, cóż, nawet zakonnice mają obrońców, co? Chodź, jestem nowy w mieście, a ty wyglądasz mi na takiego, co może mi powiedzieć, gdzie znaleźć...

Fenris zachowywał się tak rzeczowo, że ulegnięcie mu wydawało się najłatwiejszą rzeczą na świecie. Pijak pozwolił się zaprowadzić do drzwi karczmy, z zapalem rozprawiając o kowalach i chomątach, i wszystko by się udało, gdyby któryś z gapiów nie prychnął:

– Uciekasz przed zakonnicami?

– Niech go – warknęła pożegnucha.

Pijak okręcił się na pięcie. Od tego momentu wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko i prawie jednocześnie. Marra musiała przytrzymać Kościpsa, pijak znalazł się tuż przy niej, w jego ręku coś zalsniło, ktoś wrzasnął, Marra krzyknęła: „Fenris, on ma nóż!”, a Fenris, z niemal przeproszącą miną, podszedł do mężczyzny i rąbnął go dwa razy w łeb.

Pijak potrząsnął głową w oszołomieniu, a Fenris grzmotnął go jeszcze raz. Tym razem moczymorda padł jak długi.

– No to, moje panie, na nas chyba już czas – skwitował Fenris. – Szybko.

Nie biegli, opuszczając miasteczko, ale też się nie ociągali. Marrę ramiona rozboleły od trzymania Kościpsa, który szarpał się, chcąc wrócić i pogryźć ochlapusa.

Gdy dwadzieścia minut później okazało się, że nikt ich nie goni, Marra oprzytomniała, a wtedy dotarły do niej emocje inne niż strach, a najsilniejsza z nich nazbyt, jak na jej gust, przypominała gniew.

– Fenris!

– Tak?

– Mogłeś zginąć! – syknęła. – Ten człowiek miał nóż!  
– Ale wy zdołałybyście uciec – stwierdził Fenris.  
– Ale... – Marra gapiła się na niego oniemiała, niepewna, czy ma ochotę rzucić mu się w ramiona, czy potrząsnąć nim tak, żeby zęby mu zadzwoniły. – A ty byś nie żył!

Wzruszył ramionami.

Marra odetchnęła głęboko. Skąd to wzburzenie? Nie potrafiła sobie wytłumaczyć tej złości, poza tym, że tak bardzo się bała i ten strach nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. *To był tylko pijak. Zamierzasz walczyć z księciem. Znajdziesz się w groźniejszych sytuacjach niż ta.*

– Dość – ucięła pożegnucha. – Wszyscy żyją, chodźmy stąd, póki tak jest.

## ROZDZIAŁ 11



Po dotarciu do Trexel znalezienie matki chrzestnej przyszło im już łatwo. Marra wyobrażała sobie, że pożegnucha skorzysta z magii albo zasięgnie wiedzy u zmarłych, ale ona po prostu przechyliła się przez płot i zwróciła do udręczonej matki trojga drobiazgu.

– Macie tu matkę chrzestną, która błogosławi dzieci?

Twarz kobiety przelotnie się rozpoznała.

– O, tak... Nie bierz tego do buzi! Matka chrzestna. Dobra kobieta... Przysięgam, Owen, że zawlokę cię na targ i sprzedam za trzynogą kozę! Trza iść prosto tą drogą i skręcić tam, gdzie przecina ją strumień, i iść brzegiem, aż do... Dosyć, Owen! Dojdziecie do małego domku z ogrodem i tabliczką. Tabliczka odpadła, ale słupek został. Zazwyczaj oplata go powój, a chyba nie przemarzył jeszcze... Owen! Zostaw w spokoju tego kota!

Wskazówki, w przeciwieństwie do Owena, okazały się dobre. Odnaleźli dom, ogród i słupek z poprzeczką i dwoma przerdzewiałymi ogniwo, na których prawdopodobnie wisił kiedyś szyld. Powój oplatał słupek, ekstrawagancko pysznąc się szkarłatnym kwieciem.

– Dzień dobry! – zawołała Marra do matki chrzestnej, która podniosła głowę znad pielonej grządki. Marra rozpoznała swoją matkę chrzestną natychmiast, mimo że widziała ją tylko raz, leżąc w kołysce. Coś w środku pociągnęło ją ku kobiecie, tak jak żelazo przyciągane jest przez magnes. *To ona. Tam. To właśnie ona.*

Ogród był nieco wybujały, nic, czego nie dałoby się załatwić w tydzień czy dwa, ale wokół roślin wykwiwały chwasty, a pomiędzy zielenią wijących się po tyczkach łodyg fasoli brązowiły się suche, zeszłoroczne pędy. Przygotowania ogrodu do zimy jeszcze się nie rozpoczęły, mimo że lada dzień mogły się pojawić przymrozki. *Dość dużo pracy jak na jedną osobę.*

Matka chrzestna miała twarz osoby życzliwej, ale lekko zaniepokojonej, jakby rzeczywistość ją przerastała. Uśmiechnęła się do Marry z odcieniem troski na krawędzi tego uśmiechu i zaczęła mówić:

– Jak mogę po... – Po czym urwała i głęboka zmarszczka przecięła jej czoło. – Ojej! Jesteś jedną z moich chrześnic! – dokończyła. Upuściła podpore, którą bezowocnie usiłowała wbić przy nadmiernie wybujających pomidorach. Kobieta była mała, krągła, zarumieniona, a na czole perlił jej się pot. Marra patrzyła, jak matka chrzestna ze stęknieniem dźwiga się na nogi i ociera twarz, zostawiając na policzkach smugi ziemi, i nie potrafiła powstrzymać się od porównania jej z wiekową, majestatyczną orlorysą matką chrzestną Vorlinga. Porównanie to nie wypadało na korzyść jej matki chrzestnej. Marra poczuła ukłucie czegoś na kształt rozpacz.

– Zawsze to poznaję – oznajmiła matka chrzestna radośnie. – Mam na imię Agnes! – Wyciągnęła do Marry rękę. Palce miała utyłane ziemią, a we włosach tkwił jej suchy liść pomidora. – Jak to miło zobaczyć jedną ze swoich chrześnic już dorosłą!

*Chyba nie ma bladego pojęcia, kim jestem?*

– Jestem Marra.

Przez furtkę do ogrodu weszła pożegnucha z psem u boku i Fenrisem za plecami.

– Księżniczka Marra.

Pożegnucha wysunęła się naprzód. W kącie ogrodu znajdował się wybieg dla kur, których dreptało tam kilkanaście. Brązowa kura łypnęła na nie władczo, a potem odwróciła dumnie wzrok, w najwyższym stopniu niezainteresowana krewniaczkami. Agnes otworzyła usta ze zdumienia.

– Oooo – rzekła zupełnie innym tonem. – Ty jesteś... Och... – Spojrzała na Kościpsa i oczy zaokrągliły się jej ze zdziwienia. – Och. – Otarła dłonie o spódnicę, zostawiając brudne smugi na tkaninie. – Ach. Rozumiem. Lepiej wejdźcie. Herbaty?

– Z miłą chęcią. – Pożegnucha zaakceptowała zaproszenie skinieniem głowy i wszyscy ruszyli za Agnes do chaty. Wnętrze było zagracone, ale nie brudne, a duże okna wpuszczały wiele światła. Agnes pospieszyła nastawić wodę.

Poczucie bezużyteczności tego wszystkiego spadło na Marrę niczym cios. Ta kobieta błogosławiła je wszystkie darem zdrowia i przepowiedziała Damii księcia za męża. A tymczasem matka chrzestna Vorlinga otaczała całe królestwo magią nieśmiertelności, strzegąc go przed wrogą magią i uzurpatorami.

– Chodźmy stąd – powiedziała cicho. – Ona nam nie pomoże.

Pożegnucha zbeształa ją wzrokiem, a Agnes, która musiała słyszeć jej słowa, nadal parzyła herbatę.



– To świetna herbata – powiedziała. – Konny kupiec ją przywozi, gdy wraca z targu po sprzedaży roczniaków. Błogosławiłam jego najmłodsze dziecko i od tej pory za każdym razem przywozi mi herbatę. Mówię mu, że nie musi, ale herbata jest naprawdę smaczna, a on tak miły, że zawsze o mnie pamięta.

– Czym je pobłogosławiłaś? – zainteresowała się poźegnucha

– Oczywiście zdrowiem. Zawsze obdarzam moje dzieci chrzestne...

– Zdrowiem! – wybuchnęła Marra. Nie sądziła, że potrafi czuć taką wściekłość na tę małą, głupią kobietę, ale oto ona, owinięta tak długo wokół jej serca, nagle znalazła ujście. – Obdarzyłaś Damię zdrowiem i wróżyłaś jej małżeństwo z księciem i owszem, moja siostra była zdrowa, dopóki ten książę jej nie zamordował! Kania też jest zdrowa, a jakże, dlatego za każdym razem udaje się jej przeżyć lanie, jakie jej spuszcza, i te wszystkie ciąży, w które musi bez przerwy zachodzić. Zdrowie! Co ty sobie wyobrażałaś?!

Matka chrzestna zastygła, przygarbiona, z rękami zaciśniętymi na brzegach małej miednicy na statki. Dopiero po chwili powolnym ruchem sięgnęła po herbatę.

W chacie panowała głucha cisza, przerywana odgłosami parzenia herbaty, a potem stukotem czajnika o blat stołu. Agnes rozstawiła kubki. Oczy miała pełne łez i Marra, mimo że nadal rozgniewana, poczuła zawstydzenie. Ręce matki chrzestnej drżały, więc poźegnucha wyjęła jej czajnik z dłoni i sama rozlała herbatę do naczyń.

– Zawsze błogosławię dzieci zdrowiem – powiedziała Agnes, zaciskając palce na kubku. – To dobry dar. Tracie tyle dzieci, co roku umierają na gorączkę. A żadne z moich nigdy na nią nie umarło.

W głowie Marry zrodziło się pewne podejrzenie, ale to poźegnucha je wyartykułowała.

– Zdrowie to jedyny dar, jaki możesz ofiarować dziecku, prawda?

Agnes przytaknęła skinieniem głowy.

– Jedyny, którego ktoś mógłby pragnąć.

– Ale powiedziałaś też, że Damia poślubi księcia... – Marra pozwoliła, by zdanie zawisło w powietrzu.

– Zdawało się to bardzo prawdopodobne – rzekła Agnes, wbijając wzrok w kubek. – Była najstarszą córką króla i królowej. Pomyślałam, że pewnie wyjdzie za księcia. – Otarła łzy wierzchem dłoni. – Zdrowie to dobry dar – dodała roztrzęsiona.

– To bardzo dobry dar – stwierdziła poźegnucha tonem niepozostawiającym miejsca na wątpliwości. – Wielu ocalałaś nim życie.

Matka chrzestna uśmiechnęła się niepewnie, a na stół spadła zlekceważona łąza.

Marra zaczęła się czuć jak potwór.

*Ona nie ma żadnej potężnej mocy, która mogłaby cię ocalić. Starła się, zrobiła, ile mogła. Poza tym nigdy w życiu poważnie nie chorowałaś, prawda? I wyzdrowiałaś z gorączki. Gdyby nie ona, Kania mogłaby nie dożyć szansy na ocalenie.*

– Wybacz mi – powiedziała nadal zła, teraz już na świat, skoro nie na Agnes, ale wypadło to blado. Spróbowała jeszcze raz. – Nie powinnam cię obwiniać. Nie wiedziałam... – Uczyniła nieokreślony gest.

– Już dobrze. – Agnes wyciągnęła rękę i poklepała powietrze w pobliżu Marry. – Nie wiedziałam, że twoje siostry... – Kolejna łza spłynęła jej po policzku. – Tak mi przykro, moja droga. Żałuję, że nie obdarzyłam ich czymś lepszym. Zrobiłabym to, gdybym mogła. – Uśmiechnęła się, choć wargi nadal jej drżały.

– Bez urazy – odezwał się Fenris po raz pierwszy, odkąd dotarli do chatki. W niewielkiej przestrzeni, po rozmowie kobiet, jego tubalny głos brzmiał niczym grzmot. – Ale dlaczego matka chrzestna z tak specyficznym, choć wielce użytecznym talentem, została wybrana na matkę chrzestną rodu królewskiego?

Marra podziwiała jego dyplomację. Gdy mówił, że wiele lat był wojownikiem i dyplomata, większą wagę przykładła do tej części o celnym mieczu niż do tej o sprawnym języku.

– Ach. – Agnes znów otarła łzy. – Nikt ci nie powiedział, Marro?

– O czym?

– Jestem królewską matką chrzestną – rzekła i uśmiechnęła się już pewniej, nawet jeśli skromnie – ponieważ jestem też twoją praciotką Agnes.

\* \* \*

*No oczywiście, że jesteście krewnymi, westchnęła Marra w duchu. Oczywiście, że matką chrzestną o nikłych możliwościach jest ktoś z rodziny. Wszyscy jesteście nikli i świat nas przerasta. Może to defekt płynący w naszej krwi? Ale w sumie ma to sens. Czemu niby Królestwo Portowe miałoby w ogóle mieć swoją matkę chrzestną? Moc przyciąga moc, jak mówi pożegnucha. A my mamy jej tak mało, że stać nas było tylko na krewniaczkę, i to słabą.*

– Nie wiedziałam, że w królewskiej krwi tkwi w ogóle jakaś magia – powiedziała.

– Bo jej nie ma – odparła Agnes. – A mój ojciec, król i twój prapradziadek, był generalnie wiernym mężem. Dlatego właśnie to takie dziwne. Pewnego dnia na polowaniu spotkał kobietę, która go zauroczyła. Kochali się dwa razy, zanim się zorientował, że ma ona krowie kopyta. Wtedy od niej uciekł. Jedenaście miesięcy

później przybyła do pałacu. To był... no, nie do końca skandal... Była bardzo dyskretna.

Pożegnucha sama z siebie dołała jej herbaty. Agnes wzięła mały łyżeczek i ciągnęła mocniejszym głosem.

– Oczywiście, twoja babka wiedziała. Ale że kobieta przyszła, nie kryjąc swych krowich kopyt, nie winiła męża, wiedziała bowiem, że był pod wpływem uroku. Myślę, że może chciał, żeby mnie zabito, aby zadośćuczynić żonie za zdradę, ale ona powiedziała, że należę do rodziny, nawet jeśli jestem bękartem, i nie pozwoliła pozbawić mnie życia. – Agnes łyknęła herbaty. – Oczywiście, nie zostałam w pałacu. Stara królewska niańka przeszła na emeryturę i odesłano mnie do niej. Sama nie mam krowich kopyt. – Uśmiechnęła się szeroko, przelotnie. – Bo pewnie zastanawiacie się, co mam w butach! Nie kopyta. Ale w moich żyłach płynie wystarczająco dużo magii, żebym mogła zostać matką chrzestną. – Westchnęła, a uśmiech spelzł jej z twarzy. – Zawsze się zastanawiałam, czy gdyby matka mnie wychowywała, byłabym potężniejsza. Podejrzewam, że wiązała ze mną jakieś plany, ale pewnie nie spełniłam jej oczekiwań. Nie myślcie sobie jednak, że ktoś kiedyś traktował mnie niemilo. Co to, to nie! I oczywiście, kiedy mogłam zostać matką chrzestną, królowa poprosiła, żebym się ujawniła i błogosławiła jej dzieci. W ten sposób chyba chciała podkreślić, że należę do rodziny. Była dla mnie bardzo łaskawa. Nie musiała, a jednak była.

Marra spojrzała w szczerą, życzliwą twarz matki chrzestnej i poczuła, że była wobec niej niewymownie okrutna.

*Jak mogłam pomyśleć, że mnie zaniedbała? Dlaczego nie przyszło mi do głowy, że może zrobiła dla mnie wszystko, co w jej mocy?*

Odpowiedzi na te pytania nasunęły się niemal natychmiast. Przez księcia Vorlinga. Ponieważ jedyna matka chrzestna, którą widziała jako dorosła kobieta, miała wielką moc, Marra założyła, że każda jest taka sama. *Vorling i jego królestwo mają ochronę przed wrogą mocą, a my mamy czarownicę, która jest wdzięczna, że własny ojciec nie skazał jej na śmierć i że jej własna rodzina okazała jej strzępek uznania. Na zęby świętych.*

Gniew, który się w niej tlił, zyskał nowy cel. Jak mogli porzucić Agnes w tej chacie pośrodku niczego? Gdyby nie miała teraz tylu spraw na głowie, natychmiast zabrałaby praciotkę do pałacu i zażądała, by traktować ją jak prawowitą członkinię rodu.

*Czyli jak? Miałaby zostać zabrana ze swojego domu i żyć w pałacu, którego nie zna? Pod czujnymi oczyma dworaków, śledzącymi każdy jej ruch? Odarta z prywatności?*

*Zmuszona do małżeństwa z potworem, by przypieczętować sojusz?*

Marra ukryła twarz w dłoniach i usłyszała własny, zdławiony śmiech. Słyszała też, że pożegnucha przyciszonym głosem wyjaśnia matce chrzestnej, jakie plany mają wobec Vorlinga, oraz reakcję tej drugiej: „Ojej!”.

Poczuła uścisk na ramieniu. Fenris. Miał ciepłą dłoń, a Marra pochyliła się ku niemu lekko, czerpiąc siłę z jego dotyku. Może mogłaby się go poradzić, jak pomóc Agnes? Miał doświadczenie w dyplomacji, w przeciwieństwie do niej. Była w końcu przede wszystkim zakonnicą, a tylko odrobinę księżniczką, i nigdy nie czuła braku tego rodzaju umiejętności tak dotkliwie jak przez parę ostatnich tygodni.

Kościpies przewrócił się na grzbiet i majtał łapami w górze. Agnes popatrzyła na niego z namysłem.

– Jest magiczny, prawda? No, nie tak jak chowaniec. Nie bardzo wiem, jak to określić. Ale jest?

– Okrywa go ułuda – rzekła Pożegnucha. – Spójrz na niego z boku.

– Nie... – Agnes zmrużyła oczy. – Czekaj... – Przekręciła głowę i spojrzała bardziej z ukosa. – Och! Jest cały z kości! Biedaczek!

– Nie sądzę, by czuł się z tym źle – stwierdziła Marra.

– Cóż, ostatecznie jest psem. Psy nie mają pojęcia, jak powinien wyglądać świat, więc nie przeszkadza im, jeśli tak nie wygląda. Chyba z wyjątkiem owczarków – dodała Agnes po chwili. – Te mają porządek w głowach, więc ciągle podgryzają, denerwują się i usiłują wszystko poukładać. Oczywiście bywają też tacy ludzie.

– I jest ich wielu – zadudnił Fenris. – Są albo świetnymi organizatorami, albo strasznymi fanatykami. W tym typie nie ma nic pośrodku.

– Tak – zgodziła się Agnes. – No dobrze. Cóż, widzę, że nie ma wyjścia. Wobec tego pójde z wami, dobrze?

Marra wpatrywała się w nią oszołomiona.

– Kania jest moją siostrzenicą. A jej dziecko może prasiostrzenicą. Albo prasiostrzeńcem. – Potarła twarz. – A może praprasiostrzenicą albo praprasiostrzeńcem? Zawsze mi się to myli. Ale tak czy siak, jest w niebezpieczeństwie, więc idę z wami.

*Nie, pomyślała Marra. To absurd! Przecież zginie.*

*...Nie mówiłaś sama, że to daremna misja i wszyscy zginiecie? Tak, ale nie chodziło mi... Nie o...*

– Świetnie – zaaprobowowała pomysł pożegnucha. – Cieszę się, że będziemy mieć ze sobą matkę chrzestną. Istnieje magia i magia, martwych i żywych, a ja posługuję się tylko jedną.

– Ja nie wiem, w jakim stopniu potrafię posługiwać się moją – zastrzegła Agnes. – Ale pomogę, na ile będę mogła.

– Ale... – Marra czuła, że powinna temu zapobiec, ale nie wiedziała, jak wyrazić myśl: Agnes jest całkiem nieprzydatna, nie widzicie tego?

*Równie nieprzydatna jak księżniczka-hafciarka?*

Utkwiła wzrok w herbacie.

Marra pamiętała, jaka bezużyteczna się czuła, a jednak udało jej się jakoś zebrać Kościpsa, pożegnuchę i Fenrisa. Może... Może w tym wypadku będzie tak samo? Machinalnie dotknęła rzeźbionego pióra wilgowrona. Może święta ją prowadzi?

– Dobrze – powiedziała, nie patrząc na Agnes. – Dobrze. Dziękuję.

– A więc jest nas pięcioro – Fenris z zadowoleniem objął spojrzeniem pozostałą czwórkę.

Marra pochyliła się i podrapała Kościpsa po grzbiecie, aż ten zaczął kłapać zębami z rozkoszy.

– Pięcioro to pięść. Pięcioro to ręka na gardle wroga.

– Z tego wynika, że jesteśmy palcami – rzekła Marra i zamknęła swoje palce na kręgosłupie Kościpsa, podniesiona na duchu dotykiem twardych krawędzi. – Ty jesteś kciukiem – powiedziała do niego. Kościpies pomachał ogonem.

\* \* \*

Tej nocy spali na podłodze w chacie matki chrzestnej, przy palenisku. Agnes przyniosła dodatkowe koce, więc Fenris dostał swój własny i nie musiał już spać pod jednym z Marra.

Marra powinna być z tego zadowolona. Znów miała cały pled dla siebie i nie musiała już się martwić, że będzie go budziła swoim wierceniem się.

*Oczywiście, przez moją przekorę nic nigdy nie jest takie proste.*

Było jej zimno w plecy, były takie odsłonięte. Miała wrażenie, że lada moment coś ją zaatakuje z tyłu. Wyobraźnia formowała z mroku demony – utopionego chłopaka, Zębipląsa... a każdy wyciągał ręce, żeby ją złapać.

Jesteś śmieszna. Przecież tu jest bezpieczniej niż na drodze. A dzieliałś z nim koc przez niecałe dwa tygodnie. To za krótko, żeby przywyknąć do spania z kimś. To idiotyzm.

*A poza tym on jest... No, jaki?*

Kościpies przekręcił się na grzbiet i machał łapami w powietrzu.

Słyszała równomierny oddech Fenrisa.

*Dorośnij, Marro. Chcesz przecież uratować siostrę i zabić potwora.*

*To nie czas na płocze uczucia. Na to masz zbyt wiele na głowie.*

Nieopodal paleniska stał kosz z włóczką.

Marra przesuwała się w jego stronę wraz z kocem, aż w końcu mogła się oń oprzeć plecami. Natychmiast zrobiło jej się lepiej.

*No. I widzisz? Pomogło, a to nie on. Niepotrzebnie się denerwujesz. To nic nie znaczy. On jest tylko towarzyszem podróży. Nikim więcej...*

Myśl ta przyniosła jej tak wielką ulgę, że nie mogła być prawdziwa, ale Marra pocieszyła się nią i odpłynęła w sen, wsłuchując się w odgłos oddechu Fenrisa.

## ROZDZIAŁ 12



Rozum podpowiadał Marze, że nigdy nie było szansy na wczesny wymarsz. *I nie powinnam się tym tak przejmować. Jeden dzień więcej czy mniej nie robi różnicy. Skoro zależało mi na czasie, mogłam się do tego zabrać dużo wcześniej.*

Tak czy owak była rozczarowana, gdy słońce wspinało się po niebie coraz wyżej, a potem minęło południe, a ona wciąż nie widziała żadnych oznak niedługo wyruszenia w drogę. Agnes przyrządziła gigantyczne śniadanie, żeby zużyć szybko psujące się produkty ze spiżarni, a potem pakowała się, rozpakowywała i przepakowywała, a gdy przystępowała do trzeciej rundy, do akcji wkroczył Fenris, subtelnie proponując, że poniesie dodatkowy ciężar.

– Jesteś pewien? – zapytała matka chrzestna, trzepocząc powiekami.

– Tak, oczywiście. Ale będę miał prośbę, żebyś użyczyła mi koc lub dwa na drogę – rzekł, co sprawiło, że Agnes rzuciła się szukać dla niego okryć, zostawiając niespakowane rzeczy na stole.

– Wydaje się, że... łatwo ją rozproszyć – stwierdziła Marra, która postanowiła unikać ostrych słów po tym, jak poprzedniego dnia zachowała wobec matki chrzestnej jak ostatnia gburzyca.

Pożegnucha również wydawała się rozkojarzona, gdy ze ściągniętymi brwiami wodziła wzrokiem za Agnes.

– Coś nie tak? – zaniepokoiła się Marra.

– Hmm. – Pożegnucha potrząsnęła głową. – Nie, to nic niepokojącego. Raczej interesującego. Ale myślę, że to rozwikłam.

Marra zmarszczyła nos.

– Interesującego w sensie ciekawego czy interesującego w sensie niebezpiecznego?

Pożegnucha patrzyła w korytarzyk, z którego dobiegał głos Agnes:

– Ojej! A ten ma dziurę...

Wreszcie wyruszyli. Marra pomyślała, zmartwiona, że dobrze by było, gdyby zrobili choć pięć mil, zanim będą musieli rozbić obóz na noc, ale gryzła się w język. Przynajmniej już byli w drodze. *Poza tym właśnie przewróciłaś życie tej kobiety do góry nogami i nawrzeszczałaś na nią, że jest beznadziejną matką chrzestną. Pół dnia to znów nie dramat.* Zaczerwieniła się i wbiła wzrok w trakt przed sobą, zakłopotana własną frustracją.

*To dlatego, że jesteś do niej podobna. Jak mawiała przeorysza? Że w bliźnich najbardziej irytują nas własne wady. Ile tobie zajęło opuszczenie zakonu?*

Agnes, pozostająca w błogiej nieświadomości myśli kotłujących się w głowie Marry, wędrowała u boku pożegnuchy. Od czasu do czasu drapała brązową kure pod dziobem, a ta, choć do głębi urażona, wydawała się zbyt zaskoczona, by protestować.

– Jak zostaje się matką chrzestną? – zapytała pożegnucha. – Trzeba przejść jakieś szkolenie?

– Och, kochana moja! Chciałabym! Chyba można się kształcić w tej dziedzinie, jeśli zna się właściwych ludzi. Ale ja ich nie znałam. I nie znam. – Agnes zamachała rękami. – Wiedziałam tylko, że takie osoby jak ja mogą zostać matkami chrzestnymi, więc sama się uczyłam. Ćwiczyłam.

– Ale jak się ćwiczy coś takiego?

– Głównie na kociakach. Błogosławiłam każdego kota w okolicy, odkąd miałam dziewięć czy dziesięć lat. I kaczątką. A kiedy i ich zabrakło, myszy. – Agnes przygryzła dolną wargę. – Próbowałam z każdym darem, jaki przyszedł mi do głowy. Żeby żyły długie lata, żeby znalazły miłość, żeby nigdy nie zaznały głodu. Nic nie działało. To się czuje, kiedy zadziała, rozumiesz... To jakbyś tupnęła nogą, a potem zobaczyła ślad. Widzę ślady po błogosławieństwie. Marra nadal swój nosi. I Fenris... – Twarz ściągnęła się jej w zadumie. – Masz matkę chrzestną, prawda?

– Nie nazywamy ich tak w Hardacku, ale wydaje mi się, że nasze jarluchy pełnią tę samą funkcję. Widzisz to?

– O tak. Będiesz żył honorowo i nigdy się nie zawahasz. Twa tarcza nigdy nie pęknie.

Zestawienie powagi tych słów z cienkim, wesolutkim głosikiem Agnes rozbawiło Marrę. Fenris uśmiechnął się szeroko.

– Właśnie. I żadna z moich tarcz nie pękła podczas walki. A miałem ich niemało przez te wszystkie lata.

– A klątwy? – zapytała pożegnucha. – Słyszysz się tyle opowieści o matkach chrzestnych rzucających na dzieci klątwy.



– Nie wiem – przyznała Agnes, kręcąc głową. – Myślałam o tym i doszłam do wniosku, że może te matki chrzestne miały moc obdarzać jedynie przekleństwami? Od razu po tym nasuwa się wniosek, że może na świecie jest dużo matek chrzestnych, ale nie wypełniają swojego przeznaczenia, ponieważ ich dary są przeklęte.

– Nigdy nie próbowałaś rzucać klątw?

Agnes spuściła głowę, żeby ukryć rumieniec wstydu. Pożegnucha nie popuściła, niczym kura, która upatrzyła sobie robaka.

– Ach, próbowałaś. I odkryłaś, że możesz je rzucać, prawda?

– Nie powinnam była tego robić – wyszeptała Agnes. – To była mysz. Powiedziałam jej... powiedziałam, że umrze przed siedemnastymi urodzinami... Czytałam taką historię o przeklętej w ten sposób księżniczce... Cóż, nie powinnam była tego robić, ale... Klątwa się przyjęła. Poczułam to. Była jak czarna plama na przyszłości tej biednej istotki. – Potarła oczy. – Próbowałam sobie wmawiać, że myszy i tak rzadko dożywają dwóch lat. Większość żyje znacznie krócej. Ale co, jeśli trafiłam na wyjątkowo długowieczną mysz i ją przeklęłam?

*Słodka Mateczko od Wilgowronów! Ona naprawdę się przejmuje, że mogła odebrać jakiemuś gryzoniowi szansę na zostanie najstarszą myszą świata...*

– Mówiłaś wcześniej, że zdrowie to jedyny dar, jaki ktokolwiek by chciał – przypomniała pożegnucha. – Są inne, którymi potrafisz obdarzać chrześniaków? Takie, których twoim zdaniem nikt by nie zechciał?

Wijąc się w tym krzyżowym ogniu pytań, Agnes znów zwiesiła głowę.

– Tak. Bujny wąs. Nieprzydatny dla nikogo poza kotami i myszami. Nie błogosławi się ludzkich dzieci bujnymi wąsami. To by nie zadziało... A jeśli?

Marra wyobraziła sobie, jak niemowlęciu w kołysce nagle sypie się obfity wąs, i musiała zakryć dłonią usta.

– No, to byłoby interesujące – skwitowała Pożegnucha.

– Nie! – oświadczyła Agnes z zaskakującą stanowczością. – Nie. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. To nie w porządku wobec dziecka. Nieuczciwe.

– Pewnie masz rację. – Pożegnucha nie wydawała się do końca przekonana. – A jakieś inne dary udało ci się odkryć?

– Cóż, obdarowałam dwa mioty myszy błogosławieństwem, żeby nie zjadły ich koty. Ale to również niezbyt przydatne dla dziecka. A potem pewnego razu pobłogosławiłam kotkę, żeby rodziła samych pięknych, silnych synów.

Cała trójka spojrzała na Agnes uważnie. Kościpies, wyczuwając ich poruszenie, zaskomlał.

– Właśnie czytałam taką książkę, gdzie był król i królowa, i ona powiła mu... Miałam wtedy dwanaście lat! Nie przewidziałam, co się stanie!

– A co się stało? – zapytała Marra. W głowie rozbrzmiewało jej echo słów matki, raz po raz, jak podzwanie monety w zebraczej misce. *Oby Kania urodziła teraz syna. ...Balansuje na grzbiecie smoka, a całe nasze królestwo wraz z nią... Oby urodziła syna... Urodziła syna...*

– To było straszne – westchnęła Agnes. – Miała sześć miotów i w każdym same kocurki. Stodoła została przez nie całkowicie przejęta. Nic, tylko walki i obsikiwanie kątów, a w przerwach wrzaski.

– Zupełnie jak w koszarach – skwitował Fenris tęskno.

– Ciekawe, ciekawe – mruknęła pożegnucha. – Więc masz bardziej zróżnicowaną moc, niż twierdzisz, ale obdarzasz chrześniaków tylko zdrowiem.

– Dar zdrowia nie może obrócić się przeciwko dziecku – wyjaśniła Agnes. – A reszta owszem. Jeśli pobłogosławisz mysz nieustającą radością, wbiegnie beztrąsko prosto w kocie łapy i zostanie zjedzona. A przecież nikt nie żałuje, że jest zdrowy.

– Co powiedziała matka chrzestna księcia? – zapytała pożegnucha, zwracając się do Marry. – Powtórz dokładnie jej słowa.

Marra wysiliła pamięć, przywołując obraz stareńkiej matki chrzestnej, szkieletu obciążonego przezroczystą skórą.

– Będę jej służyła tak, jak służyć całemu rodowi, a moje życie zwiąże się z jej życiem, jak splecione było i jest z życiem jej przodków. Żadna obca magia im nie zaszkodzi. Żaden wróg nie odbierze im tronu. Jak było ze wszystkimi dziećmi królewskiego rodu, niech będzie i z nią, póki bije me serce.

– Och, to bardzo dobre błogosławieństwo – westchnęła Agnes z żalem. – Potężne. Ja bym tak nie umiała.

– Z tym będziemy się mierzyć – rzekła Marra. – Vorlinga nie można zranić obcą magią. Pewnie wrogowie rzucają na Królestwo Północne klątwy, ale te się ich nie imają. – Przypomniała sobie króla, przedwcześnie postarzałego i zniedołężniałego. – Ale to wysysa z nich siły życiowe. Chciałabym, żeby Vorlinga pozbawiało ich dużo szybciej.

– A czy jego gwardzistów można zranić za pomocą magii? – zapytał Fenris.

– Jak to?

– Cóż, jeśli Pani Lisica zdołałaby ich uspić, mógłbym przeszyć go ostrzem.

Pożegnucha parsknęła, a oczy Agnes zrobiły się wielkie jak spodki.

– No co? – obruszył się Fenris. – Prosty plan to najlepszy plan.

– Masz rację, ale wątpię, bym zdołała uspić cały pałac – wyjaśniła pożegnucha. – Szczególnie że nigdy dotąd nie usypiałam więcej niż jednej osoby naraz. Mam wiele talentów, łącznie z umiejętnością wskrzeszania umarłych, ale kołysanki to nie u mnie.

– A może dałabyś radę odwrócić jakoś ich uwagę? Przynajmniej na chwilę, żebym zdążył go zadźgać?

– Z pewnością nie na tyle długo, byś zdołał uciec. To nie jest według ciebie konieczne, co? – dodała na widok miny Fenrisa.

– Owszem, jest – warknęła Marra rozeźlona. – Absolutnie konieczne.

– Dobrze już, dobrze. – Fenris uniósł ręce w geście poddania. – Żadnych finałowych scen chwalebnej śmierci, chyba że w ostateczności. Hmm. A może potrafiłabyś wskrzesić armię umarłych, którzy walczyliby z gwardią przyboczną księcia?

Pożegnucha przewróciła oczyma.

– Armia umarłych wydaje się świetnym pomysłem, dopóki nie staniesz na czele szeregów ślepych, wyschniętych skorup, które potrafią tylko mordować, mordować i nie mogą przestać. Równie dobrze moglibyśmy ściągnąć na miasto plagę, wrzucając zwłoki do studni.

– Prawda, nie zgodziłbym się na coś takiego – przyznał Fenris. – No dobrze. W takim razie żadnych armii umarłych.

– Potrafiłabyś to zrobić? – zapytała Marra niepewnie.

– Nie wiem – wzruszyła ramionami pożegnucha. – Nigdy nie musiałam.

– Ale gdybyś musiała, wiedziałabyś, jak to zrobić?

Furkot piór i ruch oznajmił wychodzenie brązowej kury z plecaka. Nioska przewędrowała po ramieniu pożegnuchy i usadowiła się z powrotem na swojej grzędzie na kosturze, zawadiacko przekrzywiając grzebień.

– Wiedziałabym, od czego zacząć – przyznała w końcu pożegnucha. – Choć przypuszczam, że o wielu rzeczach się nie wie, dopóki nie spróbuje się ich zrobić. Ale to jest możliwe i takie armie wskrzeszano w przeszłości. – Zmierzyła Marrę surowym spojrzeniem. – Niech cię jednak nie poniesie wyobraźnia. Mamy dokonać prostego królobójstwa, a nie zrównać miasto z ziemią.

– Tak, psze pani – powiedziała Marra potulnie i spuściła głowę.

\* \* \*

Dzięki umiejętnościom rębackim Fenrisa nocowali w stodole. Rolnik nawet dorzucił z własnej woli posiłek złożony z solonych ziemniaków i dał im na drogę jabłka.

– Przysięgam, że nie zabrałam cię, żebyś rąbał drwa – zastrzegła Marra.

Fenris roześmiał się, rozbawiony. Starsze kobiety poszły spać, pozostawiając ich siedzących przy małym ognisku, rozpalonym w sporej odległości od stodoły.

– To nic takiego – powiedział. – Dokonałem w życiu tylu niezwykle ważnych czynów, takich, od których zależało ludzkie życie i tym podobnych. Rąbanie

drew sprawia mi niekłamaną przyjemność. Jeśli siekiera mi się omsknie, to nic strasznego się nie dzieje. Jeśli szczapa jest nierówna, to nic, bo i tak będzie się paliła. Jeśli ułożę krzywy stos, to żaden klan przez to nie upadnie.

– To musiało być trudne.

– Hm. Czasem było. – Popatrzył na nią w zamyśleniu i Marra nagle odkryła, że ma oczy barwy rozgrzanej słońcem ziemi, i nie bardzo wiedziała, co z tym odkryciem zrobić. – Ale ty przecież znasz to z własnego doświadczenia, prawda? Jesteś córką i siostrą królowych, więc pewnie nieraz od twoich działań zależało ludzkie życie.

Marra gwałtownie wciągnęła powietrze. Fenris dźgnął patykiem ognisko.

– Wybacz. Nie chciałem cię zdenerwować.

– Nie, nie, to nie przez ciebie. Ja... Tak, mam za dużo władzy jak na kogoś, kim jestem. W końcu matka odesłała mnie z dworu, a teraz wiem, że to po części przez to, że nie jestem dobra w tych sprawach. Ale tak w zasadzie nie mam władzy. Jestem tylko pionkiem na szachownicy w rozgrywce, którą toczą inni. Ulżyło mi, kiedy zostałam odesłana do klasztoru. Gdy musiałam go opuszczać, na chrzciny albo pogrzeby... – Otuliła się szczelniej płaszczem z pokrzyw. – To dlatego lubię robótki.

Fenris uniósł brew.

– To jak z twoim rąbaniem drewna. Od haftowania nic nie zależy. Jest ono tylko tym, czym jest, i nie muszę się martwić, że zrobię coś źle i doprowadzę do zwolnienia moich nauczycieli albo że zlekceważę kogoś ważnego, przez co inne królestwo nie będzie już z nami handlowało. Mogę tworzyć obrazy, wzory, a jeśli się pomylę, mogę to spruć i nikt przez to nie zginie. – Odetchnęła głęboko. – Przy tym nie liczy się to, że jestem księżniczką, nici są obojętne.

Wpatrywała się w ogień i nie spodziewała się, że z ciemności wyłoni się ręka, która ujmie i ściśnie jej dłoń.

– A jednak spójrz na nas. – Ciepły kciuk leżał na jej dłoni jak belka. Fenris miał bardzo duże dłonie, dużo większe niż jej, a odciski od miecza i topora znacznie większe niż te, których ona się dorobiła, czyszcząc stajnie. – Wolni od obowiązków, znów bierzemy na swoje barki odpowiedzialność.

– Muszę uratować siostrę. Jedną już straciłam. – Marra roześmiała się i we własnym śmiechu usłyszała nuty goryczy. – Kania nawet za mną nie przepada, tak sędzę. Ale i tak muszę to zrobić.

– I bardzo prawdopodobne, że tego nie przeżyjemy. – Odruchowo gładził jej dłoń. Nie dałaby głowy, że wie, co robi.

– Przeżyjemy – powiedziała, złapała jego rękę w swoje i uściśnęła mocno, prawie boleśnie. – Przeżyjemy, Fenrisie.

Uśmiechnął się półgębkiem i lekko skinął głową. Czuła, że chce ją tylko pocieszyć. Przypomniała sobie wyraz jego oczu, kiedy nawrzeszczała na niego, że mógł zginąć w bójce z pijakiem. On nie chce umrzeć, według mnie nie chce, ale... jakby się tego spodziewał. Jakby to było nieuniknione.

Jakby go to nie obchodziło.

– Przypuśćmy, że przeżyjemy. Co potem?

– Nie wiem. – Marra znów zapatrzyła się w płomienie. – Pewnie wrócę do klasztoru i swoich robótek.

– Uhm. – Uścisnął jej dłoń jeszcze raz, a potem puścił ją, żeby dorzucić do ognia. – Cóż, jeśli usłyszysz, że jakiś klasztor potrzebuje dobrego rębacza, to tak się składa, że znam jednego...

\* \* \*

Dwa dni później dotarli do stolicy Królestwa Północnego. Marra trzymała głowę nisko, żeby nikt jej przypadkiem nie rozpoznał, więc oglądała głównie stopy pożegnuchy. Kiedy wspięli się na niewysokie wzniesienie, pożegnucha przystanęła i Marra po raz pierwszy od dłuższego czasu podniosła wzrok.

Miasto księcia pyszniło się przed jej oczyma, bieląc się nieskończoną spiralą murów wiodących do pałacu Północnego. Przez bramy wlewała się rzeka ludzka, znikając w trzewiach miasta. Marra nie mogła pozbyć się myśli, że tyle ludzi, setki, tysiące, żyje w tym mieście, jest wiernych księciu, a ona kimże jest? Cóż może pięcioro przeciwko nieprzebranym masom? Co mogą zdziałać?

*To nas przerasta, myślała ponuro. Mamy wielkie plany, ale jak się one mają do rzeczywistości? Najprawdopodobniej wejdziemy do miasta, popatrzymy na pałac, będziemy rozmawiać, planować i znów dyskutować, a w końcu zdamy sobie sprawę, że nic nie możemy zrobić, i opuścimy miasto. Tak właśnie, w przeciwieństwie do legend, toczą się sprawy w prawdziwym życiu.*

Ciężar tych myśli stał się nagle taki rzeczywisty, materialny, przytłaczający. Zalegał w żołądku ołowiem, przygniatał pierś i nim Marra się spostrzegła, zatoczyła się na pobocze, gdzie, poza nurtem pielgrzymów i kupców, osunęła się na kolana. Nikt z przechodzących nie poświęcił jej nawet spojrzenia. Brudna, zapłakana kobieta była niczym wobec widoku jasnego, zimnego, kamiennego miasta przed nimi.

Kościpies pierwszy zauważył, co się stało. Wsparł się łapami o jej barki i zaczął gorączkowo lizać ją po twarzy. Ułuda była na tyle silna, że Marra czuła wilgoć jego języka, który jednak nie mógł zetrzeć jej łez.

– Dobry piesek – wyszeptwała Marra. – Dobry piesek.

Kościps naprawdę był dobrym psem. Nawet jeśli jego pani nie zdołała ocalić siostry ani swojego królestwa, to przynajmniej dokonała jednej dobrej rzeczy – dała Kościpsu drugą szansę.

Fenris przypadł do niej i objął ją ramieniem, jak na targowisku goblinów. Gdy ją dźwignął, jego wielka siła już nie szokowała. Pomógł jej dojść na trawę, dalej od tłumu.

*Fenris. Tak. Istnieją na tym świecie dobrzy mężczyźni i ja takiego spotkałam. I bez względu na to, co się stanie, jest on moim przyjacielem.*

– Spokojnie – mówił do niej Fenris. – Spokojnie. Boli cię coś?

Pytanie było tak oczywiste, przyzwoite i nedorzeczne, że zaczęła się śmiać, tym urywanym śmiechem, który przychodzi przy łzach.

– Nie, nie – zaprzeczyła. – To tylko... – Wskazała na miasto. – Nigdy nam się nie uda, prawda? To jakiś absurd. Nie damy rady. To niewykonalne.

– Uszyłaś płaszcz pokrzywową nicią – przypomniała pożegnucha, stając nad nią – zbudowałaś psa z kości, a teraz przejmujesz się, że coś jest niemożliwe? – Tak gwałtownie pokręciła głową, że wszystkie flaszeczki i słoiczki w jej kieszeniach zagrzechotały jak szpilki jeżozwierza.

Marra poczuła się zawstydzona, nie tylko tym, że ciągnęła ze sobą innych w tę idiotyczną misję, ale też że zafundowała sobie załamanie na środku traktu.

– Przepraszam – wyszeptała.

Fenris pomógł jej wstać. Ręka wojownika na jej plecach była taka ciepła i silna. Ogon Kościpsa smagał ją po łydkach.

– Och, słonko – zakwiliła Agnes, ujmując ją pod ramię. – Wszystko w porządku. Trochę to przytłaczające, prawda? – Wygrzebała nieco zmiętą chusteczkę i podała ją Marze. – Tyle już zrobiłaś, tyle przeszłaś, a teraz jesteśmy tutaj i wydaje się, że jeszcze tyle trzeba zrobić, prawda?

Marra przyjęła chusteczkę. Gdyby miała więcej siły, byłaby zaniepokojona, że ta kobieta tak trafnie odczytała jej uczucia. Tak. Tak właśnie. Tyle już zrobiła, była taka zmęczona, jak to możliwe, że to dopiero początek?

Otarła łzy i ramię w ramię ze swoją matką chrzestną przekroczyła bramy strzegące miasta księcia, którego przybyła zabić.

## ROZDZIAŁ 13



Cóż – powiedziała pożegnucha. – Co teraz?

Cała trójka popatrzyła na Marrę, a ona odwróciła wzrok w stronę wąskiej uliczki, przy której budynki zdawały się stykać nad głowami. Przez bramę przeszli niepostrzeżenie. Nikt nie zwrócił na nich uwagi, nikt nie wskazał jej palcem, wołając: „Księżniczka!” albo „Uciekajcie!”. Teraz stali na głównej drodze, u wylotu małej przecznicy, i następnym ich krokiem było owo „coś teraz”.

Kościps podszedł i usiadł u jej stóp. Marra złapała go za obrozę i pomyślała: *Mój pies mi ufa. A potem się zmytygowała. Mój pies nie ma mózgu, jak również jest martwy.* Mimo to poczuła, że może lżej oddychać.

– Musimy znaleźć sobie jakiś nocleg. Nie zostało mi wiele pieniędzy. Ale nie mogę... Chyba nie powinnam... – Zrobiła nieokreślony gest w stronę szczytu wzgórza i bielejącego na nim pałacu. *Tak, to byłoby to. Wchodzę sobie bez uprzedzenia do pałacu, a potem się okazuje, że księżę nie żyje. Nie mam pojęcia, jak zrobić to tak, by nie skończyło się wypowiedzeniem nam wojny przez Królestwo Północne i ostateczną klęską naszego państewka.* – Chyba musimy obmyślić, jak dostać się ukradkiem do pałacu – dokończyła, spoglądając na Kościpsa, który dyszał z wywieszonym widmowym ozorem. – A potem... yyy... Hm. Chyba nie zrobimy tego już dzisiaj?

Popatrzyła po trójce swoich... wyznawców? Żołnierzy? Przyjaciół? Tak długo koncentrowała się na jednym, że teraz nie za bardzo wiedziała, co zrobić po dotarciu do miasta, poza tym, że nie wolno się pokazać księciu.

– Absolutnie nie – zgodziła się pożegnucha.

– Gdzie się zatrzymamy? – zapytał Fenris.

– Umm... – zawahała się Marra. – Nigdy nie byłam w mieście. To znaczy tu, na dole. Zawsze jechałyśmy prosto do pałacu.

Na szczęście Fenris wziął sprawy w swoje ręce.

– Wobec tego musimy się dowiedzieć, czy obowiązuje tu cisza nocna i których dzielnic należy unikać. Z doświadczenia wiem, że zajazdy w pobliżu bram miasta zdzierają z przyjezdnych, więc lepiej będzie poszukać noclegu gdzieś dalej.

– Ekhm – chrząknęła Agnes. Dźwięk był niegłośny i tonął w zgiełku głównej ulicy, ale i tak wszyscy na nią spojrzeli. Był to głos pełen nadziei. – Och jej – westchnęła, splatając palce. – Mam taki pomysł. To niewiele, ale... Pamiętacie, jak opowiadałyście o ćmie? Tej, która odnalazła to, czego potrzebowałyście? No więc tak sobie myślałam... Chociaż to mało prawdopodobne... Ale może udałoby mi się zrobić podobną.

Pożegnucha nachyliła się ku matce chrzestnej, wpatrując się w nią z uwagą.

– Czego potrzebujesz?

– Dziecka.

– O nie, nie zamierzam porywać dzieci – oświadczył Fenris. – Rozumiem, że chodzi o szlachetny cel, ale pewnych granic nie przekroczę.

– Och, na boginię, nie! – Wzburzona Agnes zamachała rękami niczym ptak przyparty do ściany. – Nie, nie! Nie ludzkiego dziecka! Oczywiście, że nie. Po prostu dziecka jakiejś istoty. Obojętne jakiej. A po wszystkim możemy je oddać matce.

Pożegnucha potarła czoło. Siedząca na kosturze kura zaskrzeczała.

– Może kurczątko? – podsunęła Marra, patrząc na kurę. – Może być kurczę?

– O, tak! – ucieszyła się Agnes. – Byłoby idealne.

Kupno kurczęcia w obcym mieście okazało się zaskakująco łatwe, aczkolwiek Marra wyobrażała sobie, że dla niej samej byłoby to trudne. *Musiiałabym zebrać się na odwagę i zagadać do obcego, wypytać kto i gdzie sprzedaje kurczaki, a gdyby nie wiedział, powtórzyć wszystko z następnym...*

Fenrisem najwyraźniej nie targały jej rozterki, bo po prostu wyszedł na główną ulicę i zagadał do pierwszego z brzegu mieszkańca, mężczyzny sprzedającego kiszonki z wielkiej beczki.

– Dzień dobry! Wiesz może, gdzie tu sprzedają żywy drób?

– A nie wolałbyś pikli? Mniej zachodu niż z drobiem.

– Niestety, nie potrzebuję kiszonek. Nawet tak zacnych. – Fenris przyłożył dłoń do serca i w ten nieodgadniony sposób zdołał wyrazić żal z powodu niemożności zjedzenia rzeczonygo ogórka. – Za to pilnie potrzeba mi żywego kurczaka.

Marra nie miała pojęcia, jakim cudem to zrobił, ale dwie minuty później miał już wskazówki, jak dojść do targu, oraz namiary na najmniej nieuczciwego sprzedawcę drobiu. Kolejnych pięć minut później stali przed kramem z wielkim wyborem kuraków. Dorosłe siedziały w klatkach, gdacząc do siebie zawzięcie, a obok stała skrzynka wypełniona żółtymi, popiskującymi kuleczkami.



Brązowa kura wyprostowała się na swojej kosturowej grzędzie na całą wysokość i łypnęła z góry na swe siostry w klatkach z czymś, co bardzo przypominało pogardę.

– Chcemy kupić pisklę – oznajmiła pożegnucha.

Sprzedawca był wielkim mężczyzną o jeszcze większych brwiach. Jedną z nich z wolna uniósł na widok brązowej kury.

– Skrzynka – wskazał.

Agnes pochyliła się nad pojemnikiem i zagruchała do kurcząt.

– Ojej, są takie słodziutkie!

– Skup się – napomniała ją pożegnucha.

– Ach, tak, tak. Musimy go kupić na własność, prawda? Pewnie nie pożyczysz nam kurczaka...

Sprzedawca drobiu nie wyglądał na człowieka, który zwyczajowo wypożycza swój towar klientom.

Marra wcisnęła ręce do kieszeni. Starła się wyglądać możliwie najbardziej jak przeciętna mniszka i możliwie najmniej jak zbiegła siostra królowej. Szybko jednak stało się jasne, że jej wysiłki są zbędne. Drobiarz najpierw nie spuszczał oczu z Agnes, która podnosiła kolejno kurczęta i coś do nich szeptała, a potem przeniósł spojrzenie na Fenrisa. Nic nie mówił, ale wygibasy jego brwi były bardzo wymowne.

– Jest niezwykle wymagająca, jeśli chodzi o drób – wyjaśnił wojownik. – Bardzo niezwykle.

– Nie przyjmuje się – poskarżyła się szeptem Agnes do pożegnuchy, ale na tyle głośno, że Marra ją usłyszała. – Nie dam rady. Och, to był głupi pomysł. Nie wiem w ogóle, skąd mi przyszło do głowy, że to zadziała...

– Próbuje dalej – naciskała pożegnucha.

Kramarz znów powiódł wzrokiem do Agnes, a potem do Fenrisa. Jego brwi wspięły się jeszcze wyżej na czoło.

Fenris zachowywał kamienną twarz, jakby kobieta szepcząca do kurcząt przed ich zakupieniem była czymś najzwyczajniejszym w świecie. Marra nie śmiała spojrzeć na matkę chrzestną w obawie, że jeśli to zrobi, wybuchnie histerycznym śmiechem.

– Dobrze – powiedziała Agnes tonem kogoś, kto jest u granic.

Marze pyknęło w uszach.

– Udało się!

– Przyjęło się – oznajmiła pożegnucha beznamiętnie.

– Niezbyt dobrze i muszę je... Wciskać... Nie chce się trzymać. Jest jak kisiel spływający ze ścianek miski!

– Nie popuszczaj – poinstruowała ją pożegnucha. – Błogosław raz za razem, jeśli trzeba.

– Oj...

Marra zaryzykowała zerknięcie na rzucone pisklę. Wyglądało jak ciemna, puszysta kulka z jasnożółtym dziobem i, jak na kurczaka, niezwykle flegmatycznym wyrazem oblicza.

Brwi sprzedawcy kurczaków wykonały skomplikowany taniec. Wymienił cenę, niebotyczną jak za jednodniowe pisklę.

– To żart? – oburzyła się Marra, rezygnując z zachowania milczenia. – To kurczak, nie feniks.

Oczy drobiarza powędrowały znów ku Agnes. Brwi deptały im po piętach.

– Im szybciej to załatwimy, tym szybciej stąd odejdziemy – zadudnił Fenris.

Nagle cena magicznie zanurkowała.

Agnes jedną ręką wysupłała z kieski monetę, drugą bowiem tuliła do piersi kurczę.

– Dobre kurczątko – rozczulała się, wpatrzona w puszystą kulkę. – Kto jest najśliczniejszym kurczątkiem na świecie?

Opuścili sprzedawcę oraz jego tańczące brwi i skręcili w pobliskie podwórko. O dziwo, udało się im tego dokonać, zanim Marra całkiem straciła nad sobą panowanie.

– Co zrobiłaś? – zapytała pożegnucha. – Widzę na nim magię, ale nie potrafię odczytać jej znaczenia.

– Powiedziałam mu, żeby znalazło nam bezpieczne miejsce – odpowiedziała Agnes. – Tak jak ta ćma, która wyszukała to, czego potrzebowałyście. Ale nie wiem, czy to zadziała. Możliwe, że będzie mogło zaprowadzić nas tylko do miejsca, gdzie ono będzie się czuło bezpiecznie, albo do miejsca bezpiecznego dla kur. Ale magia zaskoczyła, muszę tylko ją podtrzymywać...

– To klątwa – stwierdziła pożegnucha stanowczo. – Dlatego w końcu zaskoczyło.

– Nie! – zachnęła się Agnes. – To nie klątwa! To... No dobrze, nie do końca błogosławieństwo, ale też nie całkiem klątwa. Nic złego się nie stanie.

– No dobrze – ucięła pożegnucha. – Sprawdźmy, czy działa. No? Puść je.

– Dobrze. – Agnes postawiła kurczątko na ziemi i pomachała rękami, jak skrzydłami. – No, dalej, maleństwo! Znajdź nam bezpieczne miejsce!

Pisklę rozejrzało się, ćwierknęło, a potem zaczęło biec ulicą. Agnes i pożegnucha ruszyły za nim.

– Widzisz? Z dzieckiem trwałoby to dłużej – podsumował Fenris. Marra dała mu sójkę w bok, mając wrażenie, że huknęła łokciem w skałę. Wojownik stęknął, prawdopodobnie z uprzejmości.

Pobiegli za kurczakiem aż pod schodki, na które pisklak nie mógł się wspiąć. Agnes wzięła go w dłonie, a ptaszek zakwilił.

– Magia znów słabnie – ostrzegła pożegnucha.

– Oj... No cóż... – Agnes rozejrzała się, jakby miała popełnić jakiś zabroniony czyn, a potem coś się stało i nagle krągła matka chrzestna była o głowę wyżej, zaułek pograżył się w cieniach, a jej oczy zalśniły, gdy wyrzekła: – Znajdziesz nam bezpieczne miejsce na postój, inaczej... – głosem dźwięczącym niczym wielki dzwon z brązu.

„Piii”, powiedział kurczaczek. Cienie zniknęły. Marze znów pyknęło w uszach. Kościpies zaskomlał cieniutko i schował pysk pod kolano dziewczyny.

Agnes zaczęła wchodzić po stopniach, wciąż trzymając kurczę w garści. Siedziało spokojnie, aż dotarli na drugi poziom, gdzie zaczęło się wyrywać. Agnes odstawiła je na ulicę, a pisklak z miejsca zaczął biec. Za nim Agnes, a potem kolejno pożegnucha, Marra, Fenris. Kościpies, który normalnie cieszyłby się z pościgu za małym stworzonkiem, teraz nie chciał oddalać się od swojej pani.

Kurczak, po kilku nieudanych próbach, powiódł ich wąską uliczką, aż do jej ślepego końca. Dobiegł do schodków budynku na samym końcu i zaczął objąć się niespokojnie o nogi towarzyszącej mu czwórki.

– Hm. – Agnes znów wzięła go na ręce. – Myślicie, że wynajmują tu pokoje?

Wszyscy popatrzyli na budynek. Był niewielki, lichy, ale bardzo czysty, tą czystością, która świadczyła o biedzie. Marra przyjmowała porody w tego typu miejscach i w głowie prawie usłyszała: „Może jesteśmy biedakami, ale nie brudasami!”.

Na schodkach sąsiedniego budynku siedziała dziewczynka. Ona również była czysta i schludnie ubrana, aczkolwiek chudziutka, a jej ubrania były cieniuchne. Popatrzyła na nich poważnie.

– Idziecie do Panny Margaret?

– Możliwe – zgodziła się Agnes. – To jej dom? Wiesz może, czy przyjmuje gości na noclegi? – zapytała, gdy dziewczynka przytaknęła.

Kolejne potwierdzające skinienie. Po namyśle dziewczynka dodała:

– Ale większość nie zostaje zbyt długo. Tylko miejscowi. Tata mówi, że Panna Margaret jest w porządku, ale ludziom się tu nie podoba.

– Co im się nie podoba? – zainteresowała się Marra.

Dziewczynka spochmurniała. Brązowa kura wydała z siebie niskie, zatroskane: „kuooo”.

– On – rzekła dziewczynka, spoglądając niepewnie na kurę. – Zobaczycie go. To żaden sekret. Potrafi być okropny. Ale Panna Margaret jest miła. Czasem załatwiam dla niej sprawunki.

Fenris i Marra wymienili przelotne spojrzenia.

– Myślisz, że to mąż? – zaszepiała Marra.

– Może brat, może ojciec. Trudno stwierdzić.

– Niebezpieczny?

Fenris wzruszył ramionami. Na wspomnienie, jak poradził sobie z pijaczkiem koło studni, Marra poczuła ukłucie zazdrości, że wojownik może sobie ot tak przejść przez życie, nie przejmując się groźbą zetknięcia się z przemocą fizyczną.

– Dziękuję – podziękowała Agnes dziewczynce. Z kurczaczkiem podeszła do drzwi pensjonatu.

Marra stała na tyle blisko, że słyszała, jak matka chrzestna szepce do pisklaka:

– Jesteś pewny, że tu jest bezpiecznie? – Kurczak zakwilił. – To znaczyło tak?

– To znaczyło, że twój kurczak jest głodny – orzekła pożegnucha sucho.

– Ojej...

Fenris przechylił się między kobietami i sam zapukał, podczas gdy Agnes uspokajała ptaszętko.

Czekali tak długo, aż Marra zaczęła powątpiewać, czy ktoś w ogóle podejdzie, ale wtedy drzwi zaskrzypiały, otwierając się na ciemność.

\* \* \*

Panna Margaret była wysoką, przygarbioną kobietą o kościstych rękach i kościstej twarzy. Stała w półmroku, za drzwiami, więc Marra widziała jedynie jej sylwetkę.

– W czym... W czym mogę pomóc? – Mówiła, jakby z wysiłkiem przepychała słowa przez gulę w gardle.

– Potrzebujemy noclegu – stwierdziła Agnes radośnie, podnosząc kurczątko w górę. – A tu jest bezpiecznie. W każdym razie powinno być. Piskłę powiedziało...

– Ma pani pokoje do wynajęcia? – wtrąciła pospiesznie Marra, chcąc przerwać potok słów matki chrzestnej.

Panna Margaret rozejrzała się na boki, kręcąc głową jak ptak.

– Tak – wychrypiała. – Dwa.

– Za ile?

Podawała cenę tak niską, że Marra przez chwilę myślała, że to kwota od osoby. Ugryzła się w język, zanim wyraziła swoje zdumienie „Tylko tyle?”.

– Możemy je zobaczyć? – zapytała zamiast tego.

Kobieta skinęła głową i odsunęła się, przepuszczając ich do środka. Potem zadrżała i zwróciła ku nim twarz.

Marra w pierwszej chwili uznała, że na ramieniu kobiety siedzi jakieś zwierzę – może łasiczka albo wyjątkowo długi kot. Potem przyjrzała się baczniej i aż zakryła dłonią usta. Nawet Fenris cofnął się odruchowo.

On. No jasne.

„Nim” okazała się drewniana lalka. Coś w rodzaju kukielki, podobnej do tych, z którymi wędrowni aktorzy dają przedstawienia dla małych dzieci. Marionetka miała wyrzeźbione dłonie i ruchomą zuchwę oraz przegubowe ręce i nogi. Jednak jedyny sznurek był zawiązany wokół szyi Panny Margaret, a drugi jego koniec trzymała w ręku lalka.

Kukielka poruszyła się pod ich spojrzeniami. Był to powolny, rozmyślny ruch, podobny do tego, jakim żółw zwraca łebek ku słońcu. Marzę przyprawił o ciarki.

– Och, a to ciekawe! – stwierdziła Agnes tonem zawodowego zainteresowania. – To bobo-sidlak, prawda?

Lalka skrzywiła się, opuszczając drewniane fragmenty twarzy. Mocno szarpnęła za sznurek. Kobieta przytaknęła skinieniem, a w jej szeroko rozwartych oczach kryła się niema prośba do gości, by nic więcej na ten temat nie mówili.

– Och, jej! – pożałowała jej Agnes. – Wybacz. Nie chciałam cię urazić. To było nietaktowne z mojej strony, prawda? – Uśmiechnęła się łagodnie do kobiety, jakby chodzenie z okropną drewnianą figurką na ramieniu było czymś całkiem normalnym.

Lalka niechętnie popuściła sznurek, a grdyka Panny Margaret poruszyła się, gdy kobieta przełknęła ślinę.

– Nie przejmuj się – brnęła Agnes. – Czasem się tak zdarza. Nie będę... – Marra zobaczyła, jak kolory odpływają z twarzy matki chrzestnej, jakby była butelką, którą się opróżnia. Agnes zamruwała z zaskoczoną miną. A potem, wpatrzona prosto przed siebie, powiedziała: – Marro, weź, proszę, ode mnie kurczątko, nie chciałabym zrobić mu krzywdy.

Marra, zaniepokojona powagą w głosie matki chrzestnej, szybko zabrała z jej rąk puszystą kulkę.

– Dziękuję – powiedziała jeszcze Agnes, zanim runęła na ścianę, aż zadrżały deski, a potem osunęła się na podłogę, tworząc tam zgrabną stertkę.

Fenris zaklął, ponieważ próbował ją złapać, ale w korytarzyku poza Marra i Panną Margaret nie było miejsca na kolejną osobę, a szczególnie takich gabarytów. Pisklę zakwiliło. Oczy Panny Margaret zrobiły się wielkie jak spodki.

– Coś ty jej zrobiła?! – wrzasnęła Marra. – Co ten stwór jej zrobił?!

– Nic... Nic... Ja nie... On nie może... – jąkała się gospodyni, a potem sznurek na szyi zadzierzgnął się mocno i kobieta zaczęła się dusić.

– To nie bobo-sidlak – uspokajała Marzę pożegnucha. – Odsuńcie się, obie! To przez magię. Głupie stworzenie, zasilala zaklęcie własną energią aż do utraty

przytomności. – Zwróciła się do Panny Margaret, całkowicie ignorując lalkę. – Zaprowadź nas do pokoi. Nasza towarzyszka potrzebuje ciszy, herbaty i odpoczynku.

Panna Margaret skinęła potakująco głową. Marionetka nie spuszczała wzroku z brązowej kury, która, usadowiona na swojej grzędzie na kosturze, szorowała grzebieniem po suficie. Po chwili kura spojrzała w dół na lalkę i kłapnęła dziobem.

Gospodyni powoli się obróciła. Kukła zachwiała się, utrzymując równowagę. Kobieta powiodła ich po schodach. Prowadziła pożegnucha, za nią szedł Fenris z Agnes na rękach i Kościpsem z tyłu. Pochód zamykała Marra, która niosła pisklę i wyczekiwała momentu, kiedy marionetka rzuci się komuś na twarz.

Tak się jednak nie stało. Dotarli do korytarza o bielonych ścianach, w których ciemniły się prostokąty drzwi. Panna Margaret zatrzymała się przed jednymi z nich i nie podnosząc oczu, gestem wskazała im pokój. Włoczyli się do środka.

– Drugi jest obok – wychrypiała gospodyni, otwierając również drugie drzwi. – W cenę wliczony jest... wliczony jest jeden... – Lalka szarpnęła za sznurek i kobieta złapała się za gardło, posyłając Marze błagalne spojrzenie.

– Jeden posiłek? – dokończyła ta pytająco. *Och, mój głos brzmi tak normalnie. Konwersuję sobie z kobietą duszoną przez lalkę, obie zachowujemy się, jakby najważniejszą rzeczą był ten posiłek wliczony w opłatę za pokój.*

Gospodyni przytaknęła skinieniem głowy i uciekła. Marra wepchnęła się głębiej do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Fenris położył Agnes na jednym z łóżek i się odsunął, a pożegnucha przysiadła na materacu. Udało jej się wyglądać jednocześnie na zatroskaną i poirytowaną.

– Nie możemy tutaj zostać! – denerwowała się Marra. – Ta lalka... to coś... nie wmówicie mi, że nie robi czegoś strasznego!

– Już robi, gospodyni – stwierdziła pożegnucha. – Ale nam nic z jej strony nie grozi. Nie może nam nic zrobić. To tylko bobo-sidłak.

– Tylko? – Marze nie mieściło się w głowie, że można określić tę koszmarną lalkę słowem „tylko”.

– Pewnie smutna historia. Zazwyczaj są smutne. Ktoś daje osamotnionemu dziecku zabawkę, a ono przelewa na przedmiot swoje nadzieje, lęki i kłopoty, przywiązuje się do niej. Jeśli trwa to wystarczająco długo, a dziecko żarliwie kocha zabawkę, wystarczy zabłąkana iskra pecha i ta ożywa. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że żyje tylko dzięki dziecku. Jest takim maleńkim bożkiem z jednym czcicielem. Wczepia się w dziecko i... cóż. – Pożegnucha kłasknęła językiem. – Zazwyczaj odrywa się je i pali, na długo przed tym, jak dziecko osiągnie dojrzałość. Niesamowite, że ten wytrzymał tyle czasu.

– Możemy go spalić – powiedziała Marra. – To świetny pomysł. Załatwię podpałkę.

– Nie bez zgody gospodyni. Nie odrywa się ot tak boga od dorosłej kobiety, żeby go podpalić – pouczyła ją pożegnucha tonem, jakby Marra zasugerowała coś zdroźnego.

– Przecież on ją dusi!

– To jej szyja, nie twoja. Jeśli chcesz, zaproponujemy jej to przed odejściem.

– Ale to coś może się nocą włóczyć po domu!

– Nie, jest do niej przywiązane. Bobo-sidlaki nie mają mocy nad nikim innym. Pewnie mogłoby ją namówić na zamordowanie nas podczas snu, ale każdy wynajmujący pokoje mógłby coś takiego zrobić i bez lalki, więc bym się tak nie przejmowała. Zresztą bobo-sidlak nie zaryzykowałoby utraty swojego jedyne go czci ciela, a przecież mogli byśmy z nią walczyć, gdyby chciała nas zabić.

Marra kilkakrotnie otwierała i zamykała usta, niezdolna ubrać swoich uczuć w słowa. Jak pożegnucha może być taka spokojna?

– Ten bobo-sidlak działa na naszą korzyść – ciągnęła staruszka. – Gospodyni nie może nikomu powiedzieć, kim ani czym jesteśmy. Nikt nie zaufa słowom bobo-sidlaka, a lalka zacznie ją dusić, jeśli pomyśli, że jej czci cielka nazbyt obdarza uwagą kogoś innego. – Wskazała brodą Agnes. – Jej magia zadziałała. To dość nieortodoksyjny sposób i nieco mało efektywny, ale zadziałał.

– Pisklątku nic nie jest? – wymamrotała Agnes słabo.

Marra popatrzyła na swoje ręce. Puszek kurczątko nieco zawilgł od jej spotniałych dłoni, ale pisklak wydawał się cały i zdrowy.

– Taak...?

– Och, dobrze... Bałam się, że... – Agnes zamknęła oczy. Nadal była blada, tak blada, że biel poduszki wypadła w porównaniu z nią blado. – Przepraszam, sprawiłam wam tyle kłopotu.

– Całkiem wyzulaś się z mocy dla tego ptaka – powiedziała pożegnucha.

– Zaiste? – Agnes robiła wrażenie zdziwionej. – Nigdy wcześniej nic takiego mi się nie przytrafiło... Normalnie magia albo się przyjmuje, albo nie. Ale powtarzałam błogosławieństwo na okrągło, żeby przyłgnęło.

– Tak, i przy okazji doprowadziłaś się do omdlenia. – Głos pożegnuchy stajął nieco i staruszka poklepała poduszkę Agnes. – W porządku. Podziałało. Jesteśmy na miejscu. Teraz odpocznij.

– Zaraz! – wyrwała się Marra, kiedy pożegnucha zaczęła ją wyganiać za drzwi. – A co z...?

– Jesteśmy głodni – przerwała jej staruszka. – Miejsce jest bezpieczne. Tanie.

– Nie, nie, chodziło mi o pisklę.

– Co?

– Nie umiem się zajmować kurczakiem...

Kanciasta twarz pożegnuchy ściągnęła się na kształt trójkąta.

– To kurczak. Nie uczyli cię tego w zakonie?

– Nie! Kurami opiekował się ktoś inny! Ja tkłam bandażę i pomagałam przy porodach. – Marra wstawiła nogę w drzwi, żeby nie stać na korytarzu twarzą w twarz z problemem opieki na pisklaku.

– Dzieci przydarzają się od czasu do czasu. Kurczęta na okrągło. – Pożegnucha wyjęła pisklę z dłoni Marry, kręcąc przy tym głową z niesmakiem. Kiedy drzwi się zamykały, Marra usłyszała jeszcze... – Wiem, że nie jesteś kokoszką, demonie, ale tym razem zrobisz wyjątek i mi pomożesz.

Trzasnęły zamykane drzwi.



## ROZDZIAŁ 14



W drugim pokoju znajdowały się dwa wąskie łóżka przedzielone szafką, na której stała miednica. Nad szafką było okno z zamkniętymi okiennicami. Marra z jękiem padła na jedno z łóżek i założyła sobie ręce pod głowę.

– Wszystko w porządku? – zapytał Fenris.

– Koszmarna kukielka, demoniczna kura, matka chrzestna...

– I daremna misja, podczas której wszyscy zginiemy – dokończył Fenris i poklepał ją po ramieniu. – Choć muszę przyznać, że ani lalki, ani pisklaka się nie spodziewałem.

– Nic nigdy nie jest proste – skonstatowała Marra zbyt zmęczona, by okrzyknąć go, że bierze sobie jej fatalizm do serca. Nagle przypomniało jej się, jak na drodze rozpląkała się na oczach wszystkich, i z zakłopotania aż się zaczerwieniła. Odwróciła się, chcąc ukryć rumieniec, i udała, że podnosi pościel, żeby obejrzyć materac.

Wypchano go końskim włosiem, a koce, choć szorstkie, były czyste. Pokój był ubożuchny, ale aż do bólu czysty, podobnie jak reszta domu. Nigdzie nie było widać skaczących pcheł.

– Hm, całkiem niezły ten pokój – skwitowała. Przypominał jej celę w klasztorze.

– Sypiałem w dużo gorszych miejscach – zgodził się Fenris. Łóżko robiło wrażenie jeszcze mniejszego, kiedy na nim usiadł. Marra była przekonana, że gdy się na nim położy, nogi będą mu wystawały poza krawędź. Popatrzył na nią przepaszająco. – Um... Rozumiem, że dzielenie ze mną pokoju może być dla ciebie krępujące... Gdyby była tu stajnia, na pewno spałbym tam, ale nie mają tu budynków gospodarczych. I szczerze mówiąc, wolałbym być na wszelki wypadek blisko, gdyby...

Urwał, ale Marra wiedziała, że jego również kukła napawa niepokojem.

– Ja też wolę, żebyś był blisko – przyznała. – To nic takiego. Na drodze też spaliśmy wszyscy razem.

Fenris wydał nieokreślony dźwięk. Marra doskonale wiedziała, co miał na myśli. Gdy się doda ściany i drzwi, sprawy się... komplikują.

*W tym nie ma nic skomplikowanego. Nie musi być. Fenris to przyjaciel, a ty przybyłaś tu, żeby zabić księcia, i to wszystko, o czym musisz wiedzieć i myśleć.* Zmusiła się do uśmiechu.

– Pewnie nie przywykłeś do takich posłań?

– Szczerze mówiąc, nie przywykłem do niczego konkretnego – wzruszył ramionami wojownik. – Długo sypiałem w koszarach. A podczas podróży na gołej ziemi. Czasami jednej nocy zasypiałem pod gołym niebem, a następnej w najlepszej komnacie zamkowej.

– A innym razem w grodzisku elfów.

Wyraz jego twarzy się zmienił. Jakby w oczach zatrzasnęły mu się okiennice. *Głupia ty, i po co to powiedziałaś?*

– Prze-praszam – wyjąkała. – Wybacz, nie powinnam sobie z tego żartować...

– W porządku. – Ujął jej dłoń. Pokoik był tak maleńki, że mógł to uczynić, sięgając ze swojego łóżka. – Marro... Księżniczko Marro...

– Przestań – skrzywiła się. – Nie jestem żadną księżniczką. To znaczy jestem, ale tak naprawdę jestem zakonnica. Z tym że nie tak do końca.

– Jesteś księżniczką z Królestwa Portowego. Dowiedziałem się tego w pierwszej gospodzie, w której zatrzymaliśmy się po przekroczeniu granicy twojego państwa. Twoja siostra, Kania, jest żoną Vorlinga, władcy Królestwa Północnego.

*No przecież, że się tego dowiedział. Nic w tym dziwnego. Zresztą to żadna tajemnica.* Powiedziała sobie to wszystko stanowczo, starając się zignorować przeszywające ukłucie w piersi, które wynikało z lęku, że Fenris powie wszystko Vorlingowi, że ich zdradzi, że wie za dużo i może to wykorzystać przeciwko nim...

*Nie. Fenris nie jest taki. Jest przyjacielem i przyzwoitym człowiekiem.* Spojrzała w dół na ich splecione dłonie, tłumiąc budzące się wrażenie ograniczenia swobody i zastanawiając się, jaką cenę zapłaci za jego milczenie.

– Ludzie uwielbiają plotkować o rodzinie królewskiej – podjął spokojnym głosem. – Mówili, że zostałaś odesłana do klasztoru. Nieliczni sądzili, że chodziło o jakiś skandal, ale większość uważała, że masz być trzecią żoną Vorlinga w razie śmierci siostry. Mówili, że trzymają cię w odwodzie.

*nie nie matka zapewniała mnie że wypadłam z gry że jestem wolna że odsyłają mnie bo nie muszę mieszkać na dworze a go nienawidzę mówiła że jestem wolna*

Przyjrzała się własnym myślom i wydało jej się, że należą do dużo młodszej Marry, tej, która nigdy nie była na goblinim targowisku, tej, która nigdy nie zrobiła psa z kości. Tej, która mogła sobie pozwolić na niewinność i ignorancję. *Teraz już nie mogę sobie pozwolić, żeby być tamtą osobą.*

– Pewnie to prawda – rzekła Marra, zdumiona opanowaniem swego głosu. – Matka nigdy tego tak nie przedstawiała, ale Vorling ma obsesję, żeby na tronie mojego ojca usadzić swojego potomka. Oczywiście chodzi też o dostęp do portu. Głęboki port do dla królestwa skarb. Nigdy nie pozwolono by mi wyjść za mąż i mieć dzieci, syna, który mógłby podważyć prawa Vorlinga do korony. No i zawsze istniało ryzyko, że Kania może umrzeć, tak jak nasza najstarsza siostra, i że będą musieli wyciągnąć mnie z klasztoru i postawić przed ołtarzem.

Fenris tylko skinął głową. Miał takie ciepłe ręce. Obrócił je, ujmując jej dłonie w obie swoje.

– Tak podejrzewałem. Podobnie jak wielu twoich poddanych. Wiedzą, że Vorling jest ambitny. – Zawiesił głos, jakby ważył słowa, a potem powiedział niemal z wahaniem. – Wciąż ciepło wspominają twoją siostrę, Damię.

– Była taka piękna – westchnęła Marra. – I taka dobra.

Uścisnął delikatnie jej dłonie. Marra odetchnęła głęboko, zastanawiając się, czy znów się rozplacze. Nie, chyba nie. Ból stępił się przez te wszystkie lata, ostre krawędzie wygładził czas. Popatrzyła ponownie na ich ręce. Lewa ręka nie wyleczyła się całkiem po przedzeniu pokrzywowego runa. Jeden z knykci był bardziej spuchnięty od pozostałych, a w części małego palca nie odzyskała czucia.

– Po trzeciej czy czwartej karczynie poczułem, że wiem już za dużo – przyznał Fenris. – Ty przecież prawie mnie nie znasz, a ja nasłuchiłem się o tobie i twojej rodzinie. – Nabrał tchu. – A więc. Tak. Spałem w grodzisku elfów. Była taka bitwa. Klan walczył przeciwko innemu. Czasami tak bywa, choć Ojcowie starają się do tego nie dopuścić. Przegrany klan przygarnął kiedyś chłopca, który uczył się na giermka, a przywódczyni tryumfatorów powiedziała, że jej ludzie nie walczą z dziećmi, więc chłopca z jej rozkazu oszczędzono. Został oddany pod opiekę nam, wojownikom w służbie Ojców. Mógł mieć nie więcej niż trzynaście lat, raczej mniej. Miał jeszcze cienki głosik, jak nowicjuszka.

– Fenrisie – Marra spojrzała mu w oczy – nie musisz mi tego opowiadać.

– Wiem. Ale chcę. Tak będzie sprawiedliwie i... – Uśmiechnął się do niej boleśnie, aż ostrze tego bólu drasnęło jej serce. – To dla mnie ważne, żebyśmy mieli równe szanse...

Marra spuściła głowę. Jeden z paznokci Fenrisa był ułamany. Marra czuła ciepło jego skóry, przenikające przez pozbawiony czucia fragment skóry, ciepło, potem lekki nacisk i znów ciepło.

– A więc ten giermek bał się wrócić do domu. Bał się, że jego ojciec uzna, że zawiódł, ponieważ dał się pochwycić żywcem. Że nie zginął jak bohater. – Warga Fenrisa uniosła się w górę. – Tydzień przekonywałem chłopaka, że ojciec tak się ucieszy, że jego syn żyje, że nie będzie myślał o porażce. Widziałem w nim siebie. Kiedyś byłem w jego wieku i też żyłem w strachu, że nie dorównam ojcu. Widziałem w nim siebie tak wyraźnie, że jego samego nie dostrzegałem wcale.

Marra wyczuwała, że ta historia zmierza w złą stronę, i nie chciała jej słuchać, jakby niewysłuchanie słów Fenrisa mogło je wymazać.

– Fenrisie...

– Wyciągnęłaś mnie z targowiska goblinów, obawiam się, że ta historia jest częścią mnie. Towarzyszy mi wszędzie.

Marra nie była pewna, czy przemawia przez niego rozgoryczenie, czy poczucie obowiązku, czy może jedno i drugie. Obowiązek, miłość, nienawiść są skomplikowane...

– Kiedy odwiozłem go do ojca, coś mnie tknęło. „Ukrywasz się za spódnicami kobiety?”, przywitał go ojciec. To było powitanie dziwne i wygłoszone dziwnym tonem. Ale miałem inne obowiązki i musiałem do nich wracać. Zostawiłem więc syna z ojcem. Ale nie mogłem się uwolnić od przeczucia.

– I? – wtrąciła Marra, która była uważnym słuchaczem.

– Wróciłem tam tydzień później. W głowie nieustannie wybrzmiewały mi słowa tego ojca, ciągle wracały wspomnienia wyrazu jego oczu. Nie zachowywał się jak ojciec. Nie mam dzieci, z tego, co wiem, ale jego mina... – Potrząsnął głową. – Wróciłem. Jednak okazałem się głupcem, zwlekałem za długo.

– Nie żył – powiedziała Marra, zastanawiając się, czy tak właśnie czuła się siostra zielarka, gdy po pierwszych słowach chorego znała już diagnozę.

– Zachłostany na śmierć. Ojciec napiętnował go jak zdrajcę i tchórza. Chłopak wisiał przywiązany za przeguby do słupa na podworcu. Sam go odciąłem. – Głos Fenrisa był przerażająco beznamiętny i matowy. Przypomniał Marze Kanię przygotowującą się do ślubu z Vorlingiem, była wtedy tak samo wyzuta z emocji. To się dzieje i mnie dotyczy, ale to wszystko. – Musiał umierać przynajmniej przez cały dzień.

– Przykro mi – szepnęła Marra z poczuciem, że te słowa są tak nieadekwatne. Wywinęła dłonie, żeby ucisnąć jego ręce, a on spojrział na nie jakby zaskoczony.

– To dlatego nie mogłem targnąć się na swoje życie po tym, jak odebrałem je jego ojcu i tym dwóm przybocznym. Nie chciałem jeszcze bardziej kalać pamięci tego chłopca.

– Postąpiłeś słusznie, zabijając jego ojca – zapewniła go Marra żarliwie. – To nie było złe.

– Ale cała reszta była złem. Od samego początku do samego końca. Nie słuchałem chłopaka, nie pojąłem jego lęku i przez moje błędy dziecko zostało zabiczowane na śmierć. Bo mój ojciec był dobrym człowiekiem, a mnie własna głupota przesłoniła rzeczywistość i nie rozumiałem, dlaczego ten chłopak się tak boi.

– Mój ojciec również był dobrym człowiekiem – odezwała się Marra. – I chyba właśnie dlatego tak długo nie zauważałam, co się dzieje z Kanią. Wiedziałam, że to coś niedobrego, ale wyciągałam błędne wnioski. Zdawałam sobie również sprawę, że za często zachodzi w ciążę, ale nigdy się nie zastanawiałam, dlaczego tak się dzieje. – Cofnęła dłonie, a Fenris natychmiast ją puścił. – A matka to w końcu moja matka, kochała mnie, więc dużo czasu zabrało mi zrozumienie, że również wykorzystuje mnie jak pionek w grze, żeby ocalić królestwo.

– Czasami właśnie taka była moja rola, kiedy służyłem Ojcom – powiedział Fenris. – Przesuwać ludzi po szachownicy, tworzyć sojusze. Byłoby mi znacznie trudniej, gdyby byli to moi bliscy.

Marra westchnęła ciężko. Czy dla matki również było to takie trudne? Chciała wierzyć, że tak. Byłoby jej z tym łatwiej. Ale to był jej żal, a Fenris miał własne.

– Jesteś silniejszy ode mnie – stwierdziła. – Wszystko zrobiłeś sam. A ja nie umiałam powstrzymać Vorlinga sama. Musiałam znaleźć kogoś potężniejszego, kto mógłby to zrobić za mnie. Bez przerwy się boję i nie mów mi, że odwaga to działanie pomimo strachu, bo to nie tak. Bałam się podróży powozami, bałam się ludzi w gospodach. Jedyne, co zrobiłam właściwie, to odnalazłam pożegnuchę.

– Ach, Panią Lisicę. To równoważy wszelkie błędy, jakie popełniłaś.

– Możliwe, ale ty... Ty zrobiłeś, co w twojej mocy, żeby wszystko naprawić. – Nie wiedziała, jak ująć w słowa to, co tkwiło w jej głowie, że Fenris jest dobrym człowiekiem i może słabością dobrych ludzi jest to, że zło nawet nie przychodzi im do głowy. I że ona nigdy, nawet w najgorszych snach, nie wyobrażała sobie, że Vorling może celowo krzywdzić Kanię. Nigdy jej to nie powstało w głowie. – A potem postarałeś się, żeby już nikt więcej nie ucierpiał.

– Wskakując do grodziska elfów – prychnął Fenris. – To nie był mój najlepszy pomysł.

Marra klasnęła w dłonie. Teraz, gdy Fenris je puścił, wydawały się znacznie chłodniejsze.

– Cóż, gdybyś tego nie zrobił, nigdy byśmy się nie spotkali.

– Tak, to prawda – przyznał Fenris, po czym spojrzął jej w oczy, i patrzył w nie o chwilę za długo, aż pierwsza odwróciła wzrok.

\* \* \*

– A więc rzucasz klątwy – stwierdziła pożegnucha.

Marra wybudziła się gwałtownie ze snu. Brzmiało to tak, jakby staruszka mówiła do niej. Klątwy? Jakie klątwy?

– Nieprawda – zaprzeczyła Agnes. – Ja taka nie jestem.

– Nie mogłaś pobłogosławić żadnego z tych kurczaków, tak? Aż się poddałaś i na jednego rzuciłaś klątwę.

Marra podniosła się i wsparła na łokciach. Wtedy uświadomiła sobie, że ściany są tak cienkie, że słyszy rozmowę kobiet w sąsiednim pokoju.

– Niech ci będzie – ustąpiła Agnes. – To była mała klątwa. Jedna malutka klątewka.

– Nie taka mała. Magia zadziałała tylko dlatego, że przekłętaś to piskłę, prawda?

– Och, dobrze już, tak. Nigdy nie byłam za dobra w błogosławieństwach. Ale przecież nie zrobiłam krzywdy tej ptaszynie. Nie zrobiłam nic złego.

– Na czym polegała druga część klątwy? Musiało coś być. – Agnes wymamrotała coś niewyraźnie. – Słucham?

– Powiedziałam, że jeśli kurczak nie znajdzie nam bezpiecznego miejsca, to umrze.

Marra aż otworzyła szeroko oczy.

– Ale ostatecznie je znalazł – ciągnęła Agnes – więc wszystko wyszło dobrze. – Wydawała się zatroskana, Marra słyszała niepokój w jej głosie nawet przez ścianę i wyobrażała sobie, że matka chrzestna ma teraz zatrwożoną minę.

– Jesteś bardzo dobrą przeklinaczką. Masz prawdziwe umiejętności. Co więcej, jesteś w tym kierunku utalentowana. Widziałam, jak w tej alejce świat się przesunął. Wtedy, dawno temu, to nie była jedna mysz, prawda? Robiłaś to już wcześniej.

Znowu mamrotanie.

– Kim tak naprawdę była twoja matka? Albo raczej czym? Nie była żadną przypadkową panienką z kopytami, prawda?

Marra popatrzyła w stronę drugiego łóżka. Czy Fenris je słyszał? Nie, spał głęboko, z rękami złożonymi pod głową, oddychał równo i powoli.

– Za to fatalnie kłamiesz, Agnes. Mów prawdę.

Marra miała lekkie wyrzuty sumienia, że podsłuchuje, ale szybko wyparowały. Przyłożyła ucho do ściany w odpowiedniej chwili, by usłyszeć, że Agnes mówi:

– I co z tego? Przecież nie będę karała dzieci za to, że się urodziły. To okropne. Ludzie tego nie lubią.

– A więc rezygnujesz ze swojej mocy, bo chcesz być lubiana – podsumowała pożegnucha ciężko.

– Nie! – Agnes powiedziała to tak głośno, że Marra aż się skrzywiła. – Rezygnuję z niej, bo chcę być przyzwoita. Skoro wojownikom pozwala się porzucać zabijanie i przekuwać miecze na lemiesz, to ja powinnam mieć prawo zatrzymywać kurczątki i dawać zdrowie dzieciom, a nie je przeklinać.

Pożegnucha powiedziała coś, ale za cicho, żeby Marra usłyszała.

– Świat? Świat może sobie pójść i się powiesić – chlipnęła Agnes, najwyraźniej bliska łez, po czym w sąsiednim pokoju zapadła cisza.

## ROZDZIAŁ 15



Tak sobie pomyślałam – rzekła Agnes następnego ranka – że może powinnam pójść i porozmawiać z tamtą matką chrzestną.

– Co? – zdziwiła się Marra.

– Hm? – Pożegnucha uniosła brwi.

– Czy to rozsądne? – wyraził wątpliwość Fenris.

„Piii” – zaćwierkało pisklątko.

Siedzieli przy stole w małym, pobielonym pokoiku. Błat był porysowany od wielu lat użytkowania, ale wszystko było czyste. U Panny Margaret śniadania były prościuchne – ciemny chleb, gotowane jaja, nieco suszonej ryby – ale nie skąpiła na porcjach, dzięki czemu nawet Fenris, który pochłaniał tyle, co pozostała trójka razem wzięta, najadł się do syta.

– No przecież nie wiemy dokładnie, czym jest to błogosławieństwo – zauważyła Agnes. – Znamy jego słowa. Ale może jest jakiś kruczek? Nie zawsze chodzi o same słowa. Ty słyszałaś przemowę skierowaną do dworu, ale do dziecka mogła się zwrócić prościej.

– I myślisz, że ci powie? – wyraziła wątpliwość Marra.

– Niewykluczone. Zawodowa uprzejmość, no wiesz.

Marra przytaknęła, ale jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić ponurej staruszki o szklistej skórze wyświadczającej komukolwiek zawodową uprzejmość.

Niespodziewanie Fenris poparł Agnes.

– To naprawdę możliwe. Wiesz, czasem ludzie, których byś o to nie podejrzewała, zwierają się komuś, jeśli uznają, że ich zrozumie. Przestępca, który milczy jak zaklęty na przesłuchaniach, wyznaje wszystko współwięźniowi oskarżonemu o popełnienie takiej samej zbrodni. Albo lekarz, który prędzej odgryzłby sobie język, niż okazałby przed pacjentem niepewność, innemu



lekarzowi powie, jak niewiele wie i jak się boi. Nieraz widywałem podobne rzeczy. W ten sposób pracują szpiedzy.

– No, coś w tym jest – przyznała pożegnucha. – Ale jeśli księżę nagle zginie, moim zdaniem jego matka chrzestna nabierze podejrzeń.

– Czemu? – zdziwiła się Agnes. – Też jestem matką chrzestną. Nie mogę nic zrobić dorosłej osobie. I mam doskonały powód, by tu być. Królowa niedługo rodzi. To zrozumiałe, że jako matka chrzestna rodu królewskiego jestem zainteresowana swoją chrześnicą.

– Pójdę z tobą – zaproponowała Marra. Wyobraziła sobie słodką, miłą Agnes wpadającą na księżęcą matkę chrzestną z takim efektem, jak Kościopies natykający się nieoczekiwanie na mur. *Też nie poszłabym tam sama. Może pożegnucha dałaby radę sama, ale reszta z nas, śmiertelników...?*

– Widziała cię i może rozpoznać – przypomniała pożegnucha.

– Wątpię – wzruszyła ramionami Marra. – Stałam daleko, a w komnacie byli król i królowa, nie mówiąc o księciu. Nie stałam na podium. Nie sądzę, by w ogóle zerknęła w moją stronę.

– A więc ustalone – ucieszyła się Agnes. – Zajmiecie się Odnajdkiem?

– Odnajdkiem – powtórzyła pożegnucha tonem, który nie zachęcał do komentarzy.

– Pisklakiem. Tak go nazwałam.

Pożegnucha popatrzyła na nią, potem na czarne kurczątka, i znów na Agnes.

– Odnajdek – powtórzyła raz jeszcze,

– Bo tak brzmiało błogosławieństwo. Żeby znalazł nam bezpieczne miejsce.

– Nazwałaś kurczaka.

– Oczywiście, że tak! A twoja kura nie ma imienia?

Pożegnucha spojrzała na kurę, która łypnęła na nią złowrogo.

– Po pierwsze, nie, a po drugie, ma w sobie demona, więc nadawałabym imię demonowi, który już je ma. Nie zamierzam nadawać imion demonom. Jeszcze im co głupiego przyjdzie do głowy.

– Ja nazwałam wszystkie moje kury – pochwaliła się Agnes. – Jarzębka, Płowka, Damka, Narcyza, Cieniucha. Twoje kury nie mają imion?

– Nie. To kury. Nie przychodzą na wezwanie.

– No nie, ale w ten sposób jest łatwiej, kiedy się rozmawia o nich z ludźmi. Przecież nie możesz ciągle powtarzać „ta duża jasnobrązowa o pierzastych nóżkach i tym takim tam”.

– Nie rozprawiam z ludźmi o moich kurach – ucięła pożegnucha.

– Ale słyszałem, że rozmawiasz o ludziach ze swoimi kurami – włączył się Fenris, a Agnes zachichotała.

– Zaczynam się zastanawiać nad sensem tego przedsięwzięcia – zwróciła się pożegnucha do sufitu.

– Ja robię to od samego początku – wyznała Marra.

– A ja w ogóle – oświadczył Fenris. – Wierzę w was.

– Aha – mruknęła pożegnucha. – No dobrze. Popilnuję... Odnajdka.

Agnes uśmiechnęła się do niej promiennie.

– Bądź grzecznym kurczaczkiem – pouczyła pisklaka i przekazała go pożegnusze.

Odnajdek pisnął.

Brązowa kura wydała z siebie niski, gadzi dźwięk pogardy.

Agnes otrzepała ręce.

– No, to idziemy. Nie mogę się doczekać, aż poznam inną matkę chrzestną.

\* \* \*

Znalezienie miejsca zamieszkania matki chrzestnej księcia okazało się nadspodziewanie łatwe. Agnes zapytała o to gospodyni.

– Nie wiem – odrzekła chrapliwie, a lalka łyknęła na nich wrogo i postukała jednym drewnianym paznokciem o drugi. – Ale ktoś taki zapewne mieszka tam, gdzie bogaci, a tutaj im ktoś bogatszy, tym wyżej ma dom. Idźcie w górę wzdłuż murów i tam pytajcie.

– No to idziemy! – stwierdziła radośnie Agnes i wyszły, Marra w swej najskromniejszej szacie, bez naszyjnika, jak służąca czy biedna krewna.

– A może mieszka w pałacu? – zastanawiała się na głos.

– Myślisz? Ja nie mieszkam – przypomniała Agnes.

– Tak, ale... – Marra zorientowała się, że rozmowa zmierza w pułapkę, którą postanowiła ostrożnie obejść. *Tak, ale w Królestwie Północnym matka chrzestna jest groźną i szacowną kobietą, a nie ubogą krewniaczką. Tak, ale ...*

Godzinę później jednak pomyślała: *Tak, ale miałaś rację.*

Matka chrzestna księcia nie mieszkała w pałacu. Jej dom znajdował się w dzielnicy świątynnej, pomiędzy wysokimi, wąskimi budynkami kultów bogów i świętych. Zupełnie, jakby była kapłanką.

– Oczywiście, na samym wierzchołku miasta – stwierdziła Agnes. Choć wzgórze opasywała spiralna droga, wybudowano również schody skracające wędrówkę na szczyt. Rzeczywiście, spełniały swoje zadanie. Były również niewiarygodnie strome. – Naprawdę, bogowie wymagają, by się po tym wspinać? Chyba lepiej by było, gdyby mieszkali tam, gdzie większość ludzi?

– Pewnie to zależy od tego, czego ludzie pragną od boga – rzekła Marra. – Ksieni zawsze mawiała, że ludzie pragną, by bóg był blisko, gdy go potrzebują,

ale nie chcą, by ciągle dyszał im w kark.

Agnes stęknęła, gestem dając znać, że chce się zatrzymać. Przysiadły na ławeczce w połowie stopni, obie mocno zdyszane.

– A więc? – wydyszała Agnes. – Uch...?

– Fenris?

– Co Fenris?

Agnes trąciła ją łokciem w bok.

– Fenris – powtórzyła, unosząc znacząco brwi.

– O, bogowie – westchnęła Marra. Oparła się łokciami o kolana i zwiesiła głowę. *Proszę, nie każcie mi rozmawiać o tym z praciotką. Proszę.*

– Hm? Hm? – Znów lekka sójka. – Przystojny z niego chłopak, co?

– Jaki chłopak? Ma czterdzieści lat. I w ogóle nie myślałam o nim w ten sposób, ciociu Agnes. Mam inne rzeczy na głowie.

– Patrzyłaś na niego przedwczoraj, jak rąbał drewno.

– A co to ma... – Marra urwała. Rzeczywiście, patrzyła. Zdjął koszulę. A miał co pokazywać. Nawet pożegnucha przystanęła, żeby popatrzeć. Kura zagdakała tak głośno, że spłoszyła inne chodzące po podwórku. – A. Wtedy. No tak. Wiesz, nie jestem zimnym trupem.

Minęła je leciwa kobieta, starsza od Agnes. Uginała się pod ciężarem kosza, a i tak szła dwa razy szybciej niż one. Marra sama nie wiedziała, czy to motywujące, czy wprost przeciwnie.

– A więc zauważyłaś – ucieszyła się Agnes. – I jest też uprzejmy.

– I poszukiwany w swoim kraju za morderstwo.

Jeśli się spodziewała, że to przystopuje Agnes, srodze się rozczarowała.

– Jestem pewna, że nie zrobił tego bez powodu.

– Hm, to prawda.

– I ma rękę do kurczaków. Odnajdek go lubi.

Marra schowała twarz w dłoniach. *Mateczko od Wilgowronów, gdybyś zechciała otworzyć ziemię, by mnie pochłonęła, teraz jest na to idealny moment.* – Ciociu Agnes, mamy teraz... – Przecież nie mogła powiedzieć, że muszą zaplanować królobójstwo, prawda? Ktoś mógłby podsłuchać. Do licha. – ...tyle rzeczy do zrobienia.

– Dobrze, już dobrze. Przystaję. Ale nie zapominaj o tym. Niecodziennie trafia się na takiego mężczyznę, wiesz?

– Obecnie żywię niechęć do mężczyzn ogółem – wymamrotała Marra przez palce.

– No i przecież ćma wskazała, że właśnie jego potrzebujesz.

– Wcale nie... – Marra opuściła ręce, a uświadamiając sobie, jakich słów Agnes dokładnie użyła, spojrzała na ciotkę gniewnie. Ta wydawała się wielce

z siebie zadowolona. – Poza tym przecież nie wiem, co on myśli o mnie, więc nie ma o czym mówić.

– Jesteś tego pewna?

*Palce Fenrisa, bezwiednie gładzące jej dłonie. Jego kpiący uśmiech. Ciepło, siła w nocy za jej plecami. Obopólne skrępowanie faktem, że śpią w jednym pokoju. I to, jak trzymał jej ręce, a potem od razu puścił, gdy tylko cofnęła swoje.*

– Absolutnie – wycedziła Marra. – Chodźmy już. Idziemy na spotkanie straszliwej matki chrzestnej, pamiętasz?

– Tak, tak. – Agnes podniosła się z ławeczki. – O, schody. Cudownie.

– Uch.

Gdy dotarły wreszcie do dzielnicy świątynnej, obie były czerwone i zdyszane. Tam pokierowała je wysoka kobieta o ostrzyżonych przy skórze włosach, nosząca na szyi symbol Niezwycięzonego Słońca.

– Ale nie sądzę, by się wam to na coś zdało – dodała. – Ona nie przyjmuje gości.

– To nic, to nic – zbyła jej wątpliwości Agnes. – Mnie przyjmie. Prawdopodobnie.

Marra spodziewała się, że kobieta popatrzy na nie cynicznie, ale nie, spojrzała na Agnes łagodnie.

– A więc powodzenia, babciu.

Dom matki chrzestnej przypominał świątynię. Sąsiadował ścianami z domem kapłana i kaplicą Świętego od Prochu. Drzwi pilnowali strażnicy, opancerzeni i uzbrojeni. Zagrodzili im wejście halabardami.

– Dzień dobry – przywitała ich Agnes, podchodząc. – Chciałabym zobaczyć się z matką chrzestną.

Jeden z wartowników prawie niezauważalnie przekrzywił głowę.

– Nie przyjmuje gości.

– To ważne – nalegała Agnes.

– Traciecie czas. Ona nie błogosławi dzieci spoza rodziny królewskiej.

– Ach, to nic. – Agnes poklepała strażnika po ramieniu, jakby był małym chłopcem. – Nie potrzebuję błogosławieństwa. Sama jestem matką chrzestną.

Marra przygotowała się na wypadek, gdyby wartownik poczuł się urażony bezpośredniością Agnes i trzeba było ją odciągać. Jednak mężczyzna zdawał się tylko zdziwiony.

– Inna matka chrzestna?

– Tak. Czy możesz jej powiedzieć, że przyszłam?

– Spodziewa się ciebie?

– Cóż, skąd mogę wiedzieć? – wzruszyła ramionami Agnes. – Jest niezwykle potężna, więc może przewidziała przyszłość, w tym wypadku owszem,

spodziewa się mnie. A jeśli jest taka, jak reszta z nas, to pewnie nie. Ale może być też bardzo potężna, a jednak nie mieć daru przewidywania przyszłości, co się zdarza. Przyszłości są bardzo mgliste. Trudno z nich coś wyciągnąć.

Strażnik przybrał minę, jaka pojawiała się na twarzach wszystkich, którzy mieli do czynienia z Agnes. Marra zaczęła się zastanawiać, czy to coś, czego można się nauczyć, czy trzeba się z tym urodzić. A może to działa tylko, kiedy się jest w pewnym wieku i robi się wrażenie nieco głupiutkiej i całkiem pozbawionej złośliwości?

– Skąd mam wiedzieć, że jesteś matką chrzestną?

Agnes przyjrzała mu się uważnie. Pojedyncze siwe pasemka wymknęły się jej spod spinek, zmieniając się w białą aureolę wokół głowy.

– Ty... nie miałeś matki chrzestnej – powiedziała z wolna. – Ale twoja matka miała i otrzymała dar... Och, obawiam się, że nie mogę powiedzieć dokładnie, ale... Jej dzieci miały rodzić się zdrowe albo silne, jedno z dwóch. – Zamachała rękami. – To dobre błogosławieństwo – podsumowała. – I jak widać, zadziałało.

Oczy strażnika zaokrągliły się z wrażenia. Popatrzył przez ramię na drzwi, jakby spodziewał się, że ktoś za nim stoi.

– Zaczekajcie – nakazał i wszedł do domu.

– Naprawdę zobaczyłaś to błogosławieństwo? – szepnęła Marra.

– O, tak. Zazwyczaj nie da się sięgnąć aż tak daleko, ale te dotyczące dzieci zostawiają na nich ślad. Muszą, inaczej by nie zadziałały. Oczywiście, nie zostają na nich wiecznie. Próbowałam tego z myszami. – Agnes potrząsnęła głową. – W trzecim, czwartym pokoleniu dar słabnie, nawet jeśli życzy się, żeby dotyczył potomków. Po jakimś czasie magia się zużywa. Chyba musi tak być. Żeby działała ciągle tak samo silnie, musiałyby czerpać nieustannie ze źródła, czyli z osoby, która obdarza błogosławieństwem, a to byłoby groźne. Jeden miot myszy to niewiele, ale sto, rodzących raz za razem? Sama widziałaś, co się stało, kiedy wtłaczałam magię w Odnajdka. Nie chciałabym paść trupem po narodzinach określonej liczby zdrowych myszek.

Strażnik wyszedł z domu.

– Królewska matka chrzestna się z wami spotka – powiedział beznamiętnie, najwyraźniej odzyskawszy panowanie nad sobą.

– Dziękuję! – Agnes uśmiechnęła się do niego promiennie.

Mijając wartownika, Marra zerknęła na niego krzywo, świadoma efektów, jakie magia może wywierać na przeciętnych ludziach. Wydawało się jej, że dostrzegła cień uśmiechu wokół oczu mężczyzny, ale możliwe, że sobie go tylko wyobraziła.

Dom matki chrzestnej był również świątynią.

Dziwny to był dom. Marra spodziewała się drzwi, pomieszczeń, śladów codziennego życia, ale wewnątrz stanowiła jedna długa sala o ścianach obwieszonych gobelinami. Matka chrzestna siedziała na podwyższeniu na samym końcu, a jej szaty układały się na kształt trójkąta, z bladą głową na wierzchołku. Płomyki w wieloknotowych świecach misowych rzucały głębokie, migotliwe cienie na sufit, a w pomieszczeniu unosił się zapach aromatyzowanego wosku.

Przesiadywała tak całe dni? Ciekawe, czy tylko przyjmuje tak gości, czy po prostu siedzi w tych warunkach i czeka na wezwanie do pałacu?

Łatwo przychodziło uwierzyć w to drugie. Matka chrzestna ani drgnęła, niczym figura wykonana ze skóry i wielu warstw tkaniny, marionetka, która nie została stworzona po to, by nią poruszać. Wyglądała jak bogini w swym przybytku, nie człowiek w domu.

Gdy się jednak poruszyła, Marra doznała autentycznego wstrząsu. Cofnęła się, jakby otrzymała niespodziewany cios. Wydawało się, że prastara skóra popęka, zamiast się rozciągnąć.

– Podejdźcie – odezwała się matka chrzestna głosem jak echo dobiegające z głębi jamy z kośćmi.

– Dzień dobry! – powitała ją Agnes. – Ja również jestem matką chrzestną.

– Taaak... – wydobyła z siebie przeciągłe i umilkła. Jej oczy przesunęły się po Marze, błysnęły lekceważąco i zatrzymały się na Agnes. Marra zastanawiała się, czy teraz gospodyni wyrzuci je za drzwi.

Ale matka chrzestna niespodziewanie uśmiechnęła się, rozciągając na czaszce prawie pozbawione warg usta.

– Wejdźcie. Zapraszam na herbatę.

\* \* \*

Marzę bolały ręce, a mały, odrętwiały skrawek skóry płonął, jakby musnęły go widmowe pokrzywy. A przecież nic złego się nie stało. Prawda? Matka chrzestna zrobiła herbatę. Chyba? Marra nie mogła przywołać wspomnienia gotującej się wody, pamiętała jedynie długie, uschnięte dłonie na czarnym żelaznym imbryku, nalewające parujący płyn do małych lakowych filiżanek.

Marra koncentrowała się na wdechach i wydechach. Nie miała wrażenia, że pokój wiruje, nie miała też innych melodramatycznych objawów, a jednak coś dziwnego działo się w jej uszach, i było to uczucie podobne mdłościom i zawrotom głowy. Czuła, jakby stała za swoimi plecami i obserwowała, jak oddycha.

Miała wrażenie, że matki chrzestne znajdują się jakby w oddali. Słyszała ich rozmowę, rozumiała słowa, ale tylko kiedy mocno się na nich skupiła. Zupełnie,

jakby mówiły w języku, który słabo znała, i musiała się skoncentrować na poszczególnych wyrazach.

– ...klątwa? Ha. Oczywiście, że jest i klątwa...

Czy to coś w herbacie? A może to te wielkie świece? Nie, z Agnes wszystko było w porządku, a herbaty Marra ledwo co upiła.

Wstała. Agnes i druga matka chrzestna zdawały się tego nie zauważać. Kiedy Marra na nie spojrzała, uderzyło ją, jak bardzo są do siebie podobne, co przecież nie miało żadnego sensu. Matka chrzestna księcia była bardzo wysoka, prawda? Ale Agnes w pewien sposób też. Czy wcześniej była ubrana na czarno? Marra nie mogła sobie przypomnieć stroju Agnes. *Ale musiała mieć czarną szatę, bo przecież nie mogłabyś nie zauważyć, jak się przebiera.*

– ...to bardzo sprytne. Nie pomyślałabym o tym...

Rozmawiające kobiety nie wydawały się szczególnie interesujące. Ale gobeliny owszem. *Splot gobelinowy*, pomyślała Marra w roztargnieniu, *ale co na bogów ten tkacz wyprawiał?* Zupełnie, jakby przerzucał się w tę i we w tę pomiędzy stylami, bez ładu, składu wzoru czy struktury.

Podeszła do jednego z kilimów. Z bliska przeplatające się nici tworzyły wzór jeszcze bardziej skomplikowany i mniej estetyczny. Plamy koloru przeplatały się lub były całkiem odrębne. Marra nie była wybitną tkaczką, wołała haftować. Tkanie gobelinów było pracą wymagającą wcześniejszego planowania, a ona nie potrafiła tego pomieścić w głowie. Ale nawet jej najgorsze dzieła były schludniejsze i miały bardziej regularny wzór od tego. Ten kawałek to splot ciągły... a tu pętelka otwarta... ale dlaczego? Splot ciągły przepleciony dwiema nitkami; pętelki zostawiały niewielkie, ale dostrzegalne przerwy. Żadna z tych technik z osobna nie była szczególnie niezwykła, ale tkacze zwykle wybierali jedną i się jej trzymali. Do tego ten brak wyraźnego wzorca. Sześć pętelek dość blisko siebie, potem rządki ciągłego splotu, a potem rządki prosty w jednym kolorze. Efekt dezorientował. A znów w prawym dolnym rogu tkacz bez wyraźnego powodu użył złotej nici hafciarskiej, żeby wykonać coś w rodzaju supła kończącego splot, tyle że z całą pewnością nie tak się to robiło. Należało zawiązać nici osnowy, a to wyglądało, jakby dziecko raz po raz przesywało tkaninę, zapętłając nić i zostawiając nieładne gruzełki. Czy to podpis?

Agnes roześmiała się, a jej głos zabrzmiał jakby głębiej, starzej. Marra podniosła wzrok, ale znów zobaczyła tylko dwie kobiety okryte cieniami. Ważniejszy wydawał się jej kilim, te dziwne, nieregularne sploty...

– Jesteś tkaczką? – zapytała książęca matka chrzestna.

Pochylona nad tkaniną Marra tak bez reszty skupiła się na śledzeniu splotów, że nawet nie zauważyła, kiedy kobiety przerwały rozmowę.

– Nie – odpowiedziała, odsuwając się. – To znaczy umiem tkać. Ale nie jestem w tym za dobra. Wolę haftować.

– Pracowałam nad nimi całymi latami – rzekła gospodyni tym dziwnym, głuchym głosem, który zdawał się dochodzić z innej przestrzeni. – Powinny ci się wydać interesujące.

– Ach, tak, oczywiście – przytaknęła Marra, przywołując na usta uprzejmy uśmiech. Przecież nie mówi się nikomu, że utkał gruzłowatą płataninę brzydoty. Nie oceniłaby w ten sposób nawet pracy nowicjuszki, a co dopiero działań nieśmiertelnej istoty z niezmierną mocą.

Podeszła do kolejnego gobelinu i odkryła, że dolna część w jednej trzeciej jest powtórzeniem pierwszego, ale wyżej zmieniają się kolory, wzory i te dziwne nieregularne przeploty wątku i osnowy. Kolejny miał także identyczną dolną trzecią część i następny również.

*Czy to ma przedstawiać coś konkretnego?* Bez względu na to, jak mrużyła oczy i przekrzywiała głowę, plamy nie przekształcały się w żaden określony kształt. Ten kleks czerwieni mógł przypominać miecz, ale równie dobrze mógł przedstawiać jaszczurkę czy głowę królika ze stojącymi na sztorc uszami. Była tak pochłonięta wyławianiem obrazów w płataninie kolorowych nici, że nie usłyszała, jak matki chrzestne wymieniają pożegnalne uprzejmości.

– Zanim wyjdiesz, podaruję ci coś – rzekła książecka matka chrzestna, a Marze serce zabiło gwałtownie, jakby obietnica daru była groźbą. Którą być mogła...

Gdy staruszka wstała, Marra cofnęła się raptownie jak do ucieczki.

Agnes zbeształa ją ostrym spojrzeniem i podała starszej kobiecie pomocne ramię. Marra spodziewała się, że książecka matka chrzestna odrzuci propozycję, ale jednak wsparła się ciężko na swej młodszej koleżance po fachu, a potem ujęła w rękę łaskę.

– Jak wspominałam, pracowałam nad tym bardzo długo – powiedziała, powoli wędrując ku drugiemu gobelinowi. Przystanęła, ale nie spuszczała wzroku z Marry. – Czy wiesz, co przedstawiają?

– Nie...? – Według Marry plamy nie układały się w nic, z czym mogłaby je skojarzyć. Nie były nawet wystarczająco kształtne jak na mapę czy plan domu ani wystarczająco wyodrębnione, by być pismem.

Stara matka chrzestna skinęła głową, jakby do siebie.

– A więc mogę ci to dać. – Sięgnęła do rękawa i w jej dłoni błysnął metal.

*Och bogowie to na pewno nóż zaraz dźgnie nim Agnes a potem... Ale czemu ja właściwie się tak boję? Przecież nawet raz nie spojrzała na nas krzywo.*

W głębi duszy wiedziała jednak, dlaczego Vorling bał się swej matki chrzestnej, a Marra bała się Vorlinga. *To jak ogniwa łańcucha. Ja jestem*



*robakiem, a Vorling szpakiem. Choć w sumie robak nie musi się obawiać jastrzębia, to jakoś nie mam co do tego przekonania...*

Nożyce. Matka chrzestna nosiła przy sobie nożyce. Chwyciła skraj gobelinu i nacisnęła uchwyty, tnąc kawałek, niecałą połowę kilimu. Marra aż krzyknęła, zaskoczona. Choć brzydki, był to jednak efekt wielu godzin, wielu dni pracy.

Matka chrzestna brutalnie odcięła dół gobelinu i podała go Marze. Ręce jej się trzęsły, a wysnute z góry nici kołysały się w przód i w tył. Marra nagle przypomniała sobie jedwabny kokon z targu goblinów. Cma odebrała jej kilka dni życia, a co może jej odebrać ten dziwny, bezwzględnie oderżnięty dar?

– Weź to – ponagliła Marrę matka chrzestna. – Może ci się przyda. A może nie – rzekła, świdrując ją wzrokiem.

Robak nie musi się bać jastrzębia. Marra wzięła kawałek gobelinu, a jej dłonie zetknęły się przelotnie z dłońmi matki chrzestnej. Skóra stareńkiej matki chrzestnej powinna być zimna, ale okazało się, że ma temperaturę powietrza, jakby nic nie rozgrzewało jej od środka.

Marra zauważała, że jej ręce drżą tak samo jak dłonie staruszki. Spojrzała w dół, na wystrzępiony fragment tkaniny.

– Ja... Bardzo dziękuję – wydukała w końcu jak małe dziecko pouczone przez niańkę o tym, by pokazało dobre maniery.

Matka chrzestna księcia wydała z siebie dźwięk, coś pomiędzy syknięciem a chrząknięciem, a potem skinęła głową Agnes. Ta wzięła Marrę pod ramię i wyprowadziła księżniczkę z dziwnej małej świątyni.

Na zewnątrz Marra aż zamrugła, oślepiona jaskrawym słońcem. Oczy zasłyły jej łzami. Zmrużyła je, patrząc na strzęp w ręce.

*Zaraz, zaraz, co się właściwie stało? Naprawdę zostawiłam Agnes z matką chrzestną księcia i zaczęłam sobie spacerować po tej komnacie?*

– Agnes? – Zaskoczyła ją donośność własnego głosu. – Agnes? Co się stało? Siedziałam przy tobie i naprawdę starałam się słuchać, a potem nagle nie siedziałam...

– Jest dobra – zachichotała Agnes. – Potężna jak pożegnucha i dziesięć razy od niej starsza.

– Coś było w tej herbacie?

– Nie, absolutnie nie. Po prostu chciała porozmawiać bez świadków. W tym bez ciebie. – Ciotka poklepała Marrę po ramieniu. – Nie martw się, przejdzie za minutkę. To nic groźnego, tylko przekierowanie.

Pożegnucha zmyje mi za to głowę. Poszłam tam, żeby pilnować Agnes, a dałam się omamić zaklęciu.

– Myślisz, że zorientowała się, kim jestem?

– Raczej jej to nie obeszło. – Myślę, że w ogóle mało co ją obchodzi. – Agnes zagryzła dolną wargę. – Wydaje się, że taka starość, taka obojętność oznaczają samotność, ale może samotnością też się nie przejmuje.

Kiedy schodziły po schodach, Agnes poruszała się lekko, prawie tanecznym krokiem. Marra czuła nieznośne pulsowanie w głowie i raziło ją światło. Ale nie chciała być szorstka wobec ciotki.

– Dowiedziałyśmy się czegoś?

– O tak, nawet bardzo dużo. Po pierwsze ona wcale nie błogosławi tych dzieci, tylko je przeklina. I robi to już od wieków.

## ROZDZIAŁ 16



Kłątwa? – powtórzyła pożegnucha, gdy siedzieli w małym saloniku. Panna Margaret przyniosła herbatę, a bobo-sidlak łypał na nich nienawistnie z jej ramienia. – Jak ochrona przed wrogą magią może być przekleństwem?

– To dlatego, że skupialiśmy się na niewłaściwej części – rzekła Agnes. Odczekała, aż właścicielka i jej lalka opuszczą pokoić, a potem posłodziła sobie herbatę miodem. – Wszyscy myśleliśmy tylko o tej części z obcą magią i przejściem tronu. A to ta teatralna część. Kłątwa to to, że będzie służyła im tak, jak służy całemu rodowi, i że ich życie zwiąże się z jej życiem. – Potoczyła po obecnych dumnym wzrokiem.

– ...ale nadal nie rozumiem – wyznał Fenris.

Pod stołem Kościpies obgryzał z zadowoleniem kość z zupy, co dla Marry pachniało nieco kanibalizmem.

– Będzie służyła im tak, jak służyła całemu rodowi, i wiąże ich życie ze swoim po kres swoich dni. Skąd wiadomo, że to coś dobrego?

Pożegnucha gwałtownie odchyliła się na oparcie i zamyśliła się. Marra zmarszczyła brwi.

– Mówisz, że wyrządza im zło?

– Władcy Królestwa Północnego od wieków umierają młodo, prawda? – Agnes zabębniła palcami w blat. – To już nawet nie żadna plotka. Każdy o tym wie.

– Pokojówka mówiła mi, że nad królestwem wisi kłątwa i że to ona wyzuwa królów z sił – powiedziała Marra powoli. – I że to matka chrzestna chroni królestwo przed przekleństwem.

– A to ona je nań sprowadziła – dokończyła Agnes. – Skądś przecież musi czerpać siły, żeby podtrzymywać swoją nieśmiertelność, i właśnie tak to robi. Ich życie związane jest z jej życiem. Wysysa je z nich, żeby podtrzymywać swoje. –

Agnes zawiesiła głos. – Wiecie co? Myślę, że wcale jej się to nie podoba. Jeden z dawnych królów, żyjących wieki temu, ten, który zbudował pałac, związał ją jakoś ze swym rodem. Musi im służyć. To jest coś, co sama wybrała. Ale musi też żyć, żeby im służyć, więc czerpie z nich energię życiową. Jak się nad tym zastanowić, to okropne dla obu stron.

Marze przyszła do głowy straszna myśl.

– To dlatego umarła moja siostrzenica? Matka chrzestna ją zabiła?

Fenris aż się zatchnął.

– Nie, nie – zaprzeczyła szybko Agnes, machając rękami. – Chyba nie. Bo i po co, skoro ma żywego Vorlinga, a na dodatek miała jeszcze wtedy starego króla. Ale jej klątwa oznacza, że żadna inna magia im nie pomoże. Czyli gdybym próbowała pobłogosławić dziecko zdrowiem, błogosławieństwo by się nie przyjęło. Członkowie rodziny królewskiej nie mogą liczyć, że jakaś wiedźma wyleczy ich choćby z brodawki. Magia się ich nie ima. To oznacza, że nie da się również przełamać zaklęcia za pomocą magii.

Pożegnucha stęknęła, niezadowolona, a po chwili rzekła:

– Ale to również oznacza, że i nam nie pomoże. Czyli jest, jak było. Nie możemy zakląć Vorlinga.

– Nie, dopóki matka chrzestna żyje – potwierdziła Agnes. – To ta druga część. – Na twarzach obecnych nadal malowało się niezrozumienie. – Ojej. To tak jak z Odnajdkiem, pamiętacie?

Marra potarła czoło. Pisklę siedziało pod brązową kurą, która nie wydawała się tym zachwycona.

– Ale co z Odnajdkiem?

– Zaklęcie... – Agnes podchwyciła spojrzenie pożegnuchy. – No dobra, klątwa. Klątwa, którą rzuciłam na Odnajdka, brzmiała tak, że albo znajdzie nam bezpieczne miejsce, albo... ekhm, albo będę na niego zła. Większość klątw na tym polega. Mają dwie części. Ta brzmi tak, że ród królewski jest z nią związany i nie dotknie ich obca magia tak długo, jak żyją, i tak długo, jak żyje matka chrzestna.

– Mało to obiecujące – stwierdził Fenris. – Czyli musimy ją zabić?

Agnes zrobiła wielkie oczy.

– Nie sądzę, żeby to było możliwe. To znaczy, nawet jeśli by nam na to pozwoliła. No bo gdyby to było takie proste, już dawno by to zrobiła. Nie sądzę, by dało się ją tak normalnie zabić.

– Robi się coraz gorzej – mruknęła Marra. Agnes wyglądała na taką podekscytowaną, ale kiedy próbowała im wszystko wyjaśnić, sprawa wydawała się Marze coraz bardziej beznadziejna. Co będzie z innymi dziećmi Kanii? Pewnie lada dzień urodzi, ciąża już na pogrzebie była widoczna... Co, jeśli

zdołają jakoś zabić Vorlinga? Wtedy dziecko stanie się żywym zasobnikiem karmiącym swoją energią klątwę?

– Ale ona to robi tylko dlatego, że nie ma wyboru!

– A nie dlatego, że żywi do nich urazę? – zapytał Fenris.

Agnes przygryzła dolną wargę.

– Chyba nie. Może kiedyś, bardzo dawno temu tak było. Jestem pewna, że na początku ich nienawidziła. Ale teraz wszystko jej zobojętniało. Żyje zbyt długo. Wyczerpały jej się już wszystkie prawdziwe uczucia. Nie może umrzeć. Chodzi tylko czasem na zamek, żeby przekląć kolejne dziecko, a potem wraca, siada w swojej świątyni i... trwa.

– Co za okrutny los – skwitował Fenris.

– Powinna chociaż hodować kury – powiedziała pożegnucha. – Albo uprawiać ogród. Nieśmiertelność to przekleństwo, ale zawsze można się postarać, żeby coś z niej mieć.

– Myślicie, że nam pomoże? – zastanawiała się Marra.

Agnes popatrzyła na nią smętnie.

– Obawiam się, że zaklęcie jej na to nie pozwoli. I wydaje mi się, że już pomogła, na tyle, na ile mogła.

Marra wyjęła oderżnięty kawałek gobelinu. Wysnuły się z niego kolejne nitki. Aż przykro było na to patrzeć, jak na krwawiącą ranę.

– Powiedziała, że może mi to dać, ponieważ nie wiem, co to jest – przypomniała w zamyśleniu.

Pożegnucha przyjrzała się strzępowi, ale pokręciła głową.

– Nic mi to nie mówi. To nie żadna magia, a jeśli nawet, to ja jej nie znam. Nie wiem, czemu ci to dała, ale przypuszczalnie miała ku temu powód.

Marra gapiała się na gobelin, próbując zrozumieć, co przedstawia wzór. Z niczym jej się nie kojarzył. Odchyliła głowę i oparła się o ścianę. Fenris siedział naprzeciwko niej, starając się zajmować w tym małym pokoiku jak najmniej przestrzeni. Leżący na wpół pod stołem Kościpies wywalił widmowy jęzor. Odnajdek zszedł na podłogę, usadowił się między jego łapami i zapadł w drzemkę.

*Kościpies uwolniony z dołu z kośćmi. Fenris uwolniony z targowiska goblinów. Odnajdek uwolniony ze skrzynki na targu. Gdziekolwiek pójdziemy, uwalniamy coś albo kogoś, a tu próbujemy uwolnić Kanię od Vorlinga i...*

– Czy możemy ją uwolnić? – zapytała. – Matkę chrzestną?

– Król, który spętał ją zaklęciem, już dawno nie żyje – przypomniała Agnes. – Nie potrafię... – Urwała. Otworzyła usta. Spojrzała na Marrę i w jednej chwili na obie spłynęło to samo olśnienie. Król nie żyje.

Wolniutko, obracając tę myśl w głowie delikatnie niczym jajko, Marra zwróciła się do pożegnuchy.

– Umarli królowie mieszkają w pałacu pod pałacem żywych – powiedziała. Przypomniała sobie niekształtne plamy na gobelinach i opowieść pokojówki o podziemnym labiryncie. Przecież widziała go na własne oczy, krótko, ale widziała, prawda? Przypomniała sobie twardy kamień pod stopami i to, jak wpatrywała się w tył sukni Kanii, nie chcąc się zgubić w mroku. – Wszyscy tam są pogrzebani. Czy mogłabyś znaleźć tego, który związał matkę chrzestną? Znaleźć i zmusić, żeby ją uwolnił?

Pożegnucha zabębniła palcami w blat.

– Nie wiem. Przekonajmy się.

\* \* \*

– Troje żelaznych drzwi i brona, a do otwarcia każdych z nich trzeba kilku koni pociągowych – stwierdził Fenris ponuro. – Nie wspominając o wartownikach i o tym, że wejście znajduje się na głównym placu, naprzeciwko wejścia do pałacu, więc każdy zobaczy, że próbujemy się dostać do katakumb.

Przez dwa dni Fenris tkwił na placu, obserwując wejście do pałacu umarłych, ze sporadycznym wsparciem Agnes i pożegnuchy – tym razem bez kury. Marra nie mogła im pomóc z obawy, że zostanie rozpoznana, ale dobrze pamiętała ten plac.

Kiedy chowano członków rodziny królewskiej, konie nosiły czarne czapaki i błogosławili je kapłani siedmiu świętyń. Marra pamiętała uroczyste stąpanie wielkich bestii, gdy przy wtórze bębnow trumnę jej siostrzenicy wnoszono przez żelazne wrota.

– Musi być jakiś sposób, który nie wymaga koni – powiedziała. – Przecież wcześniej trzeba tam zejść i wszystko przygotować. Nie można za każdym razem sprowadzać na plac stada koni.

– To przedstawienie – przytaknęła Agnes.

Fenris wydawał się skonfundowany, ale Marra pokiwała głową.

– No właśnie. Królewski pogrzeb jest jak królewski ślub. I jak chrzciny. Odpowiednie ubrania, ceremoniał, cała inscenizacja. Konie nie pojawiają się tam nagle, odpowiednio przystrojone i gotowe do marszu.

Fenris rozważył jej słowa.

– Hm, chyba masz rację. Choć nigdy nie myślałem o tej zakulisowej pracy. Koronacje, w których uczestniczyłem, zwykle ograniczały się do przyprowadzenia koronowanego do miejsca koronacji. Całym tym przygotowaniem uczt, strojami i kapłanami zajmowali się inni.

Marra pomyślała, że te przygotowania zazwyczaj spadają na kobiety, ale przynajmniej Fenris uznał, że to praca.

– A więc musi być inne wyjście i inne wejście do grobowców – podsumowała Agnes. – Niewymagające obecności koni.

– Ale możliwe, że znajduje się w pałacu – zauważyła Marra. Choć mogła zakładać, że w mieście nikt jej nie rozpozna, wejście do siedziby króla wydawało się kuszeniem losu.

– To grobowiec – odezwała się pożegnucha. – One zawsze mają kilka wejść. Przecież trzeba drążyć nowe komory, budować nowe krypty, więc któryś trzeba dostarczać cegły i inne materiały, nie wnosząc całego tego pyłu i brudu do pałacu.

– A może martwi je znają? – zapytał Fenris.

Pożegnucha przewróciła oczyma.

– Umarli są już w środku. Nie muszą się martwić, jak wyjść czy wejść. To trupy, nie włamywacze.

Fenris odchylił się na krzesło i postukał palcem w wargę.

– Cegły. Hmm. Może kamieniołom? Wejście w kamieniołomie? Jak moglibyśmy je znaleźć?

– Zatrudnij się jako kamieniarz – zaproponowała Agnes.

– Kamieniarz? – Fenris uniósł brwi. – Nie mam pojęcia o kamieniarstwie.

Pożegnucha dziabnęła go w bok laską.

– Zdejmij koszulę, a problemy znikną.

\* \* \*

Ostatecznie Fenris nie musiał biegać półnagi. (Marra usilnie ukrywała rozczarowanie. Agnes nawet się nie starała). Najwyraźniej miał na tyle atletyczną sylwetkę, że nikt nie pytał go o umiejętności w dziedzinie obróbki kamieniarskiej.

Po pierwszym dniu wrócił zły i pokryty białym pyłem. Od razu pomaszerował do studni i wylał na siebie wiadro wody. („Też dobrze” – mruknęła Agnes, trącając Marrę łokciem. Kura pożegnuchy zagdakała).

– Nie jest najgorzej – oznajmił. – Pracuję jako pomocnik, więc nikt nie daje mi do ręki dłuta. Głównie przenoszę ciężary i staram się zapamiętać żargon. Ale nie wiem, jak długo się utrzymam, zanim się zorientują, że kompletnie się na tym nie znam. Mogą mnie zwolnić nawet jutro.

– Miejmy nadzieję, że to nie będzie miało znaczenia – powiedziała Marra, czując, jak w piersi wzbiera jej ekscytacja. *Nareszcie! Jesteśmy na dobrej drodze. Działamy!* – Wystarczy, że utrzymasz się tam, dopóki nie znajdziemy wejścia.

Fenris szybko się uczył i najwyraźniej wystarczająco prędko podłapał specjalistyczny język branżowy, ponieważ nie został zwolniony ani następnego dnia, ani kolejnego. Okazało się jednak, że kamieniołomy składają się z kilku wyrobisk, i nie wiadomo było, w którym szukać wejścia. Do akcji musiała włączyć się pożegnucha. Tak więc kolejne pięć dni ona i Fenris włóczyli się nocami po wyrobiskach, unikając strażników i wypytując duchy zmarłych. Tymczasem Agnes zaprzyjaźniała się z sąsiadami, a Marra obgryzała paznokcie do żywego.

Właśnie tego zawsze się obawiała. Że dostaną się do miasta i nikt nie będzie wiedział, co dalej, więc będą tylko omawiać i planować i nic nie robić, a wszelkie próby działania zakończą się fiaskiem, wreszcie skończą im się pieniądze, Fenris będzie się musiał najać do rąbania drewna, Agnes będzie chciała wrócić do domu i swoich kur, Kania tajemniczym przypadkiem, jak Damia, spadnie ze schodów, a Vorling umrze sobie spokojnie ze starości i wszelkie wysiłki Marry spełzną na niczym. Dodatkowo teraz wiedziała, że jeśli Kania urodzi i dziecko przeżyje, również ono będzie przeklęte i zestarzeje się przed czasem.

Siedziała na maleńkim, zrujnowanym podwóreczku pensjonatu, powstrzymując cisnący się jej na usta krzyk rozpacz. *Dokonałam trzech niemożliwych rzeczy, no, dwóch, poszłam na targowisko goblinów, a teraz siedzę beczynnienie, podczas gdy moi przyjaciele włamują się do kamieniołomów. Och, Mateczko od Wilgowronów, to takie trudne!*

*Może to wina tego, że nie wykonałam trzeciego zadania? Może to właśnie ono jest kluczem do bohaterstwa? W końcu dwa pierwsze wymagały głównie zaciskania zębów i poranienia sobie dłoni.* Przesunęła kciukiem po pozbawionym czucia fragmencie skóry wzdłuż małego palca.

Czy wszystkie te historie o bohaterach pokonujących smoki i dziewicach zamkniętych w wieżach zawierały opisy długich, zmudnych poszukiwań smoka albo budowy wież? Pewnie tak. Nie, prawie na pewno tak. Tylko kto chciałby słuchać takich nudnych dłużyzn?

*Ja. Ja bym chciała. Przynajmniej nie czułabym się teraz taka przegrana.*

Z westchnieniem usiadła na ławce. Choć było południe, chłód dawał się we znaki. Widok na podwórko też nie zachwycał. Trzy ściany, jedne drzwi, ławeczka i kilkanaście doniczek, w których kiedyś pewnie rosły kwiaty, a teraz sterczały w nich badyle. Róża pnąca zamarła już na zimę, zasypując cegły zielonobrazowymi listkami. Wyglądała, jakby widziała lepsze dni, a teraz trzymała się tylko z przyzwyczajenia. Marra doszła do wniosku, że chyba nieco zanadto identyfikuje się z krzewem różanym.

Agnes zaprzyjaźniła się z kobietą mieszkającą po sąsiedzku i teraz razem robiły pranie. Marra słyszała echo jej śmiechu, które niosło się ponad murem.



I czy bohaterowie muszą robić pranie? Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek o tym słyszała. A przecież po wykoszeniu setki wojowników z pewnością przydałaby im się porządna przepierka.

Kościpies obserwował ptaszka skaczącego po gałązkach róży i strzygł iluzorycznymi uszami. Marra już miała wstać, kiedy na podwórko wpadła zdyszana Agnes i wyrzuciła z siebie:

– Królowapowiłasyna!

\* \* \*

– Niemożliwe – powiedziała Marra osłupiona. – Niemożliwe, że to już. Nie.

Zarumieniona od wysiłku Agnes wzruszyła ramionami. Wciśnięty w obfity biust Agnes Odnajdek spał, śniąc pewnie jakieś kurczaczkowe sny.

– Wszyscy mówią tylko o tym. Na rynku krążą krzykacze, obwieszczający, że narodził się dziedzic Vorlinga.

Urodziła przed czasem? Marra przypomniała sobie, jak Kania wierciła się, klęcząc z brzuchem na kolanach, a przecież od ucieczki z klasztoru minęły miesiące i jeszcze jeden, zanim dotarli do Królestwa Północnego. Równie dobrze mogło minąć dziewięć miesięcy. *Nawet nie zapytałaś, w którym jest miesiącu.*

– A Kania? – zapytała ochryple. – Mówią coś o Kanii? – Marra chwyciła płaszcz i smycz Kościpsa. Przecież nie wysłaliby heroldów z nowiną, gdyby nie byli pewni. Czyli dziecko urodziło się żywe. *Ale co z Kanią? Co z moją siostrą?*

W korytarzu wpadły na gospodynię. Wskazała na drzwi i wycharczała:

– Słyszałyście? Królowa... królowa... – Jej oczy zaokrągliły się z radości. Lalka zaklekotała żuchwą i łypnęła złowrogo. – Mówią, że to chłopiec! Chło... – Marionetka uznała, że za dużo tych słów, i zacisnęła sznurek. Panna Margaret zwiesiła głowę, ale oczy nadal jej błyszczały.

– Słyszałyśmy – zapewniła ją pospiesznie Marra. – Właśnie idziemy dowiedzieć się czegoś więcej.

– To takie ekscytujące! – emocjonowała się Agnes. – Królewski syn!

Panna Margaret zdołała wsunąć palec pod pętlę i odrobinę ją poluzować.

– I po ostatnim... Ostatnim... – Uśmiechnęła się promiennie.

Marra rozważała przez moment, czy nie uderzyć w krzyk, ale ostatecznie poprzestała na wyminięciu gospodyni i jej koszmarnego jeźdźca.

– Spokojnie – pocieszała ją Agnes już na ulicy. – To normalne. Możliwość plotkowania o rodzinie królewskiej jest jedyną korzyścią dla ludu z tego, że ma rodzinę królewską. Trzeba pozwolić ludziom się tym cieszyć.

– Oni plotkują o mojej siostrze – warknęła Marra. – I siostrzenicy. Nieżyjącej siostrzenicy.

– Która jest również moją praprasiostrzenicą – przypomniała Agnes łagodnie. – Ale oni odbierają to inaczej. Nie możesz słuchać nowin z taką chmurną miną, bo wszyscy pomyślą, że się nie cieszysz, a to będzie podejrzane.

Marra odetchnęła kilka razy. To prawda, co mówiła Agnes. Przybrała minę uprzejmego zainteresowania i poszła za nią, z szarpiącym się na smyczy Kościpsem.

– Nic nam po tym – denerwowała się dziesięć minut i plotek później. Królowa nie żyje. Królowa żyje, ale umiera. Królowa zmarła, a jej ostatnim życzeniem było, aby księżę przyjął święcenia zakonne. Królowa żyje, ale dziecko piło jej mleko zmieszane z krwią i nie przeżyło. Królowa czuje się dobrze, ale jest zmęczona. Dziecko żyje. Dziecko nie żyje. Urodziły się bliźnięta. Urodziło się jedno dziecko. Królowa powiła ławicę ryb.

W końcu znalazły odzianego w liberię herolda, otoczonego gęstym tłumem.

– Radujcie się! – wykrzykiwał. – Radujcie się, bo oto narodził się następca! Królowa powiła dziedzica!

– A co z królową? – zawołała Marra, przepychając się ku niemu. – Jak się czuje królowa?

– Powiła syna! – huknął herold. – Dziedzica północnej korony!

W tłumie rozległy się wiwaty.

– Ale czy żyje? Czy dobrze się czuje?

Tłum zafalował i Marra nie była pewna, czy herold ją usłyszał. Nie odpowiedział. Rozejrzała się wokół i zobaczyła tylko usta, które otwierały się i zamykały, jakby odgryzały kawałki historii jej siostry i pochłaniały ją.

„Trzeba pozwolić ludziom się cieszyć”, przekonywała ją Agnes. Marra nie miała powodów do radości. Wszystko to wydawało się jej niewłaściwe, złe i straszne.

Znów zaczęła się przepychać, ale Agnes złapała ją za rękę.

– Zostaw to. Niedługo się dowiemy. Teraz i tak nic na to nie poradzimy.

– Mam prawo się denerwować! – odburknęła Marra. – I to właśnie zamierzam robić!

– A ja nie zamierzam cię powstrzymywać. – Agnes poklepała ją po ramieniu. – Porządne poprzemijowanie się to balsam dla duszy. Tylko nie przesadź.

Marra zazgrzytała zębami. *Pójdę do pałacu i zażądam widzenia z siostrą... Nie, nie mogę. Matka może tam być, a jeśli jest, to mnie zobaczy. A nie mam teraz czasu na wyjaśnienia.* Nabrała powietrza do płuc, a potem je wolno wypuściła. Wróciła do pensjonatu, którego właścicielkę podduszała drewniana kukiełka. Na schodkach domu siedziała dziewczynka, która więcej posiłków opuściła, niż zjadła, i teraz rozwodziła się na temat nie do końca normalnych dzieci.

„Trzeba pozwolić ludziom się cieszyć”. *Ale to nie w porządku. To niesprawiedliwe.*

*A co jest sprawiedliwe?* – prychnęła Marra w duchu. Czy to sprawiedliwe, że możesz jeść kilka posiłków dziennie i nie spodziewasz się, że kiedyś będziesz czyściła stajnie tylko dlatego, że twoja matka poślubiła króla? Czy to sprawiedliwe, że Vorling może nie odpowiadać za swoje karygodne czyny? Czy to sprawiedliwe, że jedne kobiety wycieńczają się, nosząc i rodząc jedno dziecko za drugim, a inne wcale nie mogą mieć dzieci? Czy to sprawiedliwe, że Fenris nie może wrócić do domu, bo zabił potwora w ludzkiej skórze? Czy to sprawiedliwe, że bóg karze głodujących mieszkańców poranionych ziem?

Nic nie jest sprawiedliwe. Nic nie jest w porządku.

Jeszcze raz odetchnęła głęboko i zagapiła się w ścianę, powstrzymując płacz. Zatrokana Agnes dotknęła jej ramienia.

Nic nie jest sprawiedliwe poza dokładaniem starań, żeby takie było. Być może to właśnie cel istnienia ludzkości – naprawianie rzeczy, których nie udało się naprawić bogom.

Nagle otworzyły się drzwi wejściowe. Brązowa kura zaskrzeczała.

– Znaleźliśmy wejście – oznajmił Fenris.

## ROZDZIAŁ 17



Zawsze jest jakiś nawiedzony kamieniołom – wyjaśniła poźegnucha. – Jeśli ludzie przenoszą gigantyczne odłamy kamieni tak jak tam, zawsze w końcu ktoś zostaje przygnieciony. – Machnęła lekceważąco ręką. – Nie wiem, jak dawno przestano wydobywać kamień z tego wyrobiska, ale właśnie tam znajduje się wejście do katakumb. Zabezpiecza go krata i kilka klątw. Duch, który mi je wskazał, powiedział, że kraty są tam, odkąd sięga pamięcią, a jest duchem dłużej, niż żył. – Pociągnęła nosem. – Miły gość. Kiedyś był głównym majstrem. Należał do tych, co muszą wszystkiego sami dopilnować. Tego rodzaju ludzi nie powstrzymuje nawet śmierć.

– Co to za klątwy? – zainteresowała się Marra.

– Och, ostentacyjne. Wyglądają imponująco, ale nie są groźne. – Zachmurzyła się. – W środku mogą być te prawdziwe.

– Myślisz, że uda nam się stamtąd wejść do krypty tego starego króla? Tego, który związał matkę chrzestną ze swoim rodem?

– To tak samo możliwe jak w przypadku innych.

– Musimy się pospieszyć – powiedziała Agnes. – Iść tam najpóźniej jutro w nocy. Za kilka dni, kiedy tylko się upewnią, że dziecko przeżyje, odbędą się chrzciny. Zazwyczaj to trzy dni od narodzin. Do tego czasu trzeba uwolnić matkę chrzestną. Potem mogę iść i... No, mam pewien pomysł.

Marra prawie jej nie słyszała. Chrzciny. Za kilka dni. To stanie się niedługo. To już się dzieje. Całe to mówienie, zamartwianie się, wyczekiwanie i wszystko nagle składało się w całość.

– Jak dostaniemy się do pałacu? – zapytał Fenris. – Na chrzcinach będzie wielu szlachciców, a każdy przybędzie ze swymi gwardzistami. Wpuszczą nas jako obstawę siostry królowej?

– Może... – Marra powiodła wzrokiem po przyjaciółkach, zastanawiając się, czy księżniczka, nawet jeśli jest siostrą królowej, zdoła przemycić do pałacu dużego psa i kobietę z kurą siedzącą na lasce. *Po tym, jak ostatnio potraktowali nas jak ubogich krewnych? Z pewnością nie będzie łatwo.*

Agnes odchrząknęła.

– Ja mogę wejść – oznajmiła.

– Co?

– Jak?

– Jestem matką chrzestną – rzuciła, jakby to wszystko wyjaśniało.

Reszta jednak patrzyła na nią bez zrozumienia.

– Och, wiem, że nie zostałam zaproszona. I właśnie o to chodzi.

– Hm?

Agnes uśmiechnęła się łagodnie – drobniutka, delikatna kobietka.

– Jedna rzecz z pewnością jest prawdziwa w opowieściach o matkach chrzestnych. Złe się dzieje, jeśli nie zaprosi się nas na chrzciny.

\* \* \*

– Postaraj się zasnąć – powiedziała pożegnucha. – Wiele rzeczy może się wydarzyć, ale cokolwiek to będzie, lepiej, żebyśmy byli wypoczęci. Pójdziemy tam jutro w nocy.

– A co z Panną Margaret? – zatroskała się Marra. – Czy nie powinniśmy... – Urwała i wskazała na gardło.

– Ach, to. Tak. Zaproponujemy jej pomoc, zanim odejdziemy.

Marra bardzo starała się zasnąć, ale nie mogła. Kręciła się i przewracała z boku na bok, a w głowie krążyły jej różne myśli. Agnes uważała, że może coś zdziałać na chrzcinach. Pożegnucha zdawała się z nią zgadzać. Marra wolałaby wiedzieć, co Agnes planuje, ale ta zbyła ją machnięciem ręki, mówiąc, że jeśli się nie uda, lepiej, żeby nikt się tym zawczasu nie przejmował. A pożegnucha dodała, krzyżując ręce na piersiach, że Marra przyszła do niej po pomoc, nie po naukę magii.

– Uwolnienie matki chrzestnej oznacza koniec ochrony przed magią – rzekła. – Tylko tyle musisz wiedzieć. A kiedy ochrona przestaje istnieć, są tysiące magicznych sposobów, które mogą... naprostować... sytuację.

– Nie możecie powiedzieć nic więcej?

– Im mniej wiesz, tym mniej może ci się wypsnąć, kiedy będziesz rozmawiała z siostrą o wprowadzeniu nas do pałacu. Nie umiesz kłamać, Marro. Kiedy próbujesz, wyglądasz, jakbyś się bała, że cały świat się ciebie wstydzi.

Marra nie chciała się z tym pogodzić, ale pożegnucha zamknęła drzwi, zostawiając ją z wierceniem się, przekręcaniem się z boku na bok i bezsennością. Jej siostra urodziła dziecko. Idą do pałacu zmarłych. Jej siostra urodziła syna. Kania znalazła się w ogromnym niebezpieczeństwie, a jeśli zginie, zostanie pochowana w jednej z tych podziemnych krypt, obok Vorlinga, i będzie musiała towarzyszyć mu przez wieczność. Czy jeden duch może się znęcać nad innym? Czy szkielet Vorlinga mógłby wypełznąć z trumny i walić w wieko trumny Kanii?

O bogowie, o święci, myślała, kręcąc się i ukrywając twarz w poduszce. Och, sprawcie, by jego kości pozostały martwe.

– Nigdy nie mogłem zasnąć przed bitwą – odezwał się Fenris.

Marra obróciła się ku niemu, mimo że nie widziała jego twarzy.

– To będzie bitwa?

– Nie mam pojęcia, czego się spodziewać. Niewykluczone, że będzie walka. Ale może przewędrujemy tylko podziemnymi korytarzami, pożegnucha pomacha rękami i będzie po wszystkim.

Marra potrząsnęła głową, zapominając, że i on nie widzi jej w ciemności.

– Wątpię. Gdziekolwiek z nią idę, dzieje się coś strasznego, coś magicznego, przez co żałuję, że tam z nią poszłam.

– Tak, zauważyłem pewien wzorzec.

– Ale pewnie to i tak lepsze od walki.

– Uhm. – Marra wyobrażała sobie minę Fenrisa, lekkie wykrzywienie kącika ust. – Walki są straszne, ale też proste. Wiesz, co robisz. Hm, no dobrze, to nie do końca prawda. Wiesz, co powinno się robić. Jest dużo wrzasku, grzmocenia, a potem podnosisz wzrok i jest po wszystkim. Ale po kilku bitwach wiadomo już, jak to mniej więcej wygląda. Natomiast magia... Nie mam bladego pojęcia, jak to działa i dlaczego. – Fenris zamilkł na tak długo, że Marra pomyślała już, że zasnął. Ale odezwał się po chwili. – Nigdy nie bałem się tak bardzo jak wtedy, gdy opuściłem targowisko goblinów. Gdybyś mnie stamtąd nie wyprowadziła, nadal chowałbym się w kącie, licząc, że wszystko samo się rozwiąże.

Marra zamrugła w ciemności.

– Ale ja cię wcale nie wyprowadziłam. Wyszliśmy razem. Przez pół drogi się na tobie opierałam.

Fenris zaśmiał się cicho.

– Ja pamiętam to inaczej. To ty trzymałaś mnie za ramię. Byłaś niezwykle spokojna i dzielna, mimo że właśnie ktoś wyrwał ci ząb.

Marra wzdrygnęła się na wspomnienie Zębipląsa.

– Wcale nie czułam się ani spokojna, ani dzielna.

– Wobec tego świetnie to ukrywałaś.

Nie wiedzieć czemu, łatwiej rozmawiało się po ciemku. Marra nabrała tchu.

– Teraz też nie czuję się odważna. Tylko sfrustrowana. Mam ochotę wbiec do pałacu i wydrzeć Kanię z łap tego monstrum, ale nie mogę tego zrobić. Gdybyście nie znaleźli dzisiaj wejścia do katakumb, pewnie zrobiłabym coś głupiego.

– Nie ma sprawy, byle ze mną.

– Wolałabym, żebyś nie zginął przez moją głupotę.

– Już dawno pogodziłem się ze śmiercią.

– Fenrisie!

– Nie, nie bądź taka wstrząśnięta. Na co jeszcze komu się przydam? Ty dałaś mi coś, co nada znaczenie mojej śmierci. I zawsze będę ci za to wdzięczny.

– Żadnego umierania – rozzłościła się Marra. – Nie chcę, żebyś ginął! Chcę, żebyś dożył sędziwego wieku, żebym mogła kiedyś powiedzieć: „Hej, Fenris, pamiętasz, jak poszliśmy do tych okropnych katakumb, pożegnucha mówiła tak tajemniczo, a Agnes machała w naszą stronę pisklakiem?”. A ty odpowiesz: „Oczywiście, że pamiętam” i nie będę zmuszona wyjaśniać tego wszystkiego komuś, kto tam nie był.

Cisza po drugiej stronie pokoju nagle zgęstniała i nabrała wymowności. Marra przygryzła wargę.

– Poza tym – dodała – ktoś musi mi rąbać drwa. Przywykłam do wygody.

– Hmm.

Marra znów się przekręciła. W żadnej pozycji nie było jej wygodnie.

*Jeśli go o to poproszę, pomyśli, że mu się oświadczam.*

*...Czyżbym mu się oświadczała?*

*Nie. Skądże! Nie w takiej chwili. Tylko wszystko pogorszę i skomplikuję, a i tak wszystko już jest okropne i skomplikowane.*

*Ale może już nigdy nie będę miała okazji...*

*Ale jeśli to zrobię, to będzie dziwne i niezręczne, a jeśli zginiemy, to w atmosferze dziwności i niezręczności, a tego nie zniosę.*

Marra uderzyła głową w poduszkę, a potem się poddała.

– Fenris?

– Tak?

– Nie wiem, jak o to poprosić, żebyś mnie nie zrozumiał źle...

– W porządku.

– Pamiętasz, jak spaliśmy po drodze, plecy w plecy?

Nie odpowiedział, ale skrzypnęło łóżko, a potem spędzony z jej nóg Kościpies fuknął z urazą, po czym jej materac ugiął się pod ciężarem siadającego na nim Fenrisa. Marra przesunęła się pod ścianę, robiąc mu miejsce.

Jego plecy emanowały takim ciepłem i dawały takie poczucie bezpieczeństwa, jakie pamiętała. Westchnęła i coś jakby się w niej rozluźniło, choć nie potrafiła zdecydować, czy chodziło o szczękę, coś w brzuchu, czy o coś w duszy.

- Święty z ciebie człowiek, Fenris – wymamrotała, naciągając koc na ramiona.
- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo – odmruknął.

\* \* \*

Spali, ile mogli, a kiedy już nie mogli spać, siedzieli beczynn timer i gapili się w ściany. Zjedli. Marra zarzuciła na siebie płaszcz z pokrzyw, obserwując, jak sownie sukno załamuje kształty. Fenris wyszedł i wrócił po godzinie z pakunkiem żywności.

– Kto wie, ile nam tam na dole zejdzie – wyjaśnił. – Lepiej, żebyśmy nie umarli z głodu.

Marra gorączkowo obliczała czas. Jeśli dziecko urodziło się przed północą, do chrzcin zostały tylko dwa dni. Jeśli po północy, mieli trzy. Żadna z tych opcji nie była dobra.

Na ich korzyść działało jedynie to, że o tej porze roku wcześniej zapadał mrok. Gdy tylko zaczęło zmierzchać, Marra wstała i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju.

– Na miłość bogów! – westchnęła pożegnucha. – Lepiej już chodźmy. Wolę walczyć z umarłymi, niż patrzeć, jak Marra wydeptuje dziurę w podłodze.

– Będziemy musieli walczyć z umarłymi?

– Wszystko jest możliwe.

Marra przystanąła.

– Słyszałam historie o hienach cmentarnych, którym wydarto dusze i teraz straszą w katakumbach.

– Tak bywało. – Pożegnucha wstała i pochyliła laskę, żeby kura mogła wskoczyć na swoją grzędę. Agnes włożyła kurczaka pod szal.

Całą procesją zeszli na dół, gdzie w korytarzyku natknęli się na gospodynię.

– Bardzo dziękujemy za gościnę – rzekła pożegnucha. Jej słowa brzmiały jak groźne oświadczenie, jakby skazywała gospodynię na wieczne przyjmowanie podziękowań.

Panna Margaret potrzebowała chwili, by otrząsnąć się z oszołomienia. Dygnęła uprzejmie. Kukła łąpała wrednie z jej ramienia.

Pożegnucha szybko, niczym atakująca żmija, wyciągnęła rękę i schwyciła lalkę za głowę. Gdy tylko palce staruszki zamknęły się na drewnie, kukła zawisła bezwładnie. Sznur na szyi Panny Margaret rozluźnił się i kobieta łapczywie wciągnęła powietrze do płuc, łapiąc się za grdykę. Po bokach szyi widać było



bruzdy od częstego zaciskania sznura, a nieustannie obcierana skóra goiła się tyle razy, że pozostały na niej czerwone plamy, pokryte łuską jak u smoka.

– Teraz nic ci nie robi – zapewniła ją pożegnucha.

– Nie rób mu krzywdy! – krzyknęła Panna Margaret pełną piersią. – Zostaw go w spokoju!

– Nic mu nie zrobiłam. Jeśli go puszczę, wszystko będzie tak jak zawsze. Ale ponieważ byłeś dla nas miła, chcę ci dać wybór. – Staruszka pochyliła się ku gospodyni, wysoka, sucha, istota z pyłu pustynnego, szokująco niepasująca do tego małego korytarzyka. – Wystarczy słowo, a będziesz wolna. Zniszczę go i już nigdy nie będzie cię niepokoił.

Wybór był tak oczywisty, że Marra ani na moment nie zwątpiła w odpowiedź Panny Margaret, więc tym większym szokiem były dla niej jej słowa.

– Puść go! – wrzasnęła kobieta, szarpiąc rękę pożegnuchy. – Zostaw go w spokoju! Nigdy ci nic nie zrobił! Nikomu nigdy nic nie zrobił!

...Co?

– Jesteś pewna? – zapytała pożegnucha niewzruszona niczym śmierć.

– Puść go! Nie rób mu krzywdy!

– Jak chcesz. – Pożegnucha puściła kukłę i cofnęła się.

Lalka wykrzywiła drewnianą twarz w grymasie dzikiej wściekłości, a gospodyni przygarnęła ją niczym dziecko, tuląc do piersi.

– Już dobrze – gruchała. – Już w porządku. – Po czym zwróciła się gniewnie do pożegnuchy: – Idźcie już.

– Jak chcesz – powtórzyła pożegnucha i cała czwórka po raz ostatni opuściła pensjonat. Kościpies cicho dreptał za nimi.

\* \* \*

– Co tam się stało? – syknęła Marra, odzyskując mowę. – Co... Dlaczego... Czy on nadal ją kontrolował?

– Nie chciała go stracić. – Pożegnucha wzruszyła ramionami. – Miała wybór.

– Ale wybrała źle! Nie rozumiem! I... I... – Marze zabrakło słów i tylko machała rękami.

– Wiem, wiem – powiedziała pożegnucha.

– Pewnie nie zdaje sobie sprawy... Na pewno nie zrozumiała, co...!

– Zrozumiała, zrozumiała.

– Bała się? Nie uwierzyła nam?

– Może. Ale bardziej prawdopodobne, że nie chciała, by został zniszczony.

– Nie da się pomóc komuś, kto tej pomocy nie pragnie – zagrzmiął Fenris. – Nie możesz zmusić kogoś do zrobienia czegoś, co ty uważasz za słuszne. –

Zawiesił głos, a potem dodał trochę niechętnie: – Cóż. W zasadzie można pomóc na siłę, ale nie należy się wtedy spodziewać wdzięczności, a ostatecznie zazwyczaj okazuje się, że to był błąd.

– Ale...

– Można ocalić tylko te osoby, które chcą być ocalone – rzekła pożegnucha. – Jeśli nadal cię to dręczy, wrócimy tu po wszystkim, o ile przeżyjemy. Ale teraz nie mamy już czasu.

Marra złapała obrożę Kościpsa i zamilkła.

Do kamieniołomów było daleko. Cienie wydłużały się, aż w końcu zwały w jeden, powlekając błękitną zasłoną białe mury miasta. Marra co chwilę spoglądała w górę, na pałac, gdzie czekali jej siostra i nowo narodzony siostrzeniec.

Powiała dziedzica. Po chrzcinach życie Kanii straci dla księcia wartość.

*Nie, niemożliwe. Przecież dzieci tak często umierają... Na pewno poczeka, aż urodzi mu drugiego syna, prawda? Oczywiście. Tak byłoby rozsądniej.*

*Czemu oczekujesz rozsądku od mężczyzny, który znęca się nad swoją żoną?*

Marra ucisnęła skronie. Zaniepokojony Fenris wziął od niej smycz Kościpsa.

– Źle się czujesz?

– Trochę. Ale dam radę.

Miasto opuścili już w całkowitych ciemnościach. Strażnicy ich nie zatrzymywali. Brama znajdowała się w najbiedniejszej dzielnicy, w której mieszkali ludzie zbyt ubodzy na lepsze miejsca. Nikogo nie obchodziło, kto tu wchodzi i kto stąd wychodzi. Obserwowały ich szczury i uliczne koty, i dzieci o oczach ulicznych kotów, ale nikt więcej. Spojrzawszy w dół do kamieniołomu, Marra miała przez chwilę wrażenie, że patrzy w tamtą jamę z poranionej krainy, pełną szkieletów. Białe kamienie bieliły się jak kości oświetlone blaskiem księżyca, a rozrzucone odłamki skalne przypominały czaszki. Umysł podpowiadał jej, że to był bardzo długi, nieprawdopodobny sen, a teraz obudziła się i znów jest na samym początku, i wszystko jeszcze przed nią. Stopa obsunęła się jej na krawędzi i Fenris wyciągnął rękę, by ją podtrzymać.

– Nic mi nie jest – mruknęła. – To nic. – W głowie krążyły jej obrazy Panny Margaret wczepionej w kukłę, więc nic dziwnego, że była trochę wytrącona z równowagi. *Do tego lada moment wejdiesz do przeklętego pałacu umarłych. Coś takiego zwykle rozprzęga nerwy.*

Zastanawiała się, co myślał sobie Mordecai, dotarłszy na skraj bagna, i czy jadowity robak pojawił się przed nim natychmiast, czy bohater musiał wędrować przez mokradła, żeby go znaleźć. Nadal nie mieli mapy. Miała co prawda oderwany fragment gobelinu matki chrzestnej księcia, ale wydawał się on nieprzydatny, o ile nagle nie zacznie świecić albo przemawiać ludzkim głosem.

Kolejny życiowy test na inteligencję i jak zwykle Marra nie poznała nawet pytania.

Wejście do katakumb znajdowało się w połowie zbocza, ale niegdyś zbudowano do niego porządną drogę. Mimo że dawno z niej nie korzystano i przez brak napraw zrobiła się nierówna i wyboista, nadal była stabilna. Jako pierwsze do wejścia podeszły Marra, pożegnucha i Agnes. Fenris szedł z tyłu z Kościpsem na smyczy.

Tunel został wyżłobiony w białym kamieniu, więc kraty odcinały się na jego tle niczym pasma ciemności. Marra zachodziła w głowę, jak zdołają je sforsować. Nie mieli klucza, zresztą w kracie nie było bramki. Przejście zostało zamknięte na stałe. Pożegnucha zastukała kolejno w każdy pręt, chrząknęła, wymamrotała pod nosem kilka słów, a potem końcówką laski uderzyła w żelazo. Pręt roztrzaskał się. Marra aż jęknęła. Pożegnucha zarechotała. Kura również. Staruszka uderzała w pręty, a te rozpadały się jak czarne sople.

– To magia? – szepnęła Marra. – Możesz zrobić to samo z mieczami gwardzistów?

– Tak jakby – odmruknęła pożegnucha. – Pewnie bym mogła, gdybyś mi dzień wcześniej dostarczyła ich ostrza.

– Wczoraj wieczorem zrobiła coś z tymi kratami – wyjaśnił Fenris przyciszonym głosem. – Natarła piaskiem, a potem wylała na nie coś z małej fiolki.

Marra stłumiła westchnienie. Magia jak zwykle zdawała się bezużyteczna, jeśli chciało się uzyskać efekt w rozsądnych ramach czasowych.

Przeszli przez połamane zęby krat, wkraczając do korytarza. Fenris owinał sobie końcówkę smyczy wokół ręki, a z plecaka wyjął świecę. Pożegnucha wygrzebała coś z jednej ze swych licznych kieszeni, wypowiedziała ostro dwa słowa i w jej dłoniach rozjarzył się blask.

– To poświęta księżycowa ze słoika? – zapytała Marra, rozpoznając światło.

– Odrobina. Księżyc nie będzie miał nic przeciwko. Uwielbia takie przygody. – Staruszka zawiesiła buteleczkę na czubku kostura. Na sufit padł gęsty cień brązowej kury, zwieńczony rogami.

– A więc ten ptak to naprawdę demon – powiedział Fenris, przyglądając się ciemnej plamie.

– Oczywiście. Po co miałabym wymyślać tak nedorzeczne kłamstwo?

Światło uwidocznilo wyryte ponad ich głowami napisy.

– Co tam jest napisane? – Marra wskazała je palcem.

– To zaklęcia na rabusiów grobów. Jeśli wejdą, zostanie im wyrwana dusza i już po wieczność będą błędzić... i tak dalej.

– Powinniśmy się martwić?

– Nie, to zwykle tylko straszak – prychnęła pożegnucha. – Ale na wszelki wypadek nie rabujcie żadnego grobu.

Ruszyli naprzód. Tunel był nierówny, widać, że wydrążono go w celach roboczych, nie ceremonialnych. Dno korytarza zaścieniały okruchy skał. Kościpies niuchał wokół, ale najwyraźniej nie wyczuł nic ciekawego.

– Wiemy, dokąd idziemy? – zapytała Agnes. – Musimy znaleźć pierwszego króla. Tego, który związał z rodem życie matki chrzestnej.

– A więc to był założyciel rodu? – upewniła się pożegnucha.

– Tak. To właśnie moc matki chrzestnej pozwoliła mu podtrzymać jego ciągłość. Wcześniej północni królikowie bezustannie obrzucali się klątwami, osłabiając każdy klan, który niebezpiecznie się wzmacnił. Matka chrzestna przeważała szalę. Wyobraźcie sobie tylko! Matka chrzestna zmieniła losy krainy! – Agnes promieniała dumą, jak wtedy, gdy Odnajdek zrobił coś wyjątkowego.

– Nekropolię budowała rodzina – przypomniała Marra. – Więc pewnie musimy iść do najstarszej części i znaleźć najstarszy grobowiec. – Echo odbiło jej głos, zwracając: „...owiec ...owiec ...owiec”.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić – mruknęła pożegnucha.

Kura zatrzepotała skrzydłami, rzucając na ścianę demoniczne cienie.

Tunel otwierał się na komorę zaśmieconą połamanymi trzonkami i starymi balami, których prawdopodobnie używano do toczenia kamieni. Kościpies wykazywał wielkie zainteresowanie zapachami i wszystko wokół trącał nosem. Z pomieszczenia rozchodziły się trzy korytarze.

– Musimy iść najstarszym. – Marra nerwowo wodziła między nimi wzrokiem. – Ale który jest najstarszy?

Z braku innego pomysłu wybrali najmniejszy. Był tak niski, że Fenris musiał się garbić, a pożegnucha, ku niezadowoleniu kury, trzymać kostur pochylony.

Wkrótce jednak nierówności pod stopami zniknęły, a tunel się rozszerzył. Pożegnucha przystanęła i rozejrzała się wokół.

– Chyba weszliśmy już do samego grobowca.

– O rany! – Marra również się zatrzymała. Widziała co prawda podziemną, łukowato sklepioną komnatę, miejsce ostatniego spoczynku siostrzenicy, ale nigdy nie zastanawiała się nad rozległością katakumb.

To naprawdę był pałac umarłych. Sklepienia niknęły w mroku. Cały pensjonat, w którym spędzili miniony tydzień, mógłby się zmieścić do tej groty. Ściany pokrywały płaskorzeźby przedstawiające niekończącą się procesję wojowników i różnorodnych bestii w wiecznych pościgach. Wokół, na stojakach, niczym łądygi zboża jeżyły się drzewce, a ostrza nadal połyskiwały matowo, mimo upływu nie wiadomo ilu lat.

Na środku, na podwyższeniu, znajdował się sarkofag obity metalem. Katafalk miał kształt niedźwiedzia trzymającego trumnę na grzbiecie. Bestia zatapiała kły w jakimś nieszczęsnym stworzeniu.

Fenris aż gwizdnął. Echo świstu zabrzmiało jak świergot ptaków kotłujących się gdzieś wysoko pod sklepieniem.

– Co za ostentacja – skwitowała pożegnucha. Położyła dłonie na wieku sarkofagu i zaraz się skrzywiła. Marrę uderzyła niespójność tego widoku: chuda staruszka w szacie złożonej z kieszeni i sznurka, pewna, że zdoła rozkazywać komuś, kogo złożono w takim grobowcu!

– Nic – oświadczyła pożegnucha, odstępując od trumny. – Ten duch odszedł dawno temu.

– A co, jeśli tamtego króla też już tu nie będzie? – zmartwiła się Marra.

– Gdyby go nie było, nie mógłby trzymać matki chrzestnej pod działaniem zaklęcia. Nie, nie, gdzieś tu jest. Pewnie całkiem wściekły.

– To pocieszające – stwierdził Fenris. – Jestem dogłębnie pocieszony – dodał i wymienił pełne zadziwienia spojrzenie z Marrą, która wbrew sobie się uśmiechnęła.

Z komnaty w przeciwnych kierunkach prowadziły dalej dwa przejścia. Fenris z Marrą poszli w jedną stronę, drugie wyjście pozostawiając do zbadania pożegnusze i Agnes. Kościopies biegał pomiędzy nimi, znudzony brakiem zapachów czy jakiegokolwiek ruchu.

– Ach – westchnęła Marra po wejściu do komory. – No tak.

Komnata była zdecydowanie mniejsza, a na ścianach znajdowały się ślady czerwonej farby. Nie było tu żadnej broni ani rzeźbień, tylko małe słoje zdobione złotem. Maską pośmiertną na sarkofagu przedstawiała twarz kobiety młodszej od Marry. Może to tylko gra światła, ale Marze wydawało się, że oczy zmarłej przepełnia smutek.

– Jego żona – powiedział Fenris. Z komory wchodziło się do dwóch mniejszych, w zasadzie niewiele większych od nisz. Fenris zajrzał do każdej z nich i zawrócił, potrząsając głową.

– Tu raczej go nie znajdziemy.

– To jej dzieci, tak?

– Tak.

Fenris wziął ją za rękę. Marra wyobraziła sobie małe trumienki i zastanawiała się, czy są mniej, czy może bardziej bogato zdobione od tej, w której leżała jej siostrzenica. Cieszyła się, że Fenris trzyma ją za rękę. Był taki żywy. On i Kościopies, który żywy nie był, ale nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Chodźcie – zawołała Agnes. – Tu jest korytarz.

Tunel okazał się równie szeroki jak komora, w której leżała żona króla. Rozciągał się w obu kierunkach i rozgałęział po tej stronie co grobowiec, w którym stali.

– Pani Lisico? – zagadnął Fenris pożegnuchę. – Masz z nas najwięcej doświadczenia w tych sprawach. W którą stronę teraz?

– Ha! – Staruszka uniosła laskę ze światłem. – Moi zmarli byli porządnymi ludźmi, pogrzebanymi w ziemi. Nie w takich zimnych labiryntach. Wasz duch grzechotałby tutaj jak groch w misce. Nie mam pojęcia.

Problem rozwiązał Kościpies, który wyrwał się w stronę jednego z odgałęzień. Okazało się jednak, że chciał tylko podnieść nogę przy jednej ze ścian, co też z godnością uczynił, podczas gdy reszta udawała wielce zainteresowanych reliefami.

Świeżo namaszczony korytarz prowadził do kolejnej groty, podobnej do pierwszej, ale bez przejść do innych komnat.

– Kawaler? – zastanawiała się Marra. – Czyli nie przedłużył rodu.

– Nic dziwnego. – Fenris wskazał brodą na sarkofag. Maska przedstawiała bardzo młodą, lecz napiętowaną bólem twarz. W komnacie znajdowało się niewiele broni. Wycofali się i poszli w drugą stronę. Na końcu korytarza znajdował się bogato zdobiony próg, z którego rzeźbienia rozciągały się kilka metrów w głąb pomieszczenia. Przedstawiały wykrzywione w okrzyku twarze, wyciągające się ręce i połamane ostrza.

– To trochę niepokojące – podsumowała Marra, trącając jedną z postaci czubkiem buta.

– Wrogowie pokonani w walce? – podsunęła Agnes. – A może grzesznicy strąceni do piekieł?

– Oni tu wierzą w piekło?

– Wierzą – odpowiedziała Marra. – Dusze zamarzają w nim w wiecznym chłdzie. – Pokręciła głową. Idea była jej obca, od kiedy o niej usłyszała. W Królestwie Portowym wierzono, znacznie rozsądniej, że zmarli wędrują do morza, a tam ci dobrzy się odradzają, a potępieni toną i na dnie zostają pożarci przez kraby. Z drugiej strony nie dziwiła się mylnym przekonaniom Północnego. Pewnie nie mieli tu za wiele krabów. – Nie chcę po nich deptać.

– To tylko kamień – stwierdziła pożegnucha trzeźwo. – Te postaci nigdy nie były żywe. – Weszła na krzyczących ludzi, omiatając skrajem płaszcza ich twarze. Reszta, jedno po drugim, poszła za nią.

Ten grobowiec był równie okazały i pełen przepychu, jak skromna była komora żony. Pod ścianami stały posągi srogolicego boga północnego, które – choć miały twarze – robiły wrażenie gardeł czyhających, by połknąć nieostrożnych.

Po bokach sarkofagu stały niekształtne postaci. Marra zatrzymała się, próbując wywnioskować coś z formy i zaskakującej liczby nóg...

– Ach! – szepnęła w końcu. – Och, rozumiem.

Chłód podziemnego pałacu zaskakująco dobrze zakonserwował truchła koni. Ciała zwierząt wyschły i zapadły się, ale sylwetkę dało się rozpoznać. Utrzymywane palami przebijającymi ich ciała, trwały przy swoim panu. Dumne łuki ich szyj zapadły się, ale nadal widać było, że to rasowe wierzchowce, a ich rzędy były ozdobione złotem.

– Bogaty człowiek – rzekł Fenris. – Skoro pochowano go z takimi rumakami bojowymi.

– Ojciec? – mruknęła pożegnucha, przyglądając się sarkofagowi. – Czy może syn? Idziemy do przodu czy się cofamy?

– Jeśli będziemy iść wystarczająco długo w jednym kierunku, broń powinna się zmieniać – podsunął Fenris, studiując rzeźby na ścianach. – Tutaj siodła mają strzemiona. Jeśli znajdziemy grobowiec, gdzie ich nie będzie...

– Gdyby udało się znaleźć jakiegoś przeklętego ducha, po prostu bym zapytała – irytowała się pożegnucha. Uderzyła w wieko sarkofagu, aż poniosło się echo. – Ale te tu są zbyt spokojne, zbyt długo martwe. Potrzebujemy świeższego ciała. A przynajmniej rozwścieczonego ducha.

Marra nie zdążyła się na dobre tym zaniepokoić, ponieważ następny umarły, na którego się natknęli, był bez wątpienia wściekły.

## ROZDZIAŁ 18



Sarkofag znajdował się w bocznej krypcie głównego grobowca i mógł należeć do konkubiny. Do jego wykonania wykorzystano kosztowne i wykwintne złoto, jadeit, drewno różane, a piękna maska pośmiertna była ozdobiona lapis lazuli. Zdawało się jednak, że wykonano ją w pośpiechu. Jakby wszystko ponakładano szybko i w strachu. Jadeitowe płytki, które odpadły od sarkofagu, chrzęściły pod stopami, a ściany były ozdobione nie rzeźbami, a wyblakłymi freskami. Wejście do komory, z prostym, nieozdobionym progiem, skrywał cień jednego z groźnych posągów.

– Ta – oznajmiła pożegnucha z zawodową satysfakcją. – Ta tutaj. Jest stara, ale pełna urazy.

Staruszka wyciągnęła coś z kieszeni – Marra dostrzegła przebłysk pomarańczowej czerwieni, przypominającej cynober – wypudrowała barwnym proszkiem dłoń, a potem zastukała w wieko jak do drzwi.

Marra spodziewała się, że potrwa to kilka minut, jak przy utopionym chłopcu, że poczuje powolne narastanie lęku, zanim upiór się pokaże, ale ledwie zdążyła się przygotować, a cała komnatka wybuchła.

Z trumny wystrzelił kłęb kurzu. Kafelki rozprysnęły się wokół. Fenris osłonił sobą Marzę i Agnes, a Kości pies, bezgłośnie szczekając, rzucił się do chwytania latających kafelków. Pośrodku tego chaosu tylko pożegnucha stała nieporuszona, roztaczając blask księżyca, osłonięta cieniem swego chowańca niczym tarczą.

– Uspokój się – powiedziała. – Albo położę cię z powrotem i znajdę sobie do współpracy innego ducha. Twój gniew nie robi na mnie wrażenia.

Cały sarkofag skręcił się, jakby ożył, zsunął z katafalku, a potem przewrócił maską w ich stronę.

Piękna twarz pozostawała nieruchoma, ale oczy żyły i pałały furją.  
*obudziłaś mnie!*



Głos składał się z echa, grzechotu spadającej na posadzkę, niedbale przytwierdzonej mozaiki i brzęku złotych ornamentów, drżących jak metalowa pajęczyna.

*jak śmiałaś mnie obudzić!*

*ty, prostaczko! chamko! wkradłaś się do grobowca wielkiej... wielkiej... małżonki królów, wielkiej...*

– Nie pamiętasz swojego imienia, prawda? – raczej stwierdziła, niż zapytała pożegnucha. – To się zdarza, zarówno królom, jak i pospólstwu. – Stuknęła laską o posadzkę. – A więc co przez tak długi czas utrzymywało cię w gniewie?

*zastąpiono mnie! zastąpiono... zastąpiono!* – W pomieszczeniu znów zawirował wicher. – *oddalono! jak śmieli! jak śmieli! nie wiedzieli, kim jestem?! jestem wielka... wielka...* – I znów uderzenie wiatru, wrażenie wrzasku niesłyszalnego dla ludzkich uszu, jak krzyki walczących gdzieś w górze nietoperzy.

– Biedactwo – uzaliła się Agnes, uniknąwszy zapędów Fenrisa, chcącego ją chronić. – Zostałaś odsunięta? Byłaś kochanką króla?

*kochanką?! byłam jego żoną, przez siedem lat! ale nie dałam mu dziecka, więc wziął sobie inną, a kiedy jej bachory zaduszono szkarłatnym sznurem, to mnie o to posądzono! mnie! mnie!*

– Zrobiłaś to? – zapytała pożegnucha, raczej z zainteresowaniem niż ze zgrozą. *nie.*

*a żałuję. żałuję, że nie byłam naprawdę winna i nie odesłali mnie do rodziców, żebym szczała w samotności. przynajmniej wiedziałabym za co.*

*nie kochałam ich, ale nie, nie zabiłam.*

Marra pomyślała, że Vorling w swojej niegodziwości przynajmniej się nie krył.

– Chyba natknęliśmy się na trop jakiegoś pradawnego skandalu – rzekła Agnes. – Zhańbiona księżniczka odesłana w niełasce do ojca-króla.

*zhańbiona.*

*o tak.*

*nie mogli mnie zabić, więc zamknęli mnie tutaj. zostałam pochowana żywcem, by mogli ukryć swą hańbę.*

Fenris gwałtownie wciągnął powietrze.

*szokuje cię to, prostaku?*

*ja też byłam wstrząśnięta, leżąc tu, pod ziemią.*

*krzyczałam, ale nikt nie przyszedł, aż w końcu umarłam. A wtedy też nikt nie przyszedł.*

– A więc pochowali cię żywcem... – Pożegnucha się zasepiła. – Znasz rozkład katakumb?

*nie.*

*po co mi on?*

*jestem królową, nie grobołazem.*

Pożegnucha przymrużyła oczy.

– Co widziałaś, gdy cię tu prowadzono? Musieli już zacząć drążyć grobowiec dla twego ojca, ale dziadek leżał w swoim. Jak wyglądała jego komnata?

Maska przewróciła namalowanymi oczyma.

*nie wiem. nie obchodzi mnie to.*

*dawno umarł. poza tym był nudny.*

*jestem królową, małżonką królów, wielką...*

Pożegnucha pacnęła ufarbowaną dłonią w wieko, a duszyca pisnęła, jakby staruszka i ją uderzyła.

*aua!*

*jak śmiesz, chamko!*

*nie wiesz, kim jestem?*

– Nie, i ty chwilowo też nie.

Duszyca zawirowała w komorze, odrywając płytki, ale gdy pożegnucha uniosła dłoń, wszystko ucichło. Gdy widmo znów przemówiło, zrobiło to ponurym tonem podobnym do lamentu urażonych ptaków.

*został pochowany ze swoją łodzią.*

*zawsze o niej głądził i głądził, miałam ochotę wrzeszczeć z nudów. kursy po rzekach, za młodu, bla, bla, bla. nudy, nudy, nudy.*

– Dziękuję – rzekła pożegnucha z powagą. – Bardzo mi pomogłaś.

*nie obchodzi mnie pomaganie ci, wieśniaczk.*

*też jesteś nudna.*

*wkrótce pochwyti cię koło złodziei i będziesz tu wyła w ciemnościach po wsze czasy.*

*i nie myśl, że będę się do ciebie odzywała, chamko.*

– Koło złodziei? – powtórzyła pożegnucha, ale duszyca tylko się zaśmiała.

Omiotła sobą jeszcze raz, już słabiej, kryptę, unosząc odłamki jadeitu na wysokość kolan, a potem maska pośmiertna zamknęła oczy i sarkofag stał się zwyczajną trumną strąconą z katafalku. Złote ornamenty ucichły.

– Poszła? – zapytała Marra.

– Tak jakby. – Pożegnucha wzruszyła ramionami. – Nadal tu jest, ale nie chce wyjść, a ja musiałabym zużyć za dużo mocy, żeby skłonić ją do wyjścia.

– Wyobraźcie sobie, tkwić tu tyle czasu w nieustannej złości – mruknęła Agnes.

– Poczucie krzywdy i chęć odwetu postarzają ciało, ale dusze zatrzymują w pół drogi do wieczności – stwierdziła pożegnucha pragmatycznie. – A ktoś pochowany żywcem za zbrodnię, której nie popełnił, z pewnością ma w sobie

wiele gniewu, który go napędza. Wątpię, by za życia była miła, ale w końcu nie grzebie się żywcem ludzi tylko za to, że są snobami.

– Jak myślisz, czym jest koło złodziei? – dociekała Marra.

– Nie mam pojęcia.

– Bywałem w krainach, gdzie przestępców łamano kołem – powiedział Fenris powoli. – Przywiązywano ich po obwodzie i zostawiano tak na śmierć z wycieńczenia. Okropność.

– Tutaj tak się nie robi – zauważyła Marra. – W każdym razie nigdy o czymś takim nie słyszałam. – Zmarszczyła brwi. – Oczywiście, może za czasów tej duszycy było inaczej.

– No, ale przynajmniej wiemy, że trzeba szukać łodzi – przypomniała Agnes rozsądnie.

Odnaleźli łódź dwadzieścia minut później, sprawdzwszy kilka tuneli wiodących do komór pomniejszych członków królewskiego rodu oraz ich powinowatych i krewnych. Pożegnucha nie zauważyła żadnych duchów, więc jeśli tam były, to głęboko spały.

– O, nareszcie. Jest! – oznajmiła Agnes.

Łódź miała jakieś sześć metrów długości i rzeźbiony galion w kształcie groźnie wykrzywionej bestii. Wiosła przypominały odnóża stonogi, a na honorowym miejscu, na pokładzie, znajdowała się trumna. Płaskorzeźby na ścianach przedstawiały fale i wodne potwory i bitwy morskie, a na maszcie wisiał dobrze zachowany żagiel. Na jasnym płótnie widać było nawet niebieskie ślady barwionych pasów.

Marra żałowała, że nie ma czasu, żeby podejść bliżej i dokładnie obejrzeć dzieło sztuki skutniczej. *Nie. Skup się. Musimy znaleźć właściwego króla, zanim rozpoczną się chrzciny.*

– Gdzie teraz? – zapytał Fenris.

– Jeśli założymy, że zakęcie nałożył na matkę chrzestną jeden z najstarszych królów, to musimy znaleźć ojca tego tutaj, a potem ojca jego ojca i tak dalej – rzekła Marra.

– A więc tam. – Pożegnucha wskazała kierunek, po czym wszyscy przecięli na wskroś komorę ze starożytną łodzią.

W następnym tunelu znajdowało się pięć przejść, ale minęli je. Grobowiec na samym końcu był mniej okazały od tych, które widzieli, za to rzeźby lepiej odwzorowywały rzeczywistość. Marra naprawdę mogła obejść się bez oglądania przyczajonej na nadprożu bestii z paszczą pełną wyszarpanych wnętrzości wyczelowanych drobiazgowo i z miłością do ostatniej girlandy i zakrętu. Sala grobowa stanowiła coś w rodzaju skrzyżowania, w jej ścianach widniały cztery

otwory wejściowe. Popatrzyli po sobie bezradnie i ruszyli na wprost. Znów trzy odnogi, a potem cztery.

Marra zaczęła mieć drażniące uczucie, jakby już gdzieś coś podobnego widziała.

*Na jakiejś mapie w pałacu? Coś w tym układzie wydawało się jej znajome.*

Nie miała jednak czasu tego rozgryzać. Kolejny grobowiec okazał się obrabowany.

– Na zęby świętych! – jęknęła Agnes. Wieko sarkofagu zostało rozłupane, stojaki na broń ogołoczone. Na posadzce leżała złamana pika, najwyraźniej bezskutecznie wykorzystana jako łom. Z łbów bestii na cokole wyłupano klejnoty i teraz stworzenia łypały pustymi oczodołami.

– Nie skończyli go łupić – oświadczyła pożegnucha w zadumie.

– Skąd wiesz?

– Doświadczone pożegnuchy rozpoznają takie rzeczy. Może ktoś przeszkodził złodziejom albo sami stchórzyli i uciekli. – Pożegnucha przyłożyła dłoń do sarkofagu i przekrzywiła głowę. Po chwili powiedziała: – Duch pochowanego tu człowieka stracił większość osobowości. Pewnie jest zły, że jego grobowiec okradziono, ale energii nie zostało na tyle, by się nam przydał.

Tuż obok rozległ się świst i wszyscy aż podskoczyli. Kości pies szarpnął się na smyczy. Fenris trzymał go mocno, ale kościany pies tak mocno ciągnął, że omal go nie wywrócił.

– Duch? – zapytał, siłując się z psem.

– Na pewno nie ten tutaj – odrzekła pożegnucha. – Jakiś inny błądzi po korytarzach. – Cofnęła się. – Nie mogę go znaleźć...

Kości pies uspokoił się powoli, a iluzoryczna sierść opadła. Świst się nie powtórzył.

Usłyszeli go dwa grobowce później. Tym razem Kości pies naprawdę zaszczekał, a upiorne echo jego głosu poniosło się niczym przenikliwy krzyk ptaka.

– Nie podoba mi się to – ogłosiła Agnes.

– Nie mogę go namierzyć – stwierdziła pożegnucha. – Powinien być zakotwiczony w jakimś ciele, ale nie jest. Bezcielesnych umarłych znacznie trudniej pochwycić. Ale zwykle nie mogą też zrobić krzywdy żywym.

– Zwykle?

– Nigdy nie mów nigdy.

Ostatnia sylaba wybrzmiewała przeciągle, zdecydowanie za długo:

*...dy ...dy ...dy.*

A potem Marra zdała sobie sprawę, że to nie echo. Odsunęła się od wylotu tunelu, który miała za plecami.

...ać ...ać ...kać ...kać ...uciekać!

– Czy echo właśnie kazało nam uciekać? – rzuciła mimochodem Agnes, układając sobie wygodniej Odnajdka. Wyglądała na znacznie spokojniejszą niż Marra.

– Czy widmowym echom leży na sercu nasze dobro? – zastanawiał się na głos Fenris, również zaskakująco opanowany.

– Rzadko – odpowiedziała pożegnucha.

Otoczają mnie szaleńcy, pomyślała Marra. Kocham ich, ale może jednak powinniśmy uciekać. Cofnęła się kolejny krok.

...kać ...kać ...uciekać...chodzi ...nadchodzi ...łapie ...zaraz ...uciekać...

„Kuok”, gdała kura podejrzliwie.

Z tunelu, którym przyszedli, buchnęły świsty. Echo przyspieszało, a cała czwórka zaczęła się o siebie potykać.

...uciekać! Nadchodzi! Kryć się! Złodzieje! Uciekać! Uciekać!

Kościpies wpadł w szal. Fenris przestał szarpać za smycz, po prostu złapał go wpół, a jego ręce przeszły przez iluzję, zamykając się na kręgosłupie. Pożegnucha huknęła laską w posadzkę. Kura zaskrzeczała.

Koło złodziei wypełniło korytarz, po czym wtoczyło się do komnaty.

\* \* \*

Kiedyś rzeczywiście mogło być kołem. Może, gdy było mniejsze, może, gdy było na nim pięć, dziesięć dusz, stłoczonych, przewalających się jedna na drugą. Koło toczyło się, a upiorne twarze krzyczały, zanim zostały wprasowane w podłogę, napędzając masę zakłęcia. Teraz twarze były dziesiątki, a koło przypominało grubego ślimaka, rozciągającego się w korytarzach, wysokiego na trzy metry i bogowie wiedzą jak długiego.

*Uciekać! Kryć się!*

*Nadchodzi!*

*Uciekać, złodzieje! Uciekać!*

Koło wypełniło otwór wejściowy, falując krzykami jak oddechami. Echo wrzasków wypełniło komorę. Niektóre z twarzy miały ręce, którymi gwałtownie wymachiwały, i Marra uświadomiła sobie, że to uwięzieni w środku rabusie grobów starają się ostrzec żyjących. *Nie grożą nam. Próbują ostrzec, skłonić do ucieczki, zanim koło złapie i nas.*

Pożegnucha stała twardo, a potem zrobiła krok naprzód, w kierunku koła złodziei.

– Bezcieleśni umarli – zwróciła się do niego. – Nie jesteśmy złodziejami. Nie macie nad nami władzy.

Mówiła tak spokojnie, z taką pewnością, że Marra jej uwierzyła. *Oczywiście, że pożegnucha sobie z tym poradzi. Przecież jest panią umarłych. Może budzić duchy i znów układać je do spoczynku. Czemu w ogóle w nią zwątpiłam?*

Koło złodziei zawyło dziesiątkami gardeł i popędziło prosto na pożegnuchę.

Księżycowy blask zgasł. Komora pogrzażyła się w ciemnościach.

Marra odskoczyła od koła, zataczając się w ciemnościach. Potknęła się o coś i upadła, zdzierając sobie skórę z dłoni. Wokół rozlegały się wrzaski, krzyki, lamenty umarłych, a ponad zgiełk wybijało się wściekłe gdakanie kurzego demona.

Coś ją pochwyciło. Chyba nie człowiek. Wydawało się, że wielka fala kleju ogarnia połowę jej ciała. Marra krzyknęła i uderzyła to coś. To był błąd. Ręka utknęła jej w mazi. Dziewczyna zachowała na tyle przytomności umysłu, że odrzuciła głowę do tyłu, by fala nie zalała jej ust.

– Marra! – zawołał Fenris.

A potem koło ruszyło, ślizgając się obrzydliwie. Marra uderzyła głową o skalną ścianę i zobaczyła przed oczami świetliste punkciki.

*Uciekać! Uciekać!*

*Uciekać!* Piszczwały twarze wokół niej. A potem jedna, tuż przy jej uchu, szepnęła: *Wybacz, wybacz. Nie można tego zatrzymać, to toczy się i toczy...*

Przemierzali kolejny korytarz? Chropowaty kamień obtarł jej plecy. Niesiona do przodu, jednocześnie ześlizgiwała się nieubłaganie do tyłu, w chybotliwym, wywołującym mdłości ruchu. *O bogowie, pomyślała jasno. Zaraz mnie pochłonie i zostanę na zawsze pod pałacem Północnym jako duch.*

Wydało jej się to wyjątkowo okropne. Nawet nie sama śmierć, ale uwięzienie w tym pałacu umarłych, którego zaczynała z dziką pasją nienawidzić. Jej plecy ocierały się o kolejne kamienie, ale nie mogła na to nic poradzić, bo pochylenie się w stronę koła oznaczałoby zanurzenie twarzy w mazi, a wolałaby zedrzeć sobie skórę do żywego, niż to zrobić.

*Wybacz, wybacz, szlochał głos przy jej uchu. Próbuję, ale to się nie chce zatrzymać...*

– Już dobrze – zareagowała machinalnie. Była bliska zwymiotowania, ciągnęło ją w stronę istoty składającej się ze zgubionych dusz i kleju, a mimo to próbowała kogoś pocieszyć. A jakże. I właśnie tak zginie, zapewniając swojego mordercę, który godzi ją w serce, że nie ma nic przeciwko temu.

Nagle koło złodziei ją puściło. Może zawędrowała już na sam koniec? Gruchnęła o podłogę, a potem szczęśliwie straciła przytomność.

## ROZDZIAŁ 19



Ocknęła się i poczuła lodowate zimno. Leżała zwinięta pod pokrzywowym płaszczem, nie miała bladego pojęcia, jak długo.

Na pewno wystarczająco, żeby kamienna podłoga wyciągnęła z niej całe ciepło. Przez chwilę próbowała usłyszeć odgłosy koła złodziei, ale wokół panowała cisza.

– Fenris? – zawołała. – Agnes? Pożegnucho?

Odpowiedziało jej tylko echo. Znikąd nawet iskierki światła.

Wstała i rozpostarła ręce, szukając po omacku ścian. Znajdowała się w tunelu. Jeszcze raz bezowocnie zawołała przyjaciół.

– Jeśli zgubisz się w lesie, zostań na miejscu – mruknęła do siebie. – W ten sposób inni cię znajdą. Ale to nie las, a ja nie mam tyle czasu...

W którą stronę powlekło ją koło złodziei? Jak daleko ją zabrało? Nie miała pojęcia.

Odetchnęła głęboko i szczelnie owinęła się płaszczem z pokrzyw.

– No dobrze – wymamrotała. – No dobrze.

Wybrała kierunek i ruszyła naprzód.

Drzwi do komór ustępowały pod naciskiem jej dłoni. Nie zbaczała. Największe grobowce znajdowały się na końcach korytarzy. Szła naprzód, aż natrafiła na próg, a potem dalej, brodząc w całkowitych ciemnościach. Echo kroków wskazywało na duże pomieszczenie.

Gładki metal. Rzeźbiony kamień. Proste krawędzie. Kształt wydawał się znajomy. Marra zdała sobie sprawę, że to pośmiertna maska. Raptownie cofnęła ręce i czmychnęła pod ścianę, gdzie uświadomiła sobie, że straciła orientację i nie wie, z której strony weszła. Jak miała teraz poznać, czy idzie we właściwą stronę? Oparła się o ścianę i zachciało się jej płakać.

*Zgubiłam się. Zgubiłam się w ciemności i umrę tutaj. Możliwe, że pożegnucha nie żyje. Och, Mateczko od Wilgowronów, pomóż mi, błagam. Próbowałam pomóc sobie sama, ale chyba nie dam rady...*

Cisza. Zimno. Pył.

I naraz w smolistej czerni pod pałacem Marra dojrzała światełko.

Początkowo była to iskierka, bardziej złota niż blask pochodni. W pierwszej chwili Marra pomyślała, że może wcale jej tam nie ma, bo iskra przypominała złudzenia, które pojawiają się po tarciu powiek. Ale światełko stało się wyraźniejsze, rosło, zbliżało się, wydobywając z ciemności rzeźbione wizerunki martwych królów.

Marra ujrzała kobiecą postać. Idąc, nieznajoma wzbijała stopami tumany światła, niczym obłoczki pyłu.

Marra podniosła oczy. Kobieta w prawej ręce niosła odciętą dłoń, a jej lewy przegub kończył się kikutem.

Święta z gobliniego targowiska.

Dużo później Marra zadała sobie pytanie, skąd w ogóle święta w katakumbach, bo w tamtej chwili nie zadawała sobie żadnych pytań. Święci to święci. Mogą chodzić, gdzie im się podoba.

Święta uniosła odciętą dłoń, przytykając palec wskazujący do warg znakiem nakazującym milczenie. Marra przykucnęła u jej stóp, zadarła głowę i przytaknęła skinieniem.

Kiedy święta gestem kazała jej iść za sobą, Marra posłusznie spełniła jej wolę.

Posuwały się powoli, ale pewnie. Blask po przejściu świętej rozjaśniał płaskorzeźby przedstawiające ludzi, bogów i dziwne istoty. Na oczach Marry rozgrywały się walki, podczas których wyrzeźbieni generałowie pokonywali armie bestii o kształtach dziwacznych, pięknych i nieznajomych.

Potem krok za krokiem święta zaczęła gasnąć.

Marra miała ochotę krzyknąć, błagać, by nie odchodziła, ale zagryzła dolną wargę. Skoro bogowie interweniowali w jej sprawie, z pewnością nie zostawią jej samej w połowie drogi.

Czekaj. Czekaj i obserwuj. Świat nie zawsze jest okrutny.

Szła po blednących śladach świętej. Złoty blask z wolna się ochładzał, aż przemienił się w srebrzystą poświatę i Marra uzmysłowiła sobie, że święta całkowicie zniknęła, a srebrzysty poblask ma źródło w oddali i jest nim buteleczka księżycowego blasku schwytanego w słoik.

Wtedy puściła się biegiem, nie przejmując się, czy usłyszy ją koło złodziei.

– Fenris! – na wpół łkała. – Agnes! Pożegnuch!

– Marra?



Wpadła do komory i zanim zdołała objąć pomieszczenie wzrokiem, Fenris pochwycił ją w ramiona i wtulił twarz w jej włosy.

– Żyjesz! – wyszeptał. – Myślałem, że cię straciłem. Ale ty żyjesz!

– Wy też żyjecie! – wykrzyknęła. Miała ochotę przez chwilę pomyśleć, co mogły oznaczać wypowiedziane przez niego słowa o jej utracie, ale wydawało się, że nie czas na to. Poza tym był taki ciepły, a ona przemarzła i wtulanie się w niego sprawiało jej taką przyjemność.

– Żyjesz...

– Tak, tak, wszyscy żyjemy – burknęła cierpko pożegnucha. – Tylko nie mocz mi z tego powodu płaszczą łzami.

Fenris w końcu niechętnie ją puścił. Natychmiast przyskoczył do niej Kościpies i zaczął ją lizać po twarzy.

– Co się z wami działo? – zapytała Marra. – Mnie porwało koło złodziei i...

– Mnie też – powiedziała Agnes. – Nie wiedziałam, że ciebie też.

– Kościpies za wami pobiegł – wyjaśnił Fenris. – Pociągnął mnie, a ja pobiegłem za nim, bo uznałem, że najprędzej on was wytropi. Kiedy zgubił ślad, okazało się, że nie wiemy, gdzie jesteśmy.

– Więc jak tu wróciliście? – zdumiała się Marra.

– Ach, dzięki Odnajdkowi. – Agnes poklepała się po dekolcie, gdzie spał zmęczony kurczak. – Kazałam mu się zaprowadzić w bezpieczne miejsce. Potem pojawiła się pożegnucha.

– Kościpies je w końcu znalazł, przyprowadził mnie tutaj – wyjaśnił Fenris. – Właśnie miałem powiedzieć, żebyśmy zaczęli cię szukać, kiedy nagle przyszałaś. Jakim sposobem nas znalazłaś?

– Święta mnie poprowadziła – wyznała Marra. – Ta z gobliniego targowiska. Wytrzeszczyli na nią oczy.

– Ho, ho – przemówiła w końcu pożegnucha.

– Niesamowite! – ekscytowała się Agnes.

– Jeszcze kilka miesięcy temu uznałbym, że kłamiesz albo oszalałaś – oznajmił Fenris. – Teraz chyba raczej dziwi mnie, że nie została na herbatkę.

– Ale jak udało ci się wydostać? Widziałam, jak koło się po tobie przetoczyło – zwróciła się Marra do pożegnuchy.

– Och, to nic takiego! – prychnęła staruszka lekceważąco.

– Zmiażdżyło cię!

– No dobrze, nie takie nic. – Pożegnucha skrzywiła się poirytowana. Marra zauważyła plamy na jej płaszczu w miejscach, gdzie zawartość kieszeni została zgnieciona. Brązowej kurze brakowało kilku piór z ogona. – To byli bardzo nieusłuchani martwi.

– Niegrzeczne trupy. Nie dostaną smaczków – mruknął Fenris pod nosem, ale nie dość cicho.

Marra zakrztusiła się, parsknęła, aż w końcu zaniósła się śmiechem. Zaraz po niej Agnes. Pożegnucha zaplotła ramiona na piersi, a kura gdaknęła z oburzeniem, czym tylko rozbawiła Marrę jeszcze bardziej.

– Cieszę się, że was to bawi – fuknęła pożegnucha, kiedy już się wychichotali.

– Ale co to w ogóle było? – zapytała Marra, wstrząsana jeszcze drgawkami rozbawienia i dreszczami z zimna.

– Kłębowisko. Walcowisko. Rabusie grobów i kilku nieszczęśników, prawdopodobnie budowniczych, którzy zagubili się w labiryncie. Zaklęcie wyrwało im dusze i połączyło razem, by przemierzali katakumby w poszukiwaniu kolejnych. Ale to fatalnie zaprojektowana klątwa. Zapomnieli o wprowadzeniu limitu dusz, więc przez wieki koło zebrało ich zbyt wiele i się zapchało. Dlatego nie mogłam im rozkazywać. Nic już nimi nie rządzi, a cały ten twór błąka się chaotycznie. – Skrzywiła się. – Uderzyłam go i uciekł. A ponieważ nic nie ukradliście, nie mogło wchłonąć waszych dusz, więc powlekło was ze sobą. Nadal gdzieś tam błądzi, ale już się do mnie nie zbliży.

– Możesz odczynić to zaklęcie? – zapytał Fenris. – Uwolnić te dusze?

– Mogłabym, gdybym miała na to parę dni. Ale nie mam, więc tylko to odgoniłam. – Popatrzyła na nich z góry i ściągnęła usta. – Kończy nam się czas.

– Tak? – zdziwiła się Marra.

– Jak to? – Agnes popatrzyła na nią zaskoczona.

– Na trochę zemdlałam – przyznała Marra. – Ile mnie nie było?

Fenris nagle spoważniał.

– Prawie cały dzień. Musimy się pospieszyć. Inaczej nie zdążymy przed chrzcinami.

\* \* \*

Cztery tunele i skrzyżowanie. Dwa skrzyżowania i trzy korytarze. Przez umysł Marry znów przemknęło wrażenie, że skądś zna ten wzorzec, że gdzieś już coś takiego widziała, ale skojarzenie nie wypłynęło na wierzch. Może nie było to istotne.

Wreszcie odnaleźli grobowiec pierwszego króla.

Był mały. Marra spodziewała się wielkości, wspaniałości, ogromnych łuków podtrzymywanych rzeźbionymi postaciami wojowników, złota, jadeitu i okazałości. A grobowiec okazał się niewielką komnatką o belkowanym stropie. Jakby od niechcienia na wieko sarkofagu rzucono jeden miecz. Maska pośmiertna

króla była bardzo prosta, a przez jej czoło biegło pęknięcie przypominające bliznę.

Największe wrażenie robiły ściany. Czerwona i czarna farba lśniła w uwięzionej poświacie księżycowej. Freski – surowe, proste – przedstawiały ludzi o twarzach, na których farba z czasem przybrała niebieski odcień, tak intensywny, że wyglądało to, jakby po ścianach grobowca maszerowała armia błękitnoskórych wojowników. Pośrodku nich, na tronie, siedział niebieski król, trzymający na kolanach miecz.

Pożegnucha położyła dłonie na sarkofagu i wydała z siebie krótki, ostry śmiech, podobny do szczeknięcia lisa.

– O tak – powiedziała. – Ten jest tutaj.

– Na pewno?

– Tak. To jakby w pokoju był śpiący niedźwiedź. – Zamknęła oczy i pochyliła się, opierając na rękach. – Zbudź się, umarlaku. Mamy do ciebie sprawę.

Marra, co prawda, była gotowa na wszystko, ale myślała, że może pośmiertna maska przemówi tak, jak było w przypadku pogrzebanej żywcem córki. Tym razem jednak miecz zabrzączał o wieko, a namalowany król uniósł głowę i wbił w pożegnuchę spojrzenie pigmentowych oczu.

*Co tu robisz?*

Słowa były bezdźwięczne, ale ich echo odbiło się od ścian grobowca.

Marra miała wrażenie, jakby ktoś je wbijał prosto do jej czaszki żelaznym młotem. Były ciężkie, a za nimi kryła się wola niczym stal i kamień. Kościpies zaskomlał i schował się za Fenrisem.

*Dlaczego naruszasz spokój mego grobu?*

– Musisz zwolnić ze służby matkę chrzestną – oznajmiła pożegnucha. – Zbyt długo już pozostaje w mocy zaklęcia, to szkodzi twoim potomkom.

*Matka chrzestna? O jakiej matce chrzestnej mówisz?*

– Mówię o kobiecie, która błogosławi twe dzieci i służy królewskiej dynastii.

*Ach, ta wiedźma.* Marra aż poczuła w głowie metaliczny posmak jego pogardy. *Ja wygrałem. Ona przegrała. Mogłem ją zabić na miejscu, ale obdarowałem nieśmiertelnością. Powinna być mi wdzięczna.*

Dłonie pożegnuchy, wsparte na wieku, zwinęły się w pięści.

– Wieczna niewola to żaden dar.

Malowany król zmarszczył brwi. Stojący za tronem wojownicy drgnęli, zafalowali i unieśli tarcze. Łucznik napiął węglową linię swej cięciwy.

*Kim jesteś?*

– Tą, która rozmawia z umarłymi.

*Kim jest dla ciebie wiedźma?*

– Nikim szczególnym. Nigdy się nie spotkałyśmy. Ale nie pozwolę, by żywy służył po wieczność martwemu. Uwolnij ją, a zostawię cię w pokoju.

*A więc błagaj. Może wtedy ją uwolnię.*

Pożegnucha uniosła brwi.

– Myślisz, że nie posunę się do błagania o czyjeś życie? Zrobię to, jeśli to cię przekona.

Niebieski król odwrócił wzrok. Błękitny pigment zmarszczył się wokół czarnej, zgryźliwej kreski ust.

*Na pewno ubawi.*

– Ubaw to za mało. Musisz ją uwolnić.

*Nie zrobię tego.*

Pożegnucha zdjęła jedną rękę z sarkofagu i chwyciła nią oparty o trumnę kostur. Brązowa kura zatrzepotała skrzydłami.

– Wobec tego będę z tobą walczyła.

*Ty? Ty, która raptem przeżyłaś jedno marne życie śmiertelnika, będziesz walczyła ze mną o wiedźmę, która powinna była umrzeć tysiąc lat temu? Król zaczął się śmiać. Był to dudniący, huczący dźwięk, który jeszcze bardziej niż słowa brzmiał jak łomotanie młotkiem o metal. Marra miała wrażenie, że jej czaszka zmieniła się w kowadło. Odejdź, mała cmentarna paplo. Jestem od ciebie starszy i potężniejszy.*

Pożegnucha przesunęła palcami po pęknięciu na masce i huczący śmiech w głowie Marry natychmiast zamarł.

– O, tutaj – powiedziała staruszka spokojnie, jakby omawiali, gdzie umieścić szew. – Tutaj, tak.

Zbliżyła rękę do kury, która weszła na jej przedramię. Marra nieraz trzymała na ręce jastrzębia, a żaden nie wyglądał tak dumnie, jak kurzy demon w tamtej chwili. Pożegnucha opuściła kurę na sarkofag, a ta wbiła dziób dokładnie w szczelinę w masce.

Wrzask króla brzmiał jak przełamywany kawał metalu, długi, przenikliwy zgrzyt, od którego Marze aż zaszczękały zęby. Serce waliło jej jak młotem. Kościpies zaszczekał, ale nie było to szczekanie ostrzegające, a wysokie, nerwowe ujadanie wystraszonego psa rozpaczliwie wzywającego na pomoc swoją sforę. Ledwie słyszalne, zawisło w powietrzu.

*Co ty wyprawiasz, wiedźmo?!*

– Walczę – oznajmiła pożegnucha, jakby to była rzecz oczywista. Kura zaczęła łupać dziobem w pęknięcie, przerywając tylko po to, by co jakiś czas przejechać po nim szponami.

– Tam dzieje się coś jeszcze – szepnął Fenris. – Prawda? – Oparł się ciężko o ścianę obok Marry, ściskając palcami skronie. – To nie tylko ta kura na masce.

Pożegnucha robi coś...

– O tak! – potwierdziła Agnes, która jako jedyna wydawała się dobrze bawić, obserwując wszystko błyszczącymi zaciekawieniem oczyma. – Widzicie, jak... Ojej, pewnie nie widzicie. Ale uwierzcie, to niesamowite. Jego magia jest nieprzydatna jak miecz na stojaku, a ona... nie, to okropne porównanie. To nie tak, zupełnie nie tak. Ale to świetne, naprawdę świetne!

– Świetne? – powtórzyła Marra słabo, ogłuszona rozbrzmiewającym w głowie wrzaskiem króla.

– Odpuść – rzekła pożegnucha. – Chciałeś chronić swoich potomków, ale w zamian za to przez całe pokolenia skracałeś ich życie. Ich dusze zasilają zaklęcie podtrzymujące życie matki chrzestnej. Ja widzę to wyraźnie. A ty nie?

Mówiła tak przekonująco, że Marra odruchowo zaczęła wpatrywać się w powietrze nad sarkofagiem, jakby było tam coś niewidocznego dla oczu śmiertelnika. Ale w tym miejscu unosił się tylko pył i raz po raz pojawiała się głowa kury pracowicie rozłupującej maskę.

*Zakłęcie działa. Działo przez tysiąc lat. Moi potomkowie są silni, przetrwali. Nie pozwolę ci tego zniszczyć.*

– Jesteś martwy – przypomniała pożegnucha zimno. – Twój czas władania rodem minął. – Kurzy demon rąbał maskę, aż leciały wióry. – Nie mogą dłużej żyć w twoim cieniu.

Król zebrał się w sobie. Marra poczuła to, jakby grobowiec nabrał tchu. Namalowani wojownicy unieśli ostrza, łucznicy wypuścili strzały, celując w pożegnuchę. Uwięzieni we fresku nie powinni móc jej dosięgnąć, ale przez moment zdawało się, że malowidło wciąga staruszkę, a strzały muszą przesyć jej ciało...

Uniosła jednak kostur, blask księżycy pojaśniał, a rysunkowe strzały rozpadły się na drobinki farby i spadły na podłogę.

*Nie ugnę się!*, syknął martwy król, podnosząc się z tronu.

– A więc cię złamię. – Pożegnucha grzmotnęła laską o malunek na ścianie.

W małej komorze rozległ się ogłuszający grzmot. Księżycowy blask zgasł. Coś metalowego brzęknęło, upadając na podłogę. I znów Marra stała w całkowitej, gęstej ciemności. Usłyszała widmowe skomlenie Kościpsa i tuż obok, tam, gdzie stał Fenris, odgłosy krzesania ognia.

– Świeca... – mamrotał. – Gdzie ta świeca...? O, jest!

Pojaśniało. Pożegnucha na wpół zwiślała, na wpół leżała na sarkofagu, a zmierzwione włosy opadały jej na ramiona. Dźwignęła się i rozejrzała, poirytowana. Brązowa kura stała nad pękniętą na dwie części maską z pogodną miną, jaką tylko kura może mieć. Potem ptak uniósł kuper, wypróżnił się na

królewską maskę i pomaszerował na ramię pożegnuchy, gdzie gdał z zadowoleniem.

Fenris uniósł świecę. Miecz leżał na ziemi. Na fresku król znów siedział na tronie, łucznicy stali jak dawniej, tylko teraz przez malowidło biegło poszarpane pęknięcie podobne do błyskawicy. Przecinało twarz króla i tarczę najbliższego stojącego gwardzisty.

– Już po wszystkim? – zapytała Marra. Powietrze wydawało się dziwnie nieruchome, a grobowiec jeszcze mniejszy niż wcześniej. – Odszedł?

– Nie, nie odszedł – powiedziała pożegnucha. – Tacy ludzie trzymają się świata całymi wiekami. Ale oderwałam jego palce, połużniając chwyt rzeczywistości, a to powinno wystarczyć, żeby matka chrzestna zdołała wyslizgnąć się z więzów zaklęcia.

– I to tyle? – zdumiała się Marra. – Tylko tyle?

– Tylko tyle – potwierdziła pożegnucha, postępując zamaszyście naprzód, po czym równie zamaszyście osunęła się półprzytomna na podłogę.

## ROZDZIAŁ 20



Cóż, to jednak nie było takie „tylko tyle” – powiedziała Agnes po tym, jak już uratowali oburzoną kurę i upewnili się, że nie połamała sobie kosteczek. Pożegnucha słabo protestowała, kiedy sadzali ją pod ścianą i poili wodą. – Nie pokonuje się martwego króla-czarownika ot tak, żeby potem z marszu udać się na śniadanko.

– Nic mi nie jest – burknęła pożegnucha, po czym spróbowała wstać i poniosła spektakularną porażkę.

– Głupie stworzenie, zasilala własną energią zakłęcie aż do utraty przytomności – wyrecytowała Agnes, zdumiewająco dobrze naśladowując pożegnuchę. – Czy nie tak właśnie powiedziałas o mnie?

Kura zaskrzeczała rehotliwie. Pożegnucha łypnęła gniewnie na Agnes i wyrwała jej z ręki bukłak.

– Dobra. Może sobie na to zasłużyłam. Może.

– Na pewno.

– Możesz iść? – zapytał Fenris. – Bo w razie czego mogę cię ponieść.

– Mogę – warknęła pożegnucha. – Dajcie mi laskę. I chwilę.

– Nie wiem, ile tej chwili jeszcze mamy. Moje wyczucie czasu jest słabe, ale wydaje mi się, że raczej nam się on kończy.

– Niewykluczone, że w ostateczności dam radę zaczarować to dziecko, nawet jeśli nie zdążymy na chrzciny – powiedziała Agnes bez wielkiego przekonania. – Ale ponowne zaczarowanie nie jest tak skuteczne, nie u ludzi. Kiedy nada się dziecku imię, to nagle cała jego przyszłość rozwija się jak ciasto, ale to nie trwa długo. Życie zaczyna je piec bardzo szybko.

– To dopiero koszmarnie porównanie – podsumowała pożegnucha zjadliwie. – Niech mi ktoś poda laskę, żebyśmy mogła jej wbić trochę rozumu do głowy.

Agnes zachichotała, a Fenris wstał, żeby przynieść kostur.

– Miecz spadł z sarkofagu – oznajmił.

– Weź go – poleciła pożegnucha. – To mój łup wojenny. Ale dam ci go. Może ci się przydać, a nawet koło złodziei nie weźmie tego za kradzież.

Przyjęła od niego laskę i tym razem udało się jej ustać prosto, przy wydatnej pomocy Fenrisa i wątpliwej – płaczącego się pod nogami Kościpsa.

– Co teraz? – zapytała Marra. – Matka chrzestna księcia nie żyje?

– Tak sędzę – odpowiedziała pożegnucha. – Ja na jej miejscu nie zabawiałabym tu dłużej. – Zrobiła chwiejny krok naprzód. – Jestem ciekawa innych zaklęć, które ludzie rzucali przez te lata. Jeśli któreś z nich jest aktywne, teraz, gdy matka chrzestna nie żyje, może będą musieli wypić piwo, którego sobie nawarzyli.

Dotarli do wyjścia i przystanęli w progu. Przed sobą mieli tunel z trzema przejściami po jednej i dwoma po drugiej stronie.

– Gdzie teraz? – zapytała Agnes. – Całkiem się pogubiłam, kiedy to wrzeszczące coś mnie wlokło.

– Powrót do źródła to jedno – rzekł Fenris, unosząc świecę. – Teraz możemy natrafić na tyle ślepych zaułków... Może Odnajdek mógłby pomóc?

– Wątpię – sposepniała Agnes. – W końcu jesteśmy tu dużo bezpieczniejsi niż na górze, w pałacu, prawda? Może, jeśli skończy nam się woda i zapasy, ale i wtedy Odnajdek będzie nas prowadził korytarzami tak, żeby unikać koła złodziei.

*Trzy przejścia po jednej stronie... Dwa po drugiej... sześć po jednej... pięć po drugiej...*

*Wiesz, co przedstawiają? A więc mogę ci to dać.*

– Już wiem! – Marra zaśmiała się z niedowierzaniem. – Mieliśmy to ze sobą przez cały czas! Gobelin.

Wydobyła z plecaka postrzępiony fragment tkaniny, rozwinęła go i przesunęła palcami po splocie nici. Trzy rzędy, środkowy ścieg ciągły, a dwa skrajne to kombinacja pętelki otwartej i splot ciągły. Sześć pętelek w rzędzie. Kiedy zobaczyła to po raz pierwszy, uznała, że to nieprzemyślane, brzydkie, niezręczne wykonanie, ale nie. W ten sposób zostały oznaczone otwory w ścianach tuneli katakumb. Sześć korytarzy, a potem splot ciągły, oznaczający... *Oznaczający co? Właściwe przejście? Tak! To właśnie to.* Znów się roześmiała. Fenris zaglądał jej przez ramię.

– To mapa? Bo nie wygląda.

– Nie, nie mapa. To wskazówki. Matka chrzestna nie mogła nam pomóc, nie bezpośrednio, ze względu na zaklęcie, którym została związana, więc nie mogłaby mi dać wskazówek, gdybym wiedziała, że to one. Ale ponieważ wzięłam to za wyjątkowo nieudany gobelin, mogła mi go podarować.



Prawdopodobnie nie było to najbardziej udane tłumaczenie. Fenris miał skonfundowaną minę. Zaczęła więc wyjaśniać tajniki splotów pętelkowych i ciągłych, ale w odpowiedzi podniósł ręce w obronnym geście.

– Potrafisz to odczytać?

– Tak.

– To mi wystarczy. Prowadź.

– Najpierw muszę ustalić, gdzie jesteśmy. Złoty węzeł... Czy to król, czy... Nie, wzór nie pasuje. Myślę, że to wyjście. Pałac albo inne wyjście. Muszę tylko odnaleźć na gobelinie miejsce, w którym się teraz znajdujemy.

Wodziła palcami po grubych niciach, zdając się na dotyk tam, gdzie zawodził ją wzrok. Trzy pętliki po jednej stronie, dwie po drugiej i splot ciągły w linii środkowego rzędu wskazują, że dotarłaś do celu – tak, jest! Marra obróciła tkaninę i ruszyła na wprost. Fenris oświetlał drogę, Kościplies skakał wokół Agnes, a ponura pożegnucha zamykała pochód, stąpając nierówno po kamiennej posadzce.

– Splot ciągły . . . – mamrotała Marra do siebie. – Pętlika, pętlika . . . splot ciągły, tutaj. – Skręciła w oznaczony korytarz, a potem w następny.

– Tędy przyszedliśmy – stwierdził Fenris. – Jak na razie wszystko się zgadza.

Marra nabrała pewności siebie i przyspieszyła. Gobelin ożył pod jej palcami, wiedziała już, dokąd zmierza. Nie zdawała sobie sprawy, że biegnie, dopóki Fenris jej nie zawołał.

– Marra! Zaczekaj.

– No tak, tak. – Przystanęła i zaczęła, aż pożegnucha i Agnes ich dogonią. – No tak. Przepraszam. Po prostu... – Wykonała nieokreślony gest nad głową. *Jaki to dzień? Która godzina? Chyba jeszcze się nie zaczęło? Musimy być już blisko.* Czas nagle jakby się zmateriałizował i gnał, mijając ją, niczym przeciąg w tunelach. *Co stanie się teraz, po śmierci matki chrzestnej? Ze starymi zaklęciami? Agnes uważa, że może posłużyć się swoją mocą, jeśli zdążymy na chrzciny, albo pożegnucha rzuci zaklęcie na Vorlinga, albo obudzi umarłych, ale nie może tego zrobić teraz...* Marra zastanawiała się gorączkowo, czy zdąży zobaczyć się z siostrą przed ceremonią i ostrzec ją, że coś się stanie. Będzie na to czas? A może zaklęcia rzucone wieki temu tylko czekały na swój moment i w tej chwili eksplodują jak fajerwerki w całym pałacu?

Podążali za drogą wszytą w gobelin, wracając po swoich śladach, a potem nic wskazywała trasę inną od marszruty, którą dostali się do grobowca protoplasty rodu. Fenris się rozejrzał.

– Chyba nie tędy przyszedliśmy – zauważył. – Ale ufam twoim wskazówkom.

– Nie przejmujcie się nami! – zawołała Agnes. – Idziemy z tyłu.

Marra odetchnęła głęboko i powiodła ich w ciemność.

Trasa okazała się krótsza niż ta od wejścia w kamieniołomach. A może tak się tylko wydawało, ponieważ posuwając się w głąb labiryntu, sprawdzali każdą odnogę i często zawracali? Kiedy dotarli do komory, z której nie było drugiego wyjścia, Marra złąła się, że źle odczytała jakąś wskazówkę, ale Kościopies podbiegł do kilimu, który falował, poruszany przeciągiem. Za tkaniną znajdowały się ukryte drzwi. A potem, zanim Marra się zorientowała, szli w stronę jaśniejącego zarysu, przez który wydostali się do... świątyni matki chrestnej.

Było to małe pomieszczenie, ale przez rzeźbioną, ażurową ściankę widać było główną salę. Może kiedyś kapłani przygotowywali tu kazania? Wkroczyli do wielkiej komnaty, Fenris z mieczem w gotowości. Tak jak poprzednio, matka chrestna siedziała na podwyższeniu, a jej ciało tworzyło doskonały trójkąt – czaszka, ramiona, szata. Gospodyni przemówiła, nie zwracając głowy w ich stronę.

– Opuść miecz, wojowniku. Podejrzewam, że tak czy owak wkrótce umrę.

– Nie chciałem... – zmieszał się Fenris i opuścił rękę z mieczem. – Wybacz, pani.

– Nie ma czego wybaczać – zaśmiała się. – Ale nie ty mnie wyzwoliłeś. Ani nie ty. – Spojrzała na Marę, a potem przeniosła wzrok na wchodzącą Agnes. – Ty zaś, bardzo potężna, choć starasz się to ukryć, nie potrafisz rozkazywać umarłym. A więc zostaje... Ach, no tak. To ty mnie uwolniłaś.

Pożegnucha skłoniła głowę.

– Mogłam umrzeć, gdy zaklęcie zostało złamane – rzekła matka chrestna. – Zastanawiałam się, czy tak nie zrobić. Byłam jednak ciekawa, komu zawdzięczam wyzwolenie. – Przyjrzała się badawczo twarzy pożegnuchy, przesunęła wzrokiem po jej płaszczu i w końcu utkwiała wzrok w kurze siedzącej na lasce. – Dlaczego to uczyniłaś? Nigdy nie wyświadczyłam ci żadnej przysługi. I znajdujemy się bardzo, bardzo daleko od twych dróg zmarłych.

– Spełniłam prośbę przyjaciółki – odpowiedziała pożegnucha.

– Ach. – Matka chrestna uśmiechnęła się, a pod wpływem ruchu skóra zaczęła jej pękać jak tynk na murze. Na oczach oniemiałej ze zgrozy Marry jej fragment odpadł od kości policzkowej. Pod spodem nie było krwi, tylko gładka, zbrązowiała kość. – Tak. Agnes, mogłabyś mi podać filiżankę? Chyba właśnie umieram, napiłabym się jeszcze herbaty.

Agnes podbiegła do niej i drżącymi rękami napełniła filiżankę. Próbowwała ją włożyć w dłonie matki chrestnej, ale okazały się tylko kostkami uprzejmie złożonymi w kupkę prochu.

– Och, nie! – jęknęła Agnes. – Ojej. – Ukłękła, przytknęła filiżankę do prastarych warg i przechyliła naczynie.

– Dziękuję – powiedziała matka chrzestna, poruszając ustami przy krawędzi czarki, a potem się rozpadła.

Marra cofnęła się, ale wszystko odbyło się dziwnie spokojnie, kości zapadły się w tkaninę szaty, pył osiadł na posadzce wokół. Matka chrzestna nie miała wiele ciała, same kości, skóra i żelazna wola. Szaty nadal utrzymały się w kształcie doskonałego trójkąta dzięki sztywności złotego brokatu.

– Niech to – szepnęła Agnes, ocierając oczy. – Muszę zrobić odpowiednie wrażenie. Muszę zostać złą matką chrzestną. Nie mogę płakać.

– Nareszcie zaznała spokoju – powiedział Fenris.

Agnes spojrzała na niego kpiąco.

– Sądzę, że od wieków zaznawała wyłącznie spokoju. To nad jej życiem chce mi się płakać.

Wstała, otarła dłonie o spódnicę. Wydawała się taka drobna, taka biedna w tej swojej bezkształtnej sukience i szalu, w którym spał kurczak. Niesforne kosmyki włosów falowały wokół jej twarzy, a dookoła oczu rysowały się zmarszczki zatroskanego uśmiechu.

Potem odetchnęła pełną piersią, otrząsnęła się, a jej oczy zalśniły blaskiem zielonym niczym trucizna.

– No dobrze – powiedziała. – Idziemy.

\* \* \*

Drzwi do świątyni były zamknięte od środka i ktoś gwałtownie się do nich dobijał. Strażnik. Oczywiście, przecież przed domem matki chrzestnej stał strażnik. Łomotanie w metalowe wrota brzmiało jak odgłosy gongu. Kiedy Fenris otworzył, wartownik aż zatoczył się w tył zaskoczony, z otwartymi ustami.

– Matka chrzestna! – wyjąkał. – Została wezwana i powinna przyjść i zawsze przychodziła, ale teraz nie przyszła. Gdzie jest? Spóźni się! – Przy ostatnich słowach głos mu się załamał, a panika odjęła mu lat.

Agnes poklepała go pocieszająco po dłoni. Marra trzymała się z tyłu, kryjąc się w cieniu i rozważając, czy będą zmuszeni grzmotnąć strażnika w głowę, ale wtedy Agnes powiedziała:

– Nie martw się, przyjdzie.

– Tak, tak – poparła ją pożegnucha. – Przepraszamy. Musieliśmy się z nią skonsultować w sprawie... najwyższej magii.

Strażnik zamrugał, patrząc na nią, a potem przeniósł spojrzenie na kostur i siedzącą na nim kurę.

– Ach. Hmm. Bo... Już jest gotowa?

– Tak, tak. Wejdz. Jest jednak niezwykle zmęczona.

Przemknął obok nich, nie poświęcając Marze ani spojrzenia. Zamknęli za nim drzwi, a pożegnucha wyjęła z kieszeni słoiczek i zanurzyła w nim palec. Potem rozsmarowała coś na łączeniu drzwi, tak wysoko, jak sięgnęła, a metal zmiękł i zlał się, plastyczny jak glina.

– Co to? – zaciekawiał się Fenris.

– Szlam gliniany z koła garncarskiego wielkiego świętego. Prawił kazania posągom, a one ożywały i chwaliły bogów. – Staruszka wzruszyła ramionami. – Oczywiście, święty już nie żyje.

– Tak?

– Nie da się bez końca ożywiać posągów do celów religijnych. Prędzej czy później zorientują się, że nie mają dusz, i wszystko kończy się źle dla wszystkich. – Pożegnucha chciała się odwrócić, ale klapnęła na stopniu. – Do diabła.

– Pani Lisico!

– Nie, nie, zostaw – zaprotestowała. Kura gdaknęła ostrożnie. – Mam dość. Idźcie, a ja dopilnuję, żeby nasz przyjaciel wam nie przeszkodził.

– Zabijesz go? – zainteresowała się Agnes, nieszczerze zgorzonna.

– Nie, wystarczy mu utrata pamięci na parę dni. Miejmy nadzieję, że nie przyjął żadnych niespodziewanych propozycji małżeństwa ani niczego podobnego. – Popędziła ich machnięciem ręki. – No idźcie już, idźcie. Słyszeliście, co mówił. Chrzcziny zaraz się zaczną.

\* \* \*

Marra niewiele pamiętała z tego, jak gnani paniką biegli ulicami. Kościpient pędził przy niej. Niedaleko bram pałacowych Fenris złapał smycz i ponaglił Marę i Agnes.

– Idźcie przodem, a ja zrobię wielkie wejście, zaraz za wami.

Nie było czasu na pytania. Marra podbiegła do strażników.

– Moja siostra! – wydyszała. – Moja siostra. Królowa. Jestem jej siostrą. Zakonnica. – Pokazała im naszyjnik z piórkiem wilgowrona. Z trudem łapała dech, licząc, że zadyszka uprawdopodobni jej historię. Wskazała zdenerwowana na podnóże wzgórza. – Mój powóz. Koń. Zgubił podkowę. Proszę. Moja matka już tam jest. Muszę tam być!

Nie spodziewała się, że wybieg zadziała. Nie powinien. Ale strażnicy spojrzeli na nią zdziwieni, potem po sobie, kiedy się między nimi przecisnęła.

Najwyraźniej obaj oczekiwali, że ten drugi jakoś zareaguje, ale nie zareagował żaden, a kiedy otrząsnęli się ze zdumienia, była już w środku.

Dzięki matce od Wilgowronów rozpoznała lokaja stojącego za strażnikami.

– Proszę! – jęknęła do niego. – Proszę! Jestem już spóźniona. Gdzie chrzciny?

– Księżniczka Marra?

– Tak! Mój powóz... koń... – Z tego wszystkiego zapomniała, czy mówiła o zgubionej podkowie, czy złamanym kole, więc tylko zamachała bezradnie rękami.

– Znasz ją? – zapytał lokaja jeden ze strażników. – To księżniczka?

– Tak, tak. Ale gdzie matka chrzestna? – Lokaj wyjrzał za bramę. – Przecież zawsze przychodzi – dodał nieco zagubiony.

– Nie widziałam jej po drodze – stwierdziła Marra. – Zaprowadź mnie do siostry. Matka chrzestna na pewno przyjdzie.

Lokaj poprowadził ją przez hol, nadal popatrując za siebie, czego lokaje nigdy nie robią. Marze ciarki przebiegły po plecach. Agnes idzie za nią? A Fenris? Przyjdzie? Udało im się minąć strażników? Na pewno, ale Marra i tak czułaby się pewniej, gdyby towarzyszyła im pożegnucha.

*Dam radę, pomyślała zawzięcie. Dam radę. Wykonałam dwa niewykonalne zadania i odnalazłam drogę powrotną z pałacu umarłych. Doprowadzę to do końca. Muszę tylko znaleźć Kanię.*

Dotarli do komnaty pełnej dworzan. Twarze zgromadzonych w napięciu zwróciły się ku otwierającym się wielkim drzwiom. Wszyscy naraz wstrzymali oddechy.

– Matka... Księżniczka Marra! – ogłosił herold przy drzwiach.

Cisza pękła. Dworzanie odwracali głowy i zaczęli między sobą poszeptywać, gdy Marra wkraczała do sali. Znali księżniczkę Marre i wiedzieli, że nie jest nikim ważnym.

– Marra? – powiedziała na jej widok matka, nie dodając: „Gdzie się podziewałaś?” ani „Jak się tu dostałaś?”, choć w oczach miała pełno pytań.

– Gdzie matka chrzestna? – zapytał Vorling. On również wydawał się zagubiony, a Marra zniecierpiała go za tę pobrzmiwającą w jego głosie bezradność, choć nie czuła za to niechęci ani do strażników, ani do lokaja. *Jak śmiesz? – myślała. Jak śmiesz obciążać losem swego rodu kobietę, którą więziłeś tak długo, że aż rozpadła się w pył za życia? Jak śmiesz?* Było to niesprawiedliwe i doskonale o tym wiedziała, ale nie czuła się zobowiązana do sprawiedliwej oceny człowieka, który zostawiał na rękach jej siostry siniaki.

– Marra? – rozległ się głos Kanii. Królowa stała z dala od kołyski i wpatrywała się w Marre wielkimi oczyma. – To ty, Marro?

– Przepraszam za spóźnienie... – paplała Marra, idąc pospiesznie przez wielką salę. Czuła na sobie spojrzenia dworzan, ale wyrażały lekceważenie i pogardę, a to dobrze, to bardzo dobrze, bo nikt nie brał jej na poważnie, nikt nie podejrzewał, jaka nawałnica nadciąga za nią. Wreszcie stanęła u boku siostry i chwyciła ją za rękaw. – Kaniu... Kaniu, muszę ci coś powiedzieć... Kaniu...

– Co chcesz mi powiedzieć?

Marra otworzyła usta i naraz zdała sobie sprawę, że właściwie nie wie, co powiedzieć. Planowała porozmawiać z siostrą na osobności, ostrzec, że tym razem przyjdzie inna matka chrzestna, że prawdopodobnie wydarzy się coś dziwnego, ale Vorling stał niedaleko, a matka obok. – Chodzi... o to, że... spóźniłam się... – Usłyszała swój głos.

– Gdzie matka chrzestna? – przemówił Vorling, zwracając się ku niej. Już nie był zagubiony. Był wściekły. – Idzie za tobą? Co to ma znaczyć? Dlaczego robi się ze mnie głupca w moim własnym pałacu?

Dłoń Kanii podkrađła się do ręki Marry i ścisnęła ją w strachu. Marra uniosła podbródek i spojrzała księciu w oczy. *Nie jesteś wcale taki duży. Jesteś tylko zwykłym, żywym królem. Na moich oczach stara kobieta pokonała umarłego króla. Nie możesz zranić mnie bardziej niż przedza z runa pokrzywowego, nie możesz sprawić, że będę się czuła bardziej zagubiona niż w pałacu umarłych. Nawet twoje okrucieństwo jest małe w porównaniu z tym, co dzieje się w poranionej krainie.*

Możliwe, że książe dostrzegł w jej oczach opór. Tego rodzaju mężczyźni są nań wyczuleni, czyż nie? Postąpił krok w jej stronę, zaciskając dłonie w pięści.

– Wszyscy o nią pytają – odezwała się Marra wyraźnym, pewnym głosem. – Przy bramie nikt jej nie widział. Mówią, że nie żyje.

– Co?!

Zrobił kolejny krok, a Kania cofnęła się gwałtownie. Marra wepchnęła się pomiędzy nich, zasłaniając sobą siostrę. Zastanawiała się, czy przyzwoitość powstrzyma księcia, ale wiedziała, że jeśli postanowiłby pobić żonę, jej siostrę, na oczach dworu, to wszyscy by tylko stali i patrzyli. *Proszę, Mateczko od Wilgowronów. Błagam.*

– Ja będę matką chrzestną tego dziecka! – zawołała Agnes, stając w progu.

## ROZDZIAŁ 21



Agnes wysoka. Agnes z oczami lśnącymi zielenią niczym oczy bestii odbite w płomieniach. Agnes, zła matka chrzestna.

Tym razem to Vorling zrobił krok w tył. Agnes nie wyglądała już jak mała, roztrzepana kobietka, która hoduje kurki i nie do końca radzi sobie z ogrodem. Wyglądała jak istota kipiąca magią, budząca grozę, mroczne odbicie świętej, pasujące bardziej do scenerii targowiska gobliniego niż do sali tronowej.

W pierwszym odruchu Marra miała ochotę rzucić się w stronę kołyski i zasłonić sobą siostrzeńca. Jednak chwyciła tylko mocniej rękę siostry.

Kania szarpnęła się, ale Marra ją przytrzymała.

– Nie rób tego – szepnęła. – Zostaw. To nasza matka chrzestna, tamta, tutejsza nie żyje, klątwa...

Plotła bez ładu i składu i zdawała sobie z tego sprawę, ale to nie było istotne. Nie musiała mówić składnie i rozsądnie. Musiała tylko zatrzymać Kanię, dopóki Agnes nie dotrze do kołyski, potem już szybko będzie po wszystkim.

– Matka chrzestna Królestwa Północnego nareszcie umarła. – Głos Agnes dźwięczał jak stal w kamiennej sali. – Klątwa została przełamana. Temu dziecku ofiarowuję dar na nowe czasy.

Marra spojrzała na Vorlinga otoczonego trójkątymi gwardzistami i dostrzegła, że jego wargi się poruszają. Umarła? Osłupiał, miał taką minę, jakby nigdy nie brał tego pod uwagę, jakby słońce weszło na zachodzie, po czym spadło z nieba.

Agnes pochyliła się nad kołyską i dotknęła opuszkami główki niemowlęcia. Kania znów próbowała się wyrwać, ale Marra trzymała ją w żelaznym uścisku.

– To dar dla ciebie – rzekła uroczyście Agnes. – Będziesz dorastał bez ojca. – A potem, głosem bardziej już swoim, dawnym, dodała: – I w zdrowiu.

Przez kilka uderzeń serca w sali panowała absolutna cisza. Potem wszyscy naraz zaczerpnęli tchu.

– Powstrzymać ją! – wrzasnął Vorling, a jedni dworzanie rzucili się naprzód, inni cofnęli, w zależności od charakteru. Gwardziści ruszyli na Agnes, dobywając mieczy, a ta podkasała spódnicę i rzuciła się w stronę drzwi, już nie wielka, mroczna postać, lecz krągła, mała kobieta o zarumienionej twarzy i z wystającym z szala kurczakiem-niedorostkiem.

– Złapać ją! – darł się Vorling. – To napaść! Zabić ją! Przynieść mi jej głowę! Znaleźć prawdziwą matkę chrzestną!

Strażnicy pilnujący drzwi zastąpili Agnes drogę, nastawiając halabardy. Marra zagryzła pięść, żeby nie krzyczeć. Agnes miała stracić głowę i nie było sposobu, żeby ją ocalić. Udawanie mniszki nie zadziałała... Nie zadziałała...

W korytarzu rozbrzmiało widmowe warczenie. Kościps rzucił się od tyłu na wartownika po lewej, chwycił zębami jedwabne szaty i wraz z tkaniną wydarł kawał ciała z uda mężczyzny. Strażnik wrzasnął, noga się pod nim ugięła i runął na ziemię.

Kościps warczał bezgłośnie i szczyrzył zęby na drugiego wartownika, a Agnes udało się przemknąć przez drzwi na korytarz.

– Dalej! Dalej! – wrzeszczał Vorling do otaczających go gwardzistów. – Łapać ją! Zabić chowańca i przynieść mi jej głowę!

Żołnierze rzucili się w stronę drzwi, zostawiając Vorlinga samego. Cała czwórka ścigała Kościpsa, który nie mógł dać sobie rady ze wszystkimi naraz. *Och, Kościpsie, nie, nie, uciekaj! Fenris! Gdzie jesteś? Ratuj go, Fenrisie!*

Ucieczka jednak nie leżała w naturze Kościpsa. Marra wstrzymała oddech, patrząc, jak masywne szczęki psa zamykają się na kolanie gwardzisty. A potem opadła halabarda i komnata rozbrzmiała widmowym skowytom.

Kości rozprysnęły się na wszystkie strony, maleńkie stawy łap i ogona potoczyły się po posadzce, grzechocąc jak rozsypane koraliki.

Marra jęknęła zrozpaczona, na szczęście jednak wszyscy dworzanie wydawali różne odgłosy przerażenia i zdumienia, więc nikt prócz Kanii jej nie usłyszał.

– Nikczemna magia! – wrzasnął jeden z dworzan, potężny mężczyzna z brodą koloru lisiej kity. – Czarnoksiężtwo!

– Zatrzymać...! – krzyknął znowu Vorling, ale słowo to zabrzmiało miękko i mokro, i niedowierzająco. Marra oderwała wzrok od Kościpsa i spojrzała na Vorlinga.

Fenris trzymał rękę na jego barku, w nieomal przyjacielskim geście, tyle że z piersi księcia sterczał sztych miecza. Vorling wpatrywał się zaskoczony w czubek ostrza, a potem Fenris wyszarpnął klingę. Z ust króla buchnęła krew, padł na ziemię i wyzionął ducha.

– Udało mu się – wyszeptała Marra. – Udało mu się.



Musiał się przybliżyć do księcia przez cały ten czas, gdy oczy wszystkich były zwrócone na Kościpsa i Agnes. Postąpił właściwie. Po to tu przecież przybyli, czyż nie?

Marra jednak oddałaby ten tryumf bez namysłu, gdyby mogła w zamian odzyskać Kościpsa.

Kania odwróciła się. Omiotła spojrzeniem martwego męża i żyjącą siostrę, i Marra widziała, jak w jej oczach nagle pojawia się zrozumienie. No ale przecież, w przeciwieństwie do Marry, Kania nigdy nie była głupia.

Ścigający Agnes żołnierze nagle się zatrzymali, obrócili i pognali w stronę Fenrisa. Było ich pięciu, czterech z mieczami, jeden z halabardą. Fenris nie miał na sobie zbroi, a w ręku trzymał jedynie stary miecz splamiony krwią króla.

Rozejrzał się i napotkał wzrok Marry. Minę miał taką, jak zwykle, mówiła: „Jak to możliwe, że dwoje rozsądnych ludzi wplątało się w coś takiego?”. Potem odwrócił się w stronę nadbiegających gwardzistów, ale w ostatniej chwili Marra dostrzegła, jak w jego oczach mignęło postanowienie, by umrzeć.

Otoczyli go. Uniósł miecz. Marra czuła się jak uwięziona w jednym z tych koszmarów, w którym bez względu na to, jak szybko się biegnie i jak głośno się krzyczy, ruchy są zbyt powolne, a powietrze stawia opór jak klej. Stała więc nieruchomo, jakby nogi wrosły jej w podłogę, ze ściśniętym gardłem, nie mogąc odwrócić wzroku.

Ostrza uniosły się. Wystarczy, że zaatakują go jednocześnie, a go zabiją. Nie mógł się bronić ze wszystkich stron, a oni byli od niego młodszy.

W tym strasznym momencie wyczekiwania rozległ się okrzyk władczyni Królestwa Północnego:

– Stać!

\* \* \*

Gwardziści posłuchali. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale odstępili od Fenrisa, rozszerzając krąg. Spojrzeli na królową, a potem na wojownika.

Kania przemówiła głosem dźwięcznym i mroźnym niczym trzaskający lód.

– Ten człowiek został wysłany przez wrogów, by zabić naszego króla. Zanim umrze, chcę się dowiedzieć wszystkiego, co wie. – Ruszyła naprzód. Gwardziści słuchali jej, a dworzanie patrzyli na nią, jakby była prawdziwą królową, a nie bitą żoną króla. Stała nad kołyską. – Mój syn został przeklęty – mówiła nadal tym zimnym, czystym głosem. – Mój mąż nie żyje. Dowiem się, kto za tym stoi. Chwyćcie go żywcem.

Po kolejnej strasznej chwili zawieszenia zaszła zmiana. Punkt ciężkości przesunął się z ostrz gwardzistów na stojącą nad kołyską królową. Męczyzna

o rudej brodzie zbliżył się do niej i stanął za jej plecami, jakby legitymując jej władzę swoją osobą, a wszyscy dworzanie to zauważyli, co od razu odbiło się na ich twarzach. Marra dostrzegła to, choć nie wiedziała, co to oznacza.

*Proszę, myślała. Proszę, Fenrisie, proszę.* Błagała go spojrzeniem, żeby się poddał. Jeśli przeżyje, będzie mogła go z tego wyciągnąć. Prawdopodobnie. A jeśli nie ona, to pożegnucha albo Agnes, albo ktoś inny.

Fenris położył miecz na podłodze.

Gwardziści rzucili się, by go pochwycić, i nie zrobili tego delikatnie. Padł na kolana, a wtedy unieruchomili mu ręce za plecami i zaczęli wlec w stronę drzwi.

– Wsadźcie go do celi – rozkazała królowa. – Ma być żywy, kiedy będę chciała się z nim zobaczyć, inaczej odpowiecie za jego śmierć własnymi głowami. Czy to jasne?

– Tak, wasza wysokość – przytaknął halabardzista i Fenris został wywleczony z sali.

Kania nie patrzyła na niego. Odwróciła się do Marry, która natychmiast rozpoznała wyraz jej oczu. Tak samo patrzyła, kiedy zrobiła coś, czego nie powinna. Jej oczy mówiły: „Nie waż się na mnie donieść, bo cię dopadnę”.

Nic nie podziałałoby na Marrę bardziej uspokajająco. Nagle znów były dziećmi, połączonymi tajemnicą, a dojmująca świadomość siostrzanej nienawiści, którą Marra nosiła przez całe życie, zniknęła. Marra postąpiła w stronę siostry.

– Próbowalaś nas ostrzec, siostró – rzekła Kania. Podsunęła jej kłamstwo i czekała, aż Marra je podejmie.

– Próbowalam – przytaknęła swoim najbardziej mnisim tonem. – Wybacz, przybyłam spóźniona, a fałszywa matka chrzestna deptała mi po piętach. Wiedziałam, że coś jest nie tak. Niestety nie odgadłam, co planuje.

Kania skinęła głową.

– Twoje ostrzeżenie mogło oszczędzić nam dużo gorszego losu. To była podstępna pułapka, dobrze zastawiona – powiedziała głośno i naraz, ponieważ słowa te wypowiedziała królowa, stały się one prawdą. Wszyscy dworzanie na własne oczy widzieli uciekającą Agnes, a Fenris był przecież tylko jednym człowiekiem z mieczem, a jednak Marra prawie słyszała, jak historia zmienia się w ich głowach.

– Mój syn jest prawowitym następcą – podjęła Kania. – Jednakże nie ma jeszcze tygodnia, a już został napiętnowany klątwą przez wrogów tego królestwa. – Omiotła spojrzeniem salę. – Przyjmę na swoje barki obowiązki regentki, jednak nie poniosę tego ciężaru sama. Potrzebuję lojalnych doradców, którzy staną u mego boku, ludzi, którzy na pierwszym miejscu stawiają dobro królestwa, ponad własne ambicje i pragnienie władzy. – Odwróciła się do

lisiobrodego mężczyzny. – Lordzie Marlinie, czy zechcesz być pierwszym pomiędzy nimi? Czy przyjmiesz tę pozycję?

Lord Marlin z powagą skłonił głowę. Marra podejrzewała, że zaczął planować to już w chwili, gdy ciało Vorlinga runęło na podłogę, ale nie spieszył się, pozwolił wybrzmieć ciszy, aby nadać pytaniu odpowiedniej wagi.

– Tak, moja pani. Na chwałę młodego króla.

– Generale Takise. – Kania spojrzała w inną stronę. – Byłeś zaufanym powiernikiem dziadka mojego syna. Czy będziesz stał tak samo wiernie u boku młodego króla?

Generał Takise miał stalowe włosy i taką samą postawę. Przyłożył pięść do serca.

– Na chwałę młodego króla – powiedział szorstko.

– Wobec tego mamy zgodę – podjęła Kania. Sięgnęła do kołyski i wyjęła z niej synka. – We troje będziemy służyć jako regenci, dopóki mój syn nie osiągnie pełnoletności. A teraz... – Jej głos przepełniły emocje, żal tak dobrze udawany, że wzbudził zachwyt Marry. – Teraz będę opłakiwała męża i poczynię przygotowania do jego pogrzebu. Oraz pogrzebu jego mordercy. A was, współregenci, proszę o propozycje, jak zapewnić memu synowi bezpieczeństwo. Wygląda na to, że ktoś wydał nam wojnę. Musimy się dowiedzieć, kim jest nasz przeciwnik. Jak najszybciej.

Następnie wyszła dumnie z sali, trzymając głowę wysoko, tuląc w ramionach syna i zostawiając dworzan pogrążonych w bezbrzeżnym zdumieniu.

\* \* \*

– To było świetne posunięcie – stwierdziła matka księżniczek niecałą godzinę później. – Masz teraz po swojej stronie dwóch najsilniejszych rywali do tronu.

– Musieli mnie poprzeć, inaczej ryzykowali, że ten drugi zyska przewagę. Takise to dobry człowiek. A Marlinowi nie można ufać za grosz, ale za to jest przewidywalny, bo kieruje nim żądza władzy. – Kania trzymała syna przy piersi, spoglądając nań z konsternacją i zadziwieniem. – Mamo... co, do licha, mam teraz zrobić?

– Dokładnie to, co zaczęłaś. Przejęłaś władzę w chwili, gdy wszystko zawisło w próżni. Gdyby ktoś inny cię wyprzedził i zachował się tak, jakby rządy należały się jemu, straciłabyś wszystko. Ale ty pierwsza wykonałaś ruch i to się liczy.

Marra potrząsnęła głową. Była śmiertelnie znużona, ledwo mogła jasno myśleć.

– Fenris... – zaczęła.

Kania rozejrzała się wokół. Odprawiła wszystkich i teraz we trzy znajdowały się w małej kaplicy, ostentacyjnie modląc się za duszę Vorlinga.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecała na wpół szeptem. – Ale nie wiem, czy uda mi się go oszczędzić. Na oczach wszystkich zamordował króla. Nie wiem, czy to możliwe.

Marra poczuła, jak ściska się jej żołądek. Oparła się czołem o poręcz oddzielającą żałobników od trumien. Na katafalku nie było jeszcze trumny. Czy Fenris spocznie w trumnie?

*Myślałam, że mamy dobry plan. Myślałam, że wszystko przebiegnie składnie. Myślałam, że Agnes rzuci klątwę, a potem magia sprawi, że Vorling spadnie ze schodów albo zadławi się ością, albo coś podobnego. Nie sądziłam, że Fenris po prostu... Po prostu...*

Oczywiście, że to uczynił. Był człowiekiem czynu. Był gotów umrzeć i ujrzał sposób na doprowadzenie tej sprawy do końca. Agnes uciekła. Kania była wolna. Tyran nie żył. Fenris uznał, że to uczciwa wymiana: jego życie za śmierć Vorlinga, ale Marra mogła myśleć tylko o tym, że to niesprawiedliwe, że to jeszcze jedno okrucieństwo obciążające sumienie księcia, jakby Vorling dosięgnął ich zza grobu, by zadać ostatni cios.

– Coś wymyślimy – rzekła Kania i Marra podniosła głowę.

Matka nie wyglądała na przekonaną.

– Czasami ofiary są nieuniknione – powiedziała. – Możliwe, że to się nie uda bez ryzykowania wszystkim, co osiągnęłaś. Twoja pozycja, Kaniu, nie jest jeszcze mocna. Tylko brak jasnych zasad sukcesji pozwolił ci w ten sposób przejąć regencję.

– Niech będzie błogosławiona paranoja północnych władców – mruknęła Kania. – Żaden z nich nie dałby szansy rosnać w siłę nikomu, kto mógłby mu się sprzeciwić. – Pomasowała rękę, a Marra zastanawiała się, jakie siniaki kryją się pod rękawem.

– To prawda, jednak jeśli zobaczą, jak łagodnie obchodzisz się z mordercą męża...

Kania znów popatrzyła na swojego synka, a Marra uświadomiła sobie, że nawet nie zna jego imienia. Przybyli na chrzciny zbyt późno, nie było czasu na konwenanse.

– Tak bardzo go nienawidziłam – powiedziała Kania cicho. – Tak bardzo, od tak dawna. Myślałam, że gdyby umarł, tak ogromny ciężar spadłby mi z serca, ale oto czuję się tak samo strasznie przytłoczona jak wcześniej. Czy on naprawdę nie żyje? Czy to wszystko naprawdę się dzieje?

– Tak, to prawda – zapewniła ją matka.

Kania załkała i był to suchy szloch, gwałtowny, który wystraszył niemowlę. Zaczęło kwilić.

– Dobrze się spisałaś – powiedziała Marra. – Tak mądrze. Z tymi lordami i generałami. Nawet przekonałaś wszystkich, że nie brałam w tym udziału. Nie mogłam w to uwierzyć.

Tym razem szloch podszyty był śmiechem.

– O tak – przyznała Kania. – O tak, to potrafię świetnie. Odtwarzałam tę scenę w głowie przez wiele lat, wyobrażałam sobie, co zrobię, gdy on jakimś cudem umrze. Wyuczyłam się na pamięć każdej reakcji na każdy możliwy scenariusz. Dopiero teraz nie wiem, co robić dalej.

– Wybacz, że nie zrobiłam tego wcześniej – jęknęła Marra bezradnie. – Tak mi przykro. Wszystko zajęło mi tyle czasu, a potem... potem...

Chciała się wytłumaczyć. Doszła do momentu, kiedy budowała Kościpsa, i rozpłakała się, a Kania zapłakała wraz z nią. Wtedy matka objęła je i przytuliła, jak dawniej, kiedy wszystkie były dużo młodsze.

– Pomogę ci – obiecała matka. – Pomogę, na ile zdołam. Nie mogę zostać tu zbyt długo, ale przecież babka może trochę porozpieszczać wnuka, a przez ten czas wszystko poukładamy. Istnieją pewne sposoby, a ty możesz je poznać, żeby powstrzymać resztę dworzan przed próbami przejęcia władzy.

Kania otarła oczy.

– Tak bym chciała, żeby Damia tu była – szepnęła. – Tak bym chciała, żeby widziała, że zło zostało naprawione. Że dokonana się sprawiedliwość.

Marra z trudem przełknęła ślinę. Lało się jej z oczu i z nosa, otarła więc twarz rękawem. Wydawało się jej, że sprawiedliwość to za mało i że przyszła zbyt późno. Kania cierpiała przez długie lata, a matka chrzestna – przez długie wieki. Królowie północni wryli blizny na czasie. Nawet w postaci tego koła złodziei, które nadal toczyło się po labiryncie, nawet w postaci rozjuszonego ducha córki...

*Zostałam pochowana żywcem, by mogli ukryć swą hańbę.*

Marra podniosła oczy. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł, choć zrazu wydał się jej tak straszny jak ten, który pchnął ją na drogę wiodącą do zabicia księcia i rzucenia klątwy na królestwo.

– Wiem, jak ocalić Fenrisa.

## ROZDZIAŁ 22



Pogrzeb księcia Vorlinga był skromny jak na standardy Królestwa Północnego. Zmarły rządził niecałe pół roku, więc ledwo zaczęto przygotowywać dla niego komorę grobową. Jego żona, królowa regentka, oświadczyła, że księżę wolałby, by pieniądze wykorzystane na ceremonię zostały przeznaczone na wzmocnienie obronności królestwa, ponieważ mimo niestworzonych opowieści o pożegnusze, goblinim targu i geis, które snuł hardacki zabójca, państwo najwyraźniej stało się celem wrogich działań i nieprzyjaciel mógł ponowić atak. Do Hardacku posłano dyplomatów z żądaniami wyjaśnień, ale nikt nie był optymistą – w grę wchodziły czary.

Możliwe, że arystokracja miała obawy, iż na tronie zasiadła cudzoziemska władczyni, ale królowa Kania dowiodła, że jest równie bezwzględny władczynią jak dawni królowie. Zabójca został pochowany żywcem u stóp swej ofiary, aby wyzionął ducha w pałacu umarłych, cierpiąc z głodu i pragnienia. Królowa osobiście stała na czele procesji, obserwując, jak opada pokrywa trumny z pośmiertną maską wykrzywioną krzykiem przerażenia.

– Za to, coś uczynił memu mężowi – rzekła. – Za to, coś uczynił mnie.

A potem ciemność skryła twarz hardacczanina i procesja opuściła katakumby pogrążone w pyle i mroku.

Czternaście godzin później Marra z pożegnuchą przypadły do sarkofagu i z całej siły napały na wieko. Przez jeden okropny moment Marra bała się, że to nie wystarczy i będą musiały wrócić z łomami, ale pokrywa cał po calu zaczęła się przesuwac. Udało im się zrobić szczelinę, ale musiały przestać, by złapać oddech.

Gdy w szparze pojawiły się palce, Marra omal nie popłakała się z ulgi. Fenris sam uporał się z pokrywą, po czym usiadł, łapczywie chwytając powietrze.

– To naprawdę ty – szepnął i pochylił się do przodu, opierając czoło na podciągniętych kolanach. – Wyobrażałem sobie, że słyszę głosy, ale tym razem to naprawdę ty.

– Tak, jesteśmy tutaj naprawdę – zapewniała go Marra, a każde słowo przesyłała ją jak igła.

Zrobił kilka nierównych oddechów.

– Tam jest bardzo ciasno. Mimo dziur – powiedział z twarzą lśniąca od łez albo potu. – Ciasno i zimno.

– Przepraszam – powiedziała Marra. – Przepraszam. Tylko to przyszło mi do głowy. – Wyciągnęła go z sarkofagu, a może wyszedł z niego z jej pomocą, a potem objął ją i stali tak jakiś czas, roztrzęsieni.

– Udało się – odezwał się wreszcie. – Choć nie chciałbym tego powtarzać. Ile dni tam spędziłem?

– Trochę ponad pół doby – rzekła pożegnucha.

– Tylko tyle? Wydawało mi się, że znacznie dłużej.

Zasunęli z powrotem wieko i wykradli się z grobowca przez komorę wykutą dla Kanii i małą, smutną komnatkę, w której na kamiennym łożu spoczywała siostrzenica Marry. Marra musiała podtrzymywać Fenrisa, który zdrętwiał i szedł niepewnie, zataczając się.

– Gdzie strażnicy? – wyszeptał.

– Większość poszła z królową – wyjaśniła pożegnucha.

– Nie mogła odwołać gwardzistów pilnujących wejścia przy placu, bo to by wyglądało podejrzanie, ale kazała się eskortować do grobowca matki Vorlinga. Powiedziała, że dawniej nikt nie myślał o matkach i że chce porozmawiać z duchem kobiety, która również straciła dziecko i... Och, to było niesamowite! Naprawdę. Kania jest fantastyczna. Jako królowa. Wszyscy byli pod ogromnym wrażeniem.

– Ja również – powiedział Fenris trochę kwaśno. – Kiedy spojrzała na mnie z góry, gdy leżałem w tej kamiennej skrzyni, wierzyłem, że skazuje mnie na powolną śmierć w ciemności. – Uniósł kącik ust. – I nagle odkryłem, że wcale nie chcę umierać. Nie w ten sposób.

– Przykro mi – powiedziała Marra.

– Niepotrzebnie. Wierzyłem w was. Pomyślałem, że jeśli tylko wytrzymam wystarczająco długo, to... cóż, przyjdziecie z Panią Lisicą i mnie uwolnicie.

– Ja na pewno bym przyszła – parsknęła pożegnucha. – Tylko mógłbyś nie doczekać moich odwiedzin żywy. Martwi są jednak znacznie mniej kłopotliwi.

Fenris znów się zachwiał. Marra się skrzywiła.

– Torturowali cię?

– Niewiele, biorąc pod uwagę okoliczności. Generał Takise jest dobrym człowiekiem, ale jeszcze lepszym wojownikiem i doskonale sobie zdaje sprawę, jak mało skutecznym narzędziem do wydobywania prawdy są tortury. Zmyśliłem opowiastkę, w którą wplotłem prawdę, a on uznał, że chyba jestem szalony, choć po tej całej magii, której był świadkiem, nie był tego do końca pewien. Torturowany człowiek mówi jedynie to, o czym myśli, że mu pomoże, i Takise o tym wie. Dlatego tylko trochę mnie poobijali, a kiedy wciąż powtarzałem to samo, dali spokój. Gdzie teraz pójdziemy?

– Jak najdalej stąd. – Pożegnucha spojrzała przez ramię. – Agnes załatwiła wóz.

– Agnes chodzi sobie ot tak po mieście?

– Wszyscy zapamiętali ją jako bardzo wysoką kobietę o rozjarzonych zielonych oczach. – Marra się zaśmiała. – Wcielenie przekleństwa.

– No, ale tak wyglądała. – Fenris zatrzymał się i oparł o ścianę, żeby porzucić przykurcze w nogach. – Dokładnie tak, prawda? Czy to była ułuda, jak w przypadku Kościpsa?

– Nie, to nie była ułuda – odpowiedziała pożegnucha. – Nie do końca. Umysł wie, jak powinny wyglądać różne rzeczy, a gdy oczy się mylą, umysł jest górą. Magia uważa, że jej właścicielka powinna mieć prawie dwa metry wzrostu i oczy jak wygłodniałe wilczysko. A że ciało Agnes nie odpowiada temu wizerunkowi, to według magii było jedynie przeoczenie.

– Jest potężną złą matką chrzestną, prawda? – powiedziała Marra.

– Zła magia może płynąć przez nią niczym rzeka po roztopach. Na szczęście dla nas na drodze stoi jej sama Agnes. Czy to czyni z niej złą czarownicę, pozostawię rozwadze mędrców. Tu chyba musimy skręcić.

Wyszli w półmrok przedświt. Marra ledwie zwróciła uwagę na okolicę. Wyglądało to na jakiś inny kamieniołom, ale była zbyt zajęta pomaganiem Fenrisowi, by oglądać widoki. Krok za krokiem i jeszcze jeden, i jeszcze, aż stanęli przed wozem. Agnes stoczyła się z kozła i rzuciła się ich obejmować.

– Żyjecie! – cieszyła się. – Oczywiście, że żyjecie, nawet przez chwilę nie pomyślałam, że możecie nie żyć... to znaczy, jeśli chodzi o Fenrisa, istniała taka szansa, chyba, ale Marra? Marra z całą pewnością nie mogła być martwa, nie żebym miała coś do umarłych, bo przecież mają swoje miejsce na świecie i w końcu wszyscy będziemy martwi, więc nie powinno się o nich źle mówić, aczkolwiek nie mogę powiedzieć, że jest mi przykro, że Vorling jest...

– Jak tam Odnajdek? – wtrącił Fenris, przerywając ten potok słów.

Agnes zanurzyła rękę w zwojach szala i wyciągnęła kurczaka, na wpół śpiącego i w całości oburzonego gwałtownym wybudzeniem.



– Musisz go przyuczyć do siedzenia w jakimś innym miejscu – oświadczyła pożegnucha z dezaprobatą. – Inaczej będziesz miała noskę, która będzie nurkowała ci w stanik za każdym razem, kiedy będzie chciała złożyć jajko.

– Och, tyle już minęło, odkąd ktoś chciał nurkować w mój stanik, że byłaby to miła odmiana – westchnęła Agnes.

– Nie, gdy wyrosną jej ostrogi.

– Och, no tak, pewnie nie.

Zapakowały Fenrisa na wóz i Marra podała mu torbę, którą niosła na plecach. Zawartość zagrzechotała, kiedy ją wziął.

– Co tam jest?

– Przyjaciel.

Uniósł brwi. Marra wspięła się za nim i razem z pożegnuchą przykryły go pustymi workami. Kichnął parę razy, ale nie protestował.

– Widzę, że masz mi wiele do opowiedzenia – powiedział. – O, proszę, tylko nie na twarz. Przynajmniej dopóki ktoś nie będzie nas chciał zatrzymać. I tak spędziłem już dużo czasu z zakrytą twarzą w skrzyni. – Uśmiechnął się, ale uśmiech ten tylko cienką warstwą pokrywał grozę. Marra odszukała jego dłoń pod grubą jutą i ucisnęła ją. Kolejny karb na sumieniu Vorlinga. Ale jeśli uda nam się uciec, to będzie po wszystkim. W końcu naprawdę będzie po wszystkim.

– Teraz już żadnych pogaduszek – ostrzegła pożegnucha. Wóz zaskrzypiał, a koła potoczyły się po kamieniach, unosząc ich coraz dalej od miasta. Zziębnięta chłodem przedświt Marra opatuliła się szczelniej płaszczem z pokrzyw. Ciepło czuła tylko w dłoni rozgrzewanej palcami Fenrisa.

O wschodzie słońca byli już daleko od miasta. Nadal widoczne, bielilo się jak kiel w szczęce ziemi, zbyt odległe, pozbawione siły, by ukąsić.

*Nigdy tam nie wrócę.*

Kiedy zegnała się z siostrą, obie o tym wiedziały. Kania powiedziała to na głos.

– Nie wiem, jak długo zdołam cię trzymać z dala od tego. Spróbuję, ale...

– Wiem – przerwała jej Marra. – Wiem. Ktoś w końcu przypomni sobie, że mnie widział. Ktoś pokoiarzy fakty. Dopóki tu jestem, ryzyko jest zbyt duże. Lepiej, jeśli wyjadę.

– Nie do końca o to mi chodziło. Ale oczywiście, masz rację. Pamiętaj jednak, że teraz jesteś siostrą królowej regentki Królestwa Północnego i nie musisz już pozostawać niezamężna, by ugasić paranoję Vorlinga. Matka lada chwila zacznie planować, na jakim dworze cię umieścić.

W pierwszej chwili Marra była zbyt oszołomiona, by się zbulwersować.

– Ale... Ale ja nie jestem dziewczicą. Ani księżniczką. Jestem prawie zakonnica!

– „Prawie” to słowo klucz – stwierdziła Kania trochę kpiąco. – Możesz uciec do klasztoru i próbować złożyć śluby, ale postawię najlepszego rumaka w tym królestwie na to, że przeorysza odmówi ich przyjęcia.

Marra gwałtownie wciągnęła powietrze ustami. Małżeństwo polityczne. Zostałaby wysłana do łóżka obcego mężczyzny, podczas gdy Fenris leżał w trumnie w pałacu umarłych, czekając na ocalenie...

– To nie jest przejaw bezwzględności – tłumaczyła matkę Kania. – Ona nie jest okrutna. Dzięki temu, że wydała mnie za Vorlinga, powstrzymała wojnę. Królestwo Północne przetoczyłoby po nas jak fala przypływu, a nasz lud stałby się karmą dla krabów na dnie morza. Musiała postawić dobro poddanych ponad nasze i wykorzystać nasze ciała do przypieczętowania umowy. – Potarła machinalnie przegub, na którym bledły żółte już ślady. – Ocaliła w ten sposób życie tysiącom ludzi.

– Wiem. Wiem.

Na pożegnanie Kania dała jej dwa dary. Sakiewkę pełną pieniędzy i drugą, pełną kości.

– Zebrali co do okruszka – zapewniła Marzę. – Nawet pazury. Bali się, że jeśli zostawią choćby najmniejszy fragment, umożliwi on złej magii dostanie się do sali. Powiedziałam, że trzeba się ich pozbyć w odpowiedni sposób i że moja siostra zabierze je do Mateczki od Wilgowronów, by mniszki poświęciły szczątki, zanim je zakopią.

Marra już nic nie widziała przez łzy, ale objęła Kanię, która oddała uścisk.

– Jedź – szepnęła Marze do ucha. – Uciekaj, bądź wolna. Nie mogą wykorzystać tego, czego nie znajdują.

Marra ostatni raz przytuliła siostrę i naciągnąwszy kaptur na głowę, wyszła przez świątynię matki chrzestnej, a potem przemknęła przez miasto, aby spotkać się z pożegnuchą i ocalić przyjaciół.

\* \* \*

Dzień za dniem kluczyli po drogach, kierując się na południe. Wóz ciągnął niezmordowanie cierpliwy muł, który tolerował siedzącą mu na grzbiecie brązową kurę. Marra jechała na wozie i pracowała najpilniej jak potrafiła przy tym bujaniu i trzęsieniu. Wieczorami, przy ognisku, szło jej znacznie lepiej, ale wtedy światło było gorsze i znów pokaleczyła palce do krwi. Agnes cmokała i smarowała jej opuszki maścią, a pożegnucha przyglądała się jej z niewyrażającą nic miną na tej swojej pociągłej twarzy.

– Zadziała? – zapytała Marra, okręcając drut.

Pożegnucha stała nad nią, patrząc na pełny kostek podolek Marry.

– Z człowiekiem nigdy by się nie udało – rzekła. – Ludzie wiedzą, kiedy są martwi. Ale z psem może się udać. Psy są prostsze.

Nocą Marra spała plecy w plecy z Fenrisem. Nikt tego nie komentował. Czasami poruszał się i Marra wiedziała, że też nie śpi, ale żadne z nich nie miało odwagi, by podjąć jakieś działania, nie, gdy Agnes i Pożegnucha leżały obok. *Mogłabym się obrócić. Mogłabym objąć go w pasie. Mogłabym...*

– Wracam do domu – oznajmiła pożegnucha pewnego ranka. – A ty, Agnes, powinnaś jechać ze mną. Kiedyś w końcu rozwiążą tajemnicę matki chrzestnej, a ty zostaniesz sama z kurczakiem do obrony przed wrogiem.

– Wiem – stwierdziła Agnes. – Tak myślałam, że będę musiała iść z tobą.

– O?

– No tak. – Agnes dotknęła palcem dziobu Odnajdka. Młody kogutek porastał właśnie dorosłymi piórkami, choć nadal był o połowę mniejszy od brązowej kury i nie miał jeszcze wartych wspomnienia koralu. – Odnajdku, znajdź dla mnie najbezpieczniejsze miejsce.

Odnajdek przekrzywił łebek, a potem odwrócił się i pomaszerował do stóp pożegnuchy, gdzie zaczął grzebać w ziemi za odpowiednim robaczkiem.

– A – skwitowała pożegnucha.

– Ale musimy się zatrzymać w mojej chatce. Mam bardzo porządny kufer na leki i nie zostawię moich kurek. No i chcę nasionka wszystkich moich roślinek. I...

– Tak, tak – przerwała jej pożegnucha i odwróciła się do Marry i Fenrisa. – Wy lepiej idźcie własną drogą. Wszystkie te tłumione tęsknoty przyprawiają mnie o wysypkę.

Fenris się rozkaszał, a Marra ukryła twarz w dłoniach.

– Odwiedzajcie nas – poprosiła Agnes. – Chętnie porozmawiam od czasu do czasu z kimś niezrzedliwym.

– Nie jestem zrzedliwa.

– Jesteś straszną zrzędą, podobnie jak twoja kura. – Obie kobiety wdrapały się na wóz i odjechały, nadal się spierając.

Marrę jednocześnie zabolowało serce i ogarnęła ulga.

Cały dzień spędzili z Fenrisem w miejscu, gdzie nocowali, w pasterskim szałasie na zboczu wzgórza, osłoniętym od wiatru. On dorzucał do ognia, a Marra przewlekała drut przez odłamki kości, gładząc palcami szeroką, wierną czaszkę, długie żebra i wąski bicz ogona.

Usiadł przy niej, podawał kości, jeśli o nie prosiła, ale nie naciskał.

Skończyła o zachodzie słońca, gdy światło ognia stało się jaśniejsze od blasku wpadającego przez wejście. Szkielet leżał na jej kolanach, kompletny, z pazurami przydrutowanymi do łap i kręgami nawleczonymi jak koraliki.

– Obudź się – wyszeptała, gdy na zewnątrz zrobiło się ciemno. – Obudź się. Proszę.

Kości leżały nieruchomo na jej kolanach. Zwiesiła głowę. *Proszę. Proszę. Kościpsie. Już nigdy nie zobaczę się z siostrą ani z matką. Nie spotkam się z siostrą uzdrowicielką ani z przeoryszą. Potrzebuję choć jednego przyjaciela. Proszę.*

Było podobnie jak za pierwszym razem. Drugie niewykonalne zadanie było zarazem trzecim. Zawsze przeczuwała, że uszło jej płazem z tym słoikiem blasku księżycowego, który dostała ot tak, prosto do ręki.

Fenris ujął jej dłoń, ostrożnie, żeby nie urazić poranionych palców, i czekał razem z nią.

– Proszę – powtórzyła, a gorąca łza spłynęła jej po policzku i skapnęła na szeroką czaszkę.

Kościpies ziewnął, przeciągnął się i obudził.

Marra aż zaszlochała z ulgi i wtuliła twarz w szyję Fenrisa. Otoczył ją ramieniem, a Kościpies wstał i zaczął hasać i skakać po szafasie.

– Będziemy musieli znów sprawić mu zakłęcie ułudy – powiedział Fenris, obserwując, jak pies usiłuje lizać części, które zniknęły wraz z iluzorycznym ciałem.

– Coś wymyślimy.

– Uhm. A co teraz? Chcesz wrócić do zakonu?

Marra pomyślała, że powinna usiąść, ale było jej przy nim tak ciepło...

– Powiedziałeś mi kiedyś, że nie mógłbyś wrócić do domu. Że zaleczenie tęsknoty za domem nie jest warte rozpętania wojny między klanami.

– Nadal tak uważam – przytaknął.

– Jeśli wrócę do klasztoru, nie wiem, co może się stać. Może nic. Ale może będą chcieli mnie za kogoś wydać i znów znajdę się w tym świecie, a... Nie radzę sobie w nim najlepiej. W zasadzie w ogóle sobie w nim nie radzę. No i zawsze istnieje obawa, że ktoś odkryje, co zrobiliśmy. – Marra zaczerpnęła tchu. – Myślę, że to niewarte ryzyka.

– Całkiem możliwe. – Spoglądał na nią z tą swoją powagą i zamyśleniem, ale na dnie jego oczu czały się isierki humoru, co było pociągające albo denerwujące, albo jedno i drugie naraz.

– A przecież obiecałam ci pomoc w uwolnieniu innych ludzi z goblinńskiego targowiska.

– Owszem.

– A więc może razem... nie wrócimy do domu?

Słowa te zawisły między nimi, delikatne niczym szklana przędza i tak samo kruche. Marra czekała, aż Fenris coś powie, aż pochwyci je albo roztrzaska,

cokolwiek postanowi.

– Chyba podoba mi się ten pomysł – powiedział. Marra odetchnęła z ulgą.

Tak koncentrowała się na wyczekiwaniu, co powie, że nie myślała wcale o tym, co może zrobić. A on niespodziewanie otoczył ją ramionami i dotknął ustami jej włosów.

– Chyba nawet bardzo – mruknął.

– Och, to dobrze – wyszeptała mu w szyję. A potem pocałowały go albo to on by ją pocałował, ale Kościpies uznał, że się siłują, i skoczył na nich, bezgłośnie obszczekując oboje.

*„Pies kościany, pies drewniany, pies żywy, pies krzywy, pies łup, pies trup, do biegu gotowy, już!”*

## OD AUTORKI



Pomysł na tę książkę zrodził się na parkingu sklepu spożywczego od zdania „z psem z kości u boku”. Nie wiem dlaczego, ale zdanie to pojawiło się znikąd i zaczęło mi się tłuc w głowie jak melodia, która czasem w niej utkwi i nijak nie da się jej pozbyć.

To fajne, kiedy coś tak spada z nieba, ale zazwyczaj przez pierwszą godzinę usiłujesz sobie przypomnieć, czy to urodziło się w twoim umyśle, czy może to fragment czegoś, co kiedyś przeczytałeś. Mózgi pisarzy są jak chomiki, zbierają i przechowują wiele rzeczy, czasami należących do innych ludzi. Tak czy owak zdanie to przyczepiło się do mnie i nie wydawało się znajome.

Zanim dotarłam do sklepu, rozrosło się w: „Przybyłaś do mnie w płaszczu z pokrzywy, z psem z kości u boku”. Stojąc w kolejce do kasy, miałam już większość krótkiej historii pod tytułem *Matka chrzestna*. Miała ona wiele wspólnego z książką, którą właśnie przeczytaliście, choć sama fabuła była całkiem inna. Zamieściłam opowiadanie w internecie, potem w antologii, i wróciłam do swojego życia.

Jednak w głowie nadal kłębiły mi się pytania. Dlaczego stworzyła swojego psa z kości? Dlaczego miała ręce powalane krwią księcia? Jak to jest budować swojego psa z kości? Kim jest matka chrzestna, opowiadająca tę historię? Sądząc z maili od czytelników, niektórym również nie dawało to spokoju. Chcieli wiedzieć więcej o kobiecie z kościanym psem.

W tym samym czasie, acz w odrębnym życiu, życiu autorki książek dla dzieci, wydawca poprosił mnie o napisanie na nowo baśni o księżniczce na ziarnku grochu, a ja nie mogłam tego zrobić. Zawsze uważałam, że ta opowieść jest... cóż, ohydna. Jaki książę chciałby mieć żonę o tak wrażliwej skórze? Skoro nawet ziarnko grochu przykryte piernatami siniaczyło jej ciało, to co dopiero ludzki dotyk? Co za człowiek pragnąłby czegoś takiego? W jakim świetle stawia to

księcia? Żadna z moich myśli nie należała do tych, jakie w siedmiolatkach ma wywołać optymistyczna bajeczka. Z wydawcą, w wyniku kompromisu, stanęło na Czerwonym Kapturku, a swoje zohydzenie zabrałam gdzie indziej.

Gdzieś pomiędzy kościanym psem a księciem z obsesją na punkcie wrażliwej skóry napisałam początkowe rozdziały. Pojawiły się w nich postać zwana „pożegnuchą”, o której jeszcze nic nie wiedziałam, poraniona kraina, a także Kania i Damia, przyrzeczone narzeczone. A potem, jak to często bywa, historia leżała odłogiem sześć lat, od czasu do czasu odkurzana, trącana, posuwana, aż pewnego dnia wysłałam tysiąc słowną próbkę do wydawcy ze zwyczajowym pytaniem: „Hej, mam coś takiego, chcesz?”. (Słyszałam, że niektórzy autorzy piszą listy motywacyjne i streszczenia i takie tam podobne rzeczy. Też muszę kiedyś tego spróbować).

Cóż, okazało się, że wydawca chce takie coś, co oznaczało, że muszę wymyślić więcej książki w relatywnie krótszym czasie. Czym jest pożegnucha? Czym pożegnuchy się zajmują? Skąd ta matka chrzestna? Z jakiego w ogóle powodu matki chrzestne są zamieszane w tę historię? Czemu mam termin już za dwa miesiące? Co ja w ogóle wyprawiam? Czemu nie zostałam ochotniczką do badań klinicznych, jak chciała mama? Czy naprawdę potrzebuję obu nerek, skoro czarnorynkowy handel organami przynosi takie zyski?

To normalny etap procesu pisarskiego, wszystkie pytania w końcu znajdują swe odpowiedzi, a książka zostaje napisana. Podejrzewam jednak, że nadal tkwiłabym na parkingu spożywczaka, gdyby nie pomoc paru osób. Po pierwsze mojej wydawczyni Lindsey Hall, która napaliła się na pewne fragmenty, co uświadomiło mi, że muszę je jakoś wykorzystać, bo co, będą tak dyndać w próżni? Mojej agentce Helen, która pogodziła się z listem motywacyjnym w moim wydaniu, ograniczającym się do „mam coś takiego, chcesz?”, a na dodatek pilnuje, żebym pamiętała o podpisywaniu papierów i żebym dostawała pieniądze za „coś takiego”. Mojego beta-czytacza Shepherd, który cierpliwie objaśniał detale w temacie przedzenia i wrzecion z przęślikami, splotów wątkowych oraz gobelinów, a nawet prezentował działanie wspomnianego wrzeciona, pomimo mojego stanowczego sprzeciwu wobec mnożenia owiec w książce. Mojego męża Kevina, który niezmiennie mnie wspiera, a poza tym hoduje kurczaki, spośród których kilka w ten czy inny sposób wkłęciło się do tej historii.

Pewnie pisałabym książki i bez pomocy tych osób, ale byłyby one nieporównywalnie gorsze, a ja – o wiele bardziej znerwicowana i prawdopodobnie bez jednej nerki. Wyjątkowo dobre kawałki to prawdopodobnie ich вина, a wszelkie błędy z całą pewnością są moją zasługą i popełniłam je pomimo ich wysiłków, aby mnie powstrzymać.

Mam nadzieję, że wasze psy są wierne i głupawe i łagodne, a wasze kurczaki nie mają w sobie demonów.

T. Kingfisher  
Północna Karolina, maj 2020



## Nettle & Bone

Copyright © by Ursula Vernon 2022

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Copyright © for the translation by Dominika Schimscheiner 2023

Redakcja – Anna Strożek

Korekta – Agnieszka Zygmunt, Kornelia Dąbrowska

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okładka – Natasha MacKenzie

Adaptacja okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafiki na okładce – Shutterstock

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN mobi: 9788383301433

ISBN epub: 9788383301440



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędzia

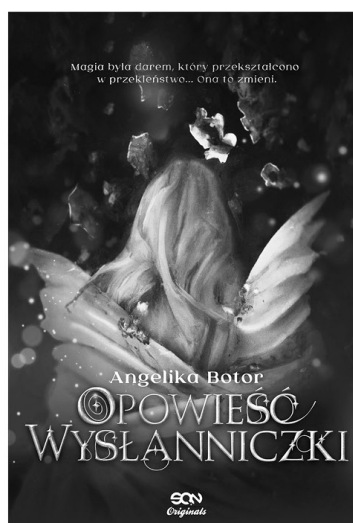
[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)

[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

## **MYŚLISZ, ŻE W CHWILI PRÓBY POMOŻĄ CI DOBRE DUCHY?**

Wyrusz w podróż nie tylko po niesamowitym, rozległym świecie,  
ale i po utracone wspomnienia i obiecaną miłość. Lyrissa wzniesie się  
na swoich skrzydłach wysoko, wypatrując samej siebie z przeszłości...  
a dawni prześladowcy będą próbowali zrobić wszystko,  
by strącić ją w otchłań.



**HISTORIA PEŁNA SZLACHETNYCH IDEAŁÓW,  
HARTU DUCHA WOBEC CIERPIENIA  
I DODAJĄCEJ OTUCHY NADZIEI**

**Szukaj w dobrych księgarniach**

**SQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

**[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)**

## ANTOLOGIA INSPIROWANA PRACAMI JAKUBA RÓŻALSKIEGO

Dwanaście utalentowanych polskich autorek SF i fantasy oraz ceniony współczesny artysta, autor niepokojących, sugestywnych obrazów.

Dwanaście opowieści, dwanaście poruszających prac.

Niezliczone emocje, trudne dylematy i fascynujący bohaterowie żyjący pod niebami innymi niż nasze.



**ODLEGŁE KRAINY. ODMIENNE EMOCJE. INNE NIEBA**

**Szukaj w dobrych księgarniach**

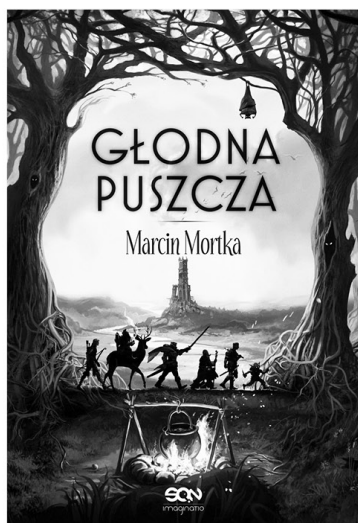


WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

## **SPOKÓJ JEST JAK KOTLECICKI W SOSIE GRZYBOWYM: ZDECYDOWANIE ZBYT SZYBKO SIĘ KOŃCZY**

Na misję Kociołek wyrusza na czele drużyny do zadań specjalnych: rycerza Urgo, elfa Eliaha, starego guślarza Żychłonia, krasnoluda Gramma zwanego Majstrem i goblina Zwierzaka. Przyjdzie im stoczyć niejedną bitwę z wysłannikami Złego, przejrzeć niejedną intrygę, przejść próbę wzajemnej lojalności, napchać żołądki przysmakami, wytaplać się w błocie, a do tego zdobyć przychylność kłobuków.



**DAJ SIĘ PORWAĆ PRZYGODZIE I SPRAWDŹ,  
JAKIE NIESPODZIANKI KRYJĄ SIĘ W DOLINIE!**

**Szukaj w dobrych księgarniach**

**sqn**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

**[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)**

## WARSZAWSKIE ULICE OPLATA CZARNA MAGIA

Ktoś morduje magów, by utkać kłutwę. I nawet Jagoda Wilczek nie potrafi powiedzieć ani na kogo, ani w jakim celu zostało rzucone przekleństwo. Wiedźma, włączona w śledztwo WMM, szybko odkrywa, że morderca to dopiero początek jej problemów. W warszawskiej enklawie źle się dzieje, a wszyscy zaangażowani w sprawę zdają się prowadzić swoje własne gry. Czy Wilcza Jagoda ma szansę powstrzymać kłutwę?



### WCIĄGAJĄCA ROZRYWKA

Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

## **BYWAJĄ MIŁE MIASTA. SĄ TEŻ TE UZBROJONE W KŁY I PAZURY, JAK WARS I SAWA. IDEALNE DLA KOBIETY, KTÓRA POLUJE NA POTWORY**

Nikita, do niedawna członkini Zakonu Cieni, próbuje sobie poukładać życie od nowa i znaleźć dla siebie miejsce w tkance miasta, które uważa za swoje.

Interes rozkręca się powoli – o wiele więcej osób szuka zabójczynie niż najemniczki ze świeżo odnalezionymi skrupułami.

Najnowszy zleceniodawca nie chce, by zabijała. . .

No, może tylko tych, którzy porwali jego tatusia i wujków.



### **ZŁO NIGDY NIE ZAKRADŁO SIĘ AŻ TAK BLISKO DOMU**

**Szukaj w dobrych księgarniach**

**SQN**

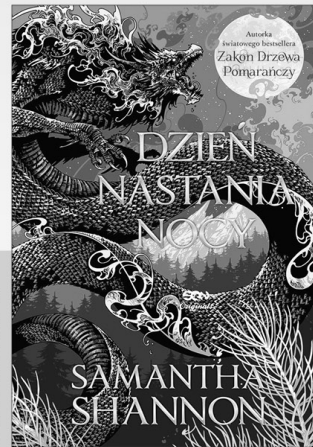
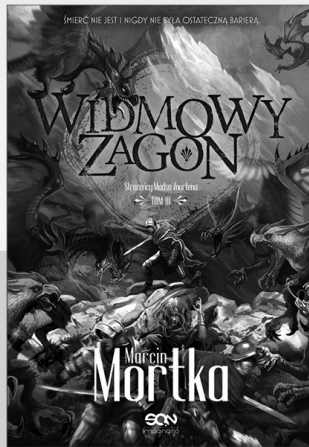
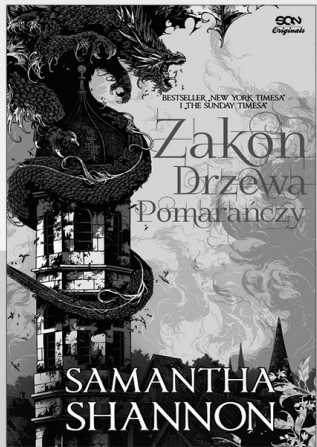
WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl**  
**www.sqnstore.pl**

## Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.  
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



**SQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

**SQN**STORE.PL

labotiga.pl